

Madonna Taneczna

Andrzej Koraszewski

Racjonalista.pl

Płynie Wanda płynie, a za nią smok niemiecki, łasy na polskie dziewice. Na wysokości miasta stołecznego Warszawy próbował Wandę Zygmunt zatrzymać, ale Szweda też nie chciała, zatrzymała się tylko przy wierzbie szlochającej etiudami i rozsłochała się z nią razem z powodu słabych skoków Małysza, no bo jeśli nie on, to kto? Koleżanka Wandy popłynęła dalej, aż na drugą stronę Bałtyku, gdzie przehandlowała polską duszę i ciało właścicielowi niezmierzonych pól rzepaku, który wyśmiewał Zygmunta i próbował koleżankę przekonać do redukcjonizmu, a równocześnie szafował poezją szwedzkich romantyków, czytana nieodmiennie z silnym duńskim akcentem.

Uczciwie mówiąc, kto by chciał słuchać szwedzkich romantyków? Za kierownicą volvo mogło to być niebezpieczne, w szczególności na gładkiej szosie wśród niezmierzonych stepów żółtego rzepaku.

Porzuciła Wanda szlochającą wierzbę płynąc dalej i dalej, aż na wysokości Dobrzynia zachwyciła się wysoką skarpą i czerwonym dachem kościoła.

Wysoki jak tyka ksiądz Paweł, na pielgrzymce do Częstochowy zakochał się w Anieli i chociaż się do tego nie przyznał, już tylko dla niej intonował pieśni i dla niej znosił cierpienia obcierających stopy butów. We śnie prześladował go tętent końskich kopyt, chrzęst zbroi i widok białych płaszczy z krzyżami. Jeden z teutońskich rycerzy uniósł przyłbicę i wtedy ksiądz Paweł zobaczył swoją własną twarz płonącą uniesieniem do Anieli. Odrzucił gniewnie płaszcz z

krzyżem i skoczył z koniem do rzeki jak ksiązę Józef P. Tam jednak czekała na niego Wanda, której czułe dłonie dotykały jego płonących policzków i tanecznymi ruchami odpinały paski zbroi. Koń jak kamień poszedł na dno, oni zaś w batyskafie sutanny stawali się coraz bardziej nadzy, bezwstydni i wręcz zadowoleni z takiego obrotu sprawy.

Dłońmi, ciągle jeszcze w żelaznych rękawicach, zakrywał przed sobą jej nagie piersi i ze zdziwieniem odkrywał, że wyczuwa guzłkowate, twarde wypukłości sutków oraz gładkość, jędrność i ciepło jej piersi.

Obudził go ból obtartych stóp i dręcząca bliskość Anieli. Patrzył w sufit przygodnego schroniska, wsłuchując się w szmery nocy. Wsłuchiwał się w ciemności, a jego dłoń przesuwała się na wpół lubieżnie po brzuchu, coraz bliżej nabrzmiałego prącia.

Już na półjawnie słyszał tętent koni, albo pulsowanie krwi w skroniach, albo odległe werble w obozie heretyków. Gotów był do zdrady, do męczeństwa lub do ucieczki, nie był tylko gotów do dalszego snu i obawiał się, czy rano będzie gotów do dalszej wędrówki.

Znów zapadł w sen, lub tylko w drzemkę i zobaczył nagrobek ojca, kierownika wiejskiej poczty i znawcy lokalnych dziejów, który zbierał wycinki z gazet z wszelkimi wzmiankami o Ziemi Dobrzyńskiej. „Przechodniu zatrzymaj się i zapisz tę stronę www!” Postawiony przez matkę wazonik z kwiatkami zasłaniał jednak adres, a wazonik był wbetonowany na amen i nie dawało się go odstawić.

Blog – pomyślał – nic tylko blog pisany z drugiej strony, na przekór tym, którzy uparcie odmawiają wiary w to, co żadną miarą nie może być sprawdzone. Bo wiara jest właśnie wiara, rozkoszną pewnością, że chociaż nie ma żadnych dowodów, a nawet wręcz przeciwnie, to przecież na tym właśnie polega piękno wiary, że mamy nagą pewność i gotowi jesteśmy za nią umrzeć.

Po zamknięciu poczty ojciec wsparty o wagę do ważenia paczek patrzył na niego

uważnie, trzymając w ręku kupkę przekazów. Wszyscy jesteśmy ateistami – mówił – bo przecież śmiesz nas głupstwa wiary w Słońce, w bóstwo Kota, w Zeusa czy Jowisza i przesuwać wiarę na kolejne pole, odmawiamy wiary w jej śmieszność. Tu gdzie ta waga, mógł być ołtarz Peruna, a ja jego kapłanem.

Uniósł ramiona w mistycznym geście, a wskazówka naciśniętej jego brzuchem wagi wychyliła się do siedmiu kilogramów.

Ksiądz Paweł pamiętał, jak Paweł wyrostek uwierzył w ojca-kapłana fałszywej wiary. Kiedy w jesienne niedziele jeździli rowerami na grzyby, ojciec podejrzenie krążył wokół dębów, w szczególności młodych dębów, czy wręcz kiełkujących dopiero żołądzi, udając, że szuka grzybów, usuwał suche gałęzie, klękał, całował liście, wpatrywał się w wątłe rośliny i unosił głowę w geście świadczącym o misterium tajemnicy.

Grzyby najlepiej zbierać rano, wcześniej rano, kiedy rześkość poranka spowodowana jest stężeniem tlenu wyzwolonego w nocy przez rośliny i nierozproszonego jeszcze słonecznym ciepłem. W niedziele na grzyby jeździli wcześniej rano, ponieważ Paweł potem biegł do kościoła, gdzie był najwyższym wzrostem ministrantem. Był już o głowę wyższy od starego księdza, który najbardziej lubił odprawiać pogrzeby i miał ciche interesy z kamieniarzem.

Grzech matki był inny. Ulepiona przez doktora Freuda z erotycznych marzeń, cierpiała na samotność dzieląc wąskie łóżko z kapłanem Peruna. Płakała z wierzbą stojącą na brzegu, rozmawiała długo z Wandą, z którą łączyła ją krótka, ale pełna zrozumienia przyjaźń. Potem wychodziła zza pnia, jako pani Macbeth siejąc wokół śmierć i zniszczenie.

Zdradzona dla Peruna, dla wycinków z gazet, spotykała się potajemnie z listonoszem, ale uniesieni pasją zrozumienia otaczającego ich świata sąsiedzi zaczęli wysyłać anonimy, którymi ojciec tapetował się wymagającą raczej nowego tynku niż nowej tapety, bo tynk osypywał się jak piasek ze ściany przy każdym trzaśnięciu drzwiami.

Więc szukał Paweł grzybów, ale nie spuszczał ojca z oka, coraz bardziej podejrzewając, że to wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane niż przypuszczał. Był teraz mścicielem pani Macbeth i ilekroć ojciec przechodził w lesie do kolejnego ołtarza, podcinał ogrodowym nożem korzenie młodego dębu i przy kolejnych grzybobraniach spotykał coraz więcej martwych drzewek.

Trudno powiedzieć, czy ojciec coś podejrzewał, czy nie, ale nagle zniechęcił się do tych niedzielnych ceremonii z synem. Wieczorami porządkował wycinki z gazet i pisał coś w zeszycie w kratkę, który specjalnie w tym celu zakupił w kiosku u Beaty. Strzegł zazdrośnie tajemnicy tego zeszytu, ale kiedyś wyszedł do kuchni wywołany gwizdkiem czajnika i Paweł rzucił okiem na zapisane drobnym pismem strony. Zdążył odczytać tylko starannie podkreślony tytuł kolejnej notatki: 1532 (sto lat przed procesem Galileusza) Kopernik do nieznanego szlachcica.

Ojciec wyjrzał z kuchni, wrócił, schował zeszyt do kieszeni i pogroził mu palcem. Po raz pierwszy Paweł miał wrażenie, że ojciec patrzy na niego jak na rywala i gotów jest do starcia. Odwrócił się jednak i poszedł do kuchni, a złożony na pół zeszyt sterczał w jego kieszeni, intrygując pytaniami, które nie mieściły się jeszcze w głowie.

Na pewien czas sprawa ta uległa zapomnieniu, gdyż z jednej strony ojciec przestał publicznie wyciągać swój zeszyt, z drugiej zaś pewne wydarzenia wstrząsnęły Pawłem kierując z czasem jego kroki do seminarium.

W drugim roku stanu wojennego, w dawnym powiecie lipnowskim, przy drodze niedaleko Popowa, figurka Matki Boskiej wyprostowała się i odchyliła głowę tak bardzo, że spod chustki wysunął jej się kosmyk czarnych włosów. Okoliczni długo przyglądali się figurce, nie wiedząc jak tę zmianę interpretować. Zdaniem księdza, nie był to cud, tylko dzieło szatana. Niektórzy jednak byli sceptyczni i wręcz zachwyceni byli tą jej uniesioną głową i wyzywającym

spojrzeniem.

Już po kilku godzinach milicja zorganizowała objazd, tłumacząc to robotami drogowymi. Równocześnie władze prowadziły konsultacje z biskupem, który również nie widział tu żadnego cudu i zgadzał się, że zmienioną figurkę trzeba w trybie natychmiastowym zastąpić figurką normalną.

Wybrano z magazynu stosowną figurę i grupa księży robotników udała się na miejsce, aby dokonać wymiany. Po przyjeździe okazało się, że przydrożna figurka ponownie przybrała pokorną postać. Niesforna figura została jednak zastąpiona, a ta, która wcześniej uniosła głowę, miała zostać zbadana przez komisję wspólną i jak Paweł pamiętał, nigdy już więcej nikt o niej nie wspominał.

Paweł o tym uniesieniu głowy słyszał od znajomej, która przybyła na miejsce jeszcze przed milicją i przysięgała, że była to Matka Boska taneczna, uśmiechnięta, wzbudzająca radość i zaufanie do ludzi. W kolejnych tygodniach lokalny ksiądz wypytywał wszystkich na spowiedzi i groził piekłem każdemu, kto chciał wierzyć w tę historię. Mówił, że tylko szatan mógł podsunąć ludziom pomysł Matki Boskiej tańczącej, że to zbiorowe omamy, w które mogą wierzyć tylko naiwni i tłumaczył, iż nie ma przecież żadnych dowodów na to, że gipsowa figura uniosła głowę. Dziwił się również, że ludzie mogą wierzyć w takie bzdury w czasach telefonów i podróży na księżyc.

Paweł miał ciągle przed oczyma Matkę Boską Taneczną. Czasem, kiedy służył do mszy, przyglądał się kątem oka stojącej w kościele rzeźbie i miał wrażenie, że widzi jak podrzuca głowę, gotowa unieść ramiona i strzelić palcami.

Zeszyt ojca Paweł znalazł dopiero po jego śmierci, kiedy po latach przyjechał pomóc matce pozalać wszystkie formalności. Nie myślał o jego istnieniu, ani o kapłanie Peruna, o

grzybobraniach i młodych dębach. Ojciec sam jednak zadbał, aby ów zeszyt się znalazł, gdyż schowany był w kieszeni marynarki czarnego garnituru, którego używał tylko przy okazji ślubów i pogrzebów i który, rzecz jasna, musiał teraz zabrać ze sobą do trumny.

Marynarka była już trochę za ciasna, ale przedsiębiorca pogrzebowy powiedział, że to się często zdarza i że w takich przypadkach rozpruwa się ją troszkę z tyłu i nikt niczego nie zauważy.

Wcześniej Paweł wyciągnął garnitur z szafy i natrafił na zapisany drobnym pismem zeszyt. Przypomnił sobie od razu tamten wieczór sprzed dwudziestu lat, ale był przekonany, że był to jakiś inny zeszyt, w którym ojciec prowadził swoje notatki. Bez trudu odnalazł jednak stronę z podkreślonym tytułem: 1532 (100 lat przed procesem Galileusza) Kopernik do nieznanego szlachcica:

Zachęcany przez ciebie i innych przyjaciół chciałbym moją teorię o potrójnym biegu ziemi przedstawić Ojcu Świętemu i wierzyć, że nie skończy się to dla mnie nieszczęściem. Myślę o napisaniu do niego listu, w którym przewiduję, że wielu przeciwko mnie powstanie i mnie potępi. Obawa pogardy dotychczas skłaniała mnie do zaniechania zamiaru wydania ułożonego dzieła. Byłeś wśród przyjaciół, którzy odwozili mnie od tego zamiaru.

Jeśli ruch innych planet odniesiemy do biegu ziemi, cały układ planetarny tworzyć będzie jedną, harmonijną całość.

Napisałbym tedy do Ojca Świętego, że z zamilowania do nauk słynie, przeto mocen jest powagą swoją i nieomylnym sądem powściągnąć złośliwe języki.

Ubiegłbym tym sposobem tych, co nie znając matematyki będą się odwoływać do pewnych miejsc Pisma Świętego.

Jaki ten list i moja teoria na Ojca Świętego wrażenie wywrze tego nie wiem, ale radę twoją rozważę i list ten w końcu do Rzymu ekspeduję.

Dalej, pisany nieco innym charakterem komentarz wyjaśniał, że taki lub podobny list mógł istnieć. Papież Klemens VII w 1533 roku zapoznał się z wydany już w 1510 roku streszczeniem teorii Kopernika *Commentariolus*. Rzeczywisty list do papieża, Pawła III, wysłany

został dopiero tuż przed drukiem pełnego wydania „O obrotach ciał niebieskich.”, a zatem zaledwie na kilkanaście miesięcy przed śmiercią astronoma.

„Kopernik – pisał ojciec - wspomina w liście do papieża o przyjaciółach, którzy skłonili go do działania. Kim byli ci przyjaciele? Gdzie mieszkali? To, że proces Galileusza miał miejsce prawie sto lat po tym jak papież dowiedział się o istnieniu teorii Kopernika świadczy tylko o tryumfie głupoty. Dęby jeśli trafią na dobry grunt wejdą, jeśli nie zaleje ich woda i nie wypali słońce będą rosły, jeśli jakiś dureń nie podetnie im korzeni, wzmocnią się, jeśli ich wandalie nie wytną na opał, będą górować nad całym lasem.”

Ksiądz Paweł schował zeszyt do kieszeni płaszcza i dopiero wieczorem poszedł nad rzekę i stanął koło wierzby, przy której pani Macbeth słuchała podszeptów Wandy. Rzeka była zamrznięta, a drugi brzeg zlewał się z ołowianym niebem. Woda wspinała się soplami na drzewo, tworząc wrażenie zamrzniętego wodospadu. Pochylona nad rzeką wierzba zakrzepla w pokorze, zapadła w zbliżony do śmierci sen, jej włosy zastygły w kryształach lodu. Wyczuwał na policzkach słoną wilgoć i natarczywą pamięć noża w dłoni, noża, którym podcinał korzenie małych dębów. Usłyszał za sobą ruch, gdzieś blisko był ptak lub zwierzę, ciepły kłębek życia, szamoczący się między narodzinami i śmiercią. Podrzucił gwałtownie głowę w hołdzie dla kapłana Peruna.

Szedł ścieżką w górę na Golgotę pogrzebu. Wiedział, że on w sutannie i ona w czarnym welonie, zgięci bólem, tworzyć będą parę wywołującą uwielbienie starych bab. Odkąd został księdzem jego przekleństwem były pokorne pokłony staruszek, hołdy niewinnych dzieci i uniesione w jego kierunku głowy mężczyzn, których normalnym królestwem była wulgarność. Lubił grać w piłkę z ministrantami, ale proboszcz, u którego terminował, powiedział stanowczo, że nie powinien się poufalić z dziećmi, gdyż straci szacunek parafian.

W domu, do którego od czasu wyjazdu do seminarium przyjeżdżał rzadko, wyczuwało się

atmosferę głębokiej niechęci pani Macbeth do Heloizy. Heloiza była kotką, ale kiedy ojciec głaskał jej futro mówiąc *animula blandula*, wiedziała, że była czymś więcej. Siadała na stole i patrzyła mu w oczy w sposób wykluczający wszelkie wątpliwości. Była między nimi więź, której w żaden sposób nie mogła zaakceptować. I jeszcze – jak mówiła matka - to gazetowe imię, nie wiedzieć skąd i nie wiedzieć po co.

Heloiza (*animula blandula*) przyplątała się do ojca na pocztę, gdzie musiała wejść za którymś z listonoszy i któraś z pań musiała dać jej jakieś jedzenie i potem ktoś musiał wyrzucić ją za drzwi, bo wracała na próg i patrzyła prosząco, domagając się ciepła i pożywienia. W końcu wziął ją ojciec za pazuchę płaszcza i przyniósł do domu. Od chwili kiedy ją włożył do skrzynki z piaskiem wiedziała, że to jest jej toaleta i od chwili kiedy wyjął z lodówki garnuszek z mlekiem, wiedziała, że miauczenie o pożywienie należy zanosić przy drzwiach lodówki.

Wspominała matka, że rozmawiał z Heloizą o Galileuszu, a dokładniej o inkwizytorach, których bardziej interesowała osoba uczonego niż jego teorie. Osobę można było zawsze spalić, zaś teorie miały tendencję do odradzania się jak feniks z popiołów. Stąd, jak wyjaśniał ojciec Heloizie, szczególnym zainteresowaniem cieszyły się zeznania świadka, który twierdził, iż słyszał Galileusza mówiącego, że Bóg jest raczej przypadłością niż substancją.

Paweł nie był pewien, czy matka wiernie powtarzała podsłuchane z kuchni słowa ojca skierowane do Heloizy, która słuchała go z łapami do góry i brzuchem wystawionym na jego głaskanie.

Potwierdzenie ksiądz Paweł znalazł w zeszycie już po śmierci ojca i śmierci Heloizy, która zdechła w niespełna dwa tygodnie po ojcu, nie próbując nawet odnaleźć jakiegokolwiek sensu życia. W zeszycie ojca istniała krótka notatka o przesłuchaniu przez inkwizycję pewnego proboszcza z Florencji, którego pytano, czy słyszał jak Galileusz dyskutował z ludźmi o tym, czy Bóg jest substancją czy przypadłością. „Nieszczęsny proboszcz próbował wykręcić się od

odpowiedzi, ale na nic się to nie zdało. (Wcześniej, przy okazji procesu Giordano Bruno, inkwizytorzy dopytywali się o Kopernika i z niechęcią przyjęli wiadomość, że z powodu naturalnej śmierci, nie może już być przesłuchany i spalony.)” Dalej ojciec zastanawiał się, czy urodzony w roku 1631 w Dobrzyniu matematyk Adam Kochański był tylko wybitnie zdolny, czy miał również ciekawych rodziców? Co myślano w Dobrzyniu o teorii Kopernika i kiedy dotarła tu wieść o procesie Galileusza? Ostatnie dwa pytania na tej stronie, podobnie jak poprzednie, pozostawione były bez odpowiedzi: „Czy były w Dobrzyniu procesy heretyków, czy płonęły tu stosy? Jeśli tak, to gdzie, pod Górą Zamkową?”

Następną stronę zeszytu otwierał starannie podkreślony tytuł: „Czy Bóg jest substancją czy przypadłością?” Ale zapewne zeszyt długo leżał otwarty na tych stronach, gdyż tekst był całkowicie nieczytelny. Paweł dostrzegł swoje imię oraz imię Piotra i mogło to być jakieś odniesienie do jego kolegi, również ministranta, który stoczył się w alkoholizm i odsiadywał wieloletni wyrok za rozbój, pobicie i spowodowanie kalectwa.

Nie znoślił spowiedzi. Cichy szept bez twarzy, bez oczu, bez wyrazu. Czasem wyczuwał w głosie namiętność, częściej kłamstwo, ale najbardziej drażnił go własny głos, z każdym miesiącem bardziej pozbawiony zainteresowania i nadziei, że potrafi komuś pomóc podnieść głowę. Czasem ktoś prosił go o rozmowę, nie w konfesjonale, ale w domu, albo na spacerze i wtedy miał wrażenie, że ludzie są bardziej szczerzy, a jego własna bezradność bardziej ludzka. Może dlatego tak lubił pielgrzymki, że często ktoś prosił go o rozmowę i zostawali z tyłu za wędrującą grupą, często tylko w milczącej zadumie nad pytaniami, na które nie znał odpowiedzi.

Kiedy Aniela poprosiła go o taką rozmowę, nie zdawał sobie sprawy z tego, że zbliża się do kresu podróży rozpoczętej z kapłanem Peruna. Szli przez długą chwilę w milczeniu, zanim zdecydowała się zadać swoje pytanie, dlaczego samobójstwo jest grzechem, ale naprawdę chciała mówić o stracie człowieka, który uciekł przed cierpieniem, przed litością i przed niemożnością.

Odszedł i nie była pewna, czy nie może pogodzić się z jego nieobecnością, czy z faktem, że odszedł prędzej niż musiał. Powiedziała, że usunęła ciężę, którą miała ze zmarłym, bo wiedziała, że nie zdoła zapewnić dziecku środków do życia.

Ksiądz Paweł szedł z pochyloną głową modląc się, żeby nie powiedzieć, którejs z wyuczonych formułek pocieszenia. Powiedział jej, że czasem można tylko iść razem koło siebie, bo nie można zdjąć ciężaru z ramion drugiego człowieka.

Zatrzymała się i zapytała się, czy jej nie potępia. Odpowiedział, że ani nie ma do tego prawa, ani nie ma na to ochoty.

Szli dalej w milczeniu, a potem przyspieszyli kroku i dołączyli do grupy. Powrócił na czoło pielgrzymki, zastanawiając się nad relacją między współczuciem a pożądaniem i między pożądaniem a zwątpieniem i między bezradnością a zwątpieniem, a wreszcie między wiarą i rozumem.

Szedł samotny w sutannie, z krzyżem w dłoniach, który przejął od kolegi, zatopiony w myślach, w notatkach naczelnika poczty i odgłosach własnego ciała. Wieczorem mechanicznie zajmował się sprawami organizacyjnymi, a potem zmęczony rzucił się na łóżko, by obudzić się z kłamstwem w myślach, że śniła mu się Matka Boska Taneczna.

Paweł porzucił wiarę na drodze do Częstochowy. Wcześniej nachodziły go zwątpienia, które jego proboszcz i spowiednik traktował po ojcowsku, z wyrozumieniem i pouczeniem by nie zapuszczał się w myśli, które są ścieżkami szatana. Dzielił plebanię z proboszczem i po kolejnej spowiedzi schował niektóre książki do kuferka zamykanego na małą kłódkę, który to kufer był jądrem ciemności jego rozdartej duszy. Czasem wyjmował z niego zeszyt ojca, próbując odczytać wyblakły tekst. Zeszyt pełen był dat, nazwisk, znaków zapytania, nagłych

wykrzykników. Sam kuferek był również własnością ojca, ukryty w szafie i zamknięty na kłódkę, do której kluczyk znajdował się wraz z jego kluczami od mieszkania i poczty. Na dnie kuferka Paweł znalazł kawałek kory brzozonej, na której był dobrze zachowany tekst wypisany ręką ojca:

25 luty 1638r.

Ojciec Święty nakazał, aby Galileuszowi zezwolone było przebywać w jego domu we Florencji celem przeprowadzenia odpowiedniego leczenia, pod warunkiem jednakże, że nie będzie się oddalał do miasta, a tym bardziej nie będzie utrzymywał kontaktów publicznych ani tajemnych z nikim, a to, aby unikać rozmów na temat jego - zakazanej – opinii co do ruchów Ziemi, a ponadto zakazuje się pod groźbą ciężkiej kary poruszać ten problem i żeby został pod strażą.

(Archiwum Kongregacji Świętego Oficjum)

Kora brzozonej była przebita, co oznaczało, że gdzieś wisiała, chociaż Paweł nigdy jej wcześniej nie widział. Najwyraźniej ojciec obsesyjnie szukał wzmianek o procesie i dalszym życiu Galileusza. Bez trudu odnajdował w zeszycie jego nazwisko, nawet gdy reszta tekstu była nieczytelna. Ojciec w jakiś sposób ustawicznie łączył tę sprawę z zainteresowaniem historią Ziemi Dobrzyńskiej i okresem, jak pisał, niewyobrażalnej dziś świetności Dobrzynia. Powracał do pytania o to, do kogo dotarła w Polsce wiedza o dziele Kopernika za życia uczonego? Paweł najpierw domyślał się, a potem znalazł potwierdzenie, że z tym właśnie pytaniem związane były liczne nazwiska i kolejne znaki zapytania. W kilku miejscach powtarzało się nazwisko Jakóba Uchańskiego, biskupa kujawskiego, a potem prymasa i *inter rex*.

Zdaniem ojca, młodszy od Kopernika o 30 lat Uchański powinien znać teorię Kopernika, chociaż nigdzie nie ma wzmianek o tym, żeby interesował się matematyką lub astronomią. Był

przełożonym franciszkanów, więc jako biskup włocławski, mimo, że to inna diecezja, bywał zapewne również w Dobrzyniu. Sami franciszkanie nie byli specjalnie zainteresowani nauką i ojciec domyślał się, że łatwiej tu było usłyszeć kazanie do ptaków i pochwałę ubóstwa, niż wykład o astronomii. „Uchański na pewno o Koperniku słyszał, ale czy rozumiał i podzielał jego teorię tego nie wiemy. Prędzej Drohojewski, poprzednik Uchańskiego we włocławskim pałacu biskupim. Wcześniej jeszcze jeden biskup kujawski mógł znać teorię uczonego z Fromborka, ale i ten nazbyt był przejęty reformą Kościoła, by zagłębiać się w nauki ścisłe. Jan Łaski, przyjaciel Erazma z Rotterdamu, który zasiadł na włocławskim tronie biskupim w roku 1536, a w niespełna rok później wyjechał z Polski i już otwarcie przystąpił do ewangelików.”

Było tu również nazwisko Jana Kochanowskiego, ale nie dawało się odczytać, czy młodszy prawie o 60 lat od Kopernika Kochanowski mógł zdaniem ojca wiedzieć, czy nie mógł. „Czy teoria Kopernika była głośna, czy szeptano o niej po cichu tylko wśród uczonych? Od kogo dowiedział się o niej dominikanin Giordano Bruno? Czy znali ją może mieszkający w Dobrzyniu Żydzi?”

Tu i ówdzie powtarzało się w zeszycie słowo „głuchnę”. W jednym miejscu, bez wyraźnego związku z wcześniejszym tekstem ojciec napisał: „Głuchnę, słyszę grzmoty, nie słyszę szeptów. Ogłuszeni grzmotami kapłani Peruna nie słyszeli dźwięków zapowiadających zbliżanie się nowych czasów, albo słyszeli i nie umieli ich interpretować, trudno powiedzieć. Zanim przyjdzie złoty wiek, wszystko rozkradną na złocenia świątków.”

Paweł mozolnie odczytywał zapiski ojca, nasłuchując z niepokojem kroków proboszcza. Któregoś dnia powrócił z wycieczki z ministrantami, których próbował zachęcić do ornitologii, i zastał proboszcza w swoim pokoju z nieszczęsnym zeszytem w ręku, pochylonego nad zamkniętym na kłódkę kuferkiem. Uświadomił sobie, że pozostawił zeszyt na stole, na którym stał tylko krucyfiks i pobrudzony stearyną świecznik. Proboszcz odrzucił z obrzydzeniem zeszyt i

wskazał tłustym palcem na kuferek – Proszę to otworzyć – nakazał piszczącym głosem. Paweł poczuł gwałtowne pulsowanie krwi w skroniach. Wyjaśnił, że w kuferku są pamiątki rodzinne, których prywatność jest dla niego ważna.

- Ten zeszyt powinien być spalony. Dziwi mnie przechowywanie takich rzeczy z nabożnością. Paweł podrzucił głowę i wstrzymał ciskające się na usta słowa. W milczeniu zapalił świecę i uklęknął przy łóżku. Proboszcz bez słowa wyszedł z pokoju.

Tamtej nocy Paweł po raz pierwszy śnił galopujących jeźdźców w białych płaszczach z czarnymi krzyżami. Wiedział, że jest jednym z nich, a równocześnie widział zbliżającą się grupę zbrojnych i czekał na śmiertelny cios. Widział dąb, do którego zbliżali się jezdni, potężny dąb, który zastąpił im drogę i ich pochłoniął.

Biskup warmiński Hozjusz (z rodziny krakowskich kupców niemieckich) urodzony w roku 1504, niespełna trzydzieści lat młodszy od Kopernika, bez wątpienia znał jego dzieło i nie można wykluczyć, że zgadzał się z jego wnioskami. Niezgoda z Biblią niewiele by mu przeszkadzała, gdyż uważał, że ta, nie poparta powagą Kościoła, nie byłaby więcej warta od bajek Ezopa. Twierdził, że poddani nie mają żadnych praw i mają ślepo słuchać panującego, który jeden odpowiada przed Bogiem, a sądzić go jest grzechem. Mówił, że czytanie Pisma Świętego budzi w ludziach skłonność do buntu, a szczególnie jest niebezpieczne, kiedy mogą je czytać kobiety. Był zwolennikiem zorganizowania rzezi ewangelików na wzór francuski, a kiedy to się nie udało, sprowadził do Polski jezuitów. Widać nie Kopernika uważał za zagrożenie, lecz naukę jako taką. Gdybyż Wanda tego Niemca nie chciała! Ale tego chciała i tego objęła czule i przygarnęła do swego serca.

Niektóre ze słów Paweł zgadywał, ale przed snem miał wrażenie, że tak właśnie musiał brzmieć ten fragment ojcowego zapisu. Dlaczego wieczorne myśli o Hozjuszu i jezuitach sprowadziły sen o Krzyżakach? Pomyślał, że łatwiej wyobrazić sobie drewniane chałupy i zbrojnych jeźdźców na zakurzonej drodze niż późniejsze, otoczone murami miasto, z którego rodziny wysyłały swoich synów do jezuickich szkół.

Naukę tworzą kosmopolici, o których potem jak lwy walczą durnie nie próbujący nawet zrozumieć czym się zajmowali. Kaci, inkwizytorzy, podpalacze stosów i strażnicy pomników są jedną rodziną. Są również strażnikami niezmiennej tradycji, tej w niebieskim płaszczu, albo tej z czerwonym sztandarem. Stosy podpala się najmilej w imię tradycji. Bóg daje nam moc podpalania stosów. Nie tylko lud Rzymu żądał chleba i igrzysk. Również lud Dobrzynia domagał się rozrywki.

Dziś Heloiza rozszarpała pliszkę. Dowodem zbrodni były tylko piórka, a i te wkrótce rozwiał wiatr. Rozpoczęła się wielka rehabilitacja Galileusza. Czasem ktoś wspomina o Husie. Stosy są dla żywych, popioły zmarłych mogą być użyte do czyszczenia pomników.

Ten fragment zapisu Paweł przepisał i schował kartkę do kieszeni sutanny. Rozmawiał z ministrantami o ornitologii, o mieszkających nad jeziorem ptakach, ale chłopcy nie mogli się skupić i ucieszyli się, kiedy Marcin powiedział, że odróżnia wróbla od bociana i ta wiedza o ptakach zupełnie mu wystarcza. Pytali, czy pomógłby zbudować tor do ćwiczeń na deskorolkach, więc powiedział, że pomyśli i zastanawiał się przez chwilę, czy jest szansa na transakcję związaną, chociaż wiedział, że to wszystko jest spóźnione, w ich życiu o dziesięć lat, a w życiu kraju o cztery stulecia.

Odkąd pamiętał ojciec pokazywał mu ptaki i zdjęcia ptaków, mówił ich nazwy, cieszył się, kiedy pokazywał zdjęcie jakiegoś ptaka, którego widzieli już nad rzeką i mówił, że muszą uważnie posłuchać jak śpiewa, tak jakby obiecywał lody, albo coś więcej. Zbudował specjalną konstrukcję nad okienną ramą, na której zimą wywieszał słoninę i obaj przyglądali się potem sikorkom żerującym za oknem tak blisko, że mógłby dotykać ich ręką.

Paweł pamiętał jak z ramion ojca oglądał gniazdo, które znaleźli w żywopłocie, jak informował poważnie, że widzi pięć jaj i pytał, czy może jedno zabrać, ale ojciec nie pozwolił. Sprawdzali potem ostrożnie, czy samica siedzi na jajkach i doczekali się, aż się wykluły pisklęta i z wyciągniętymi głowami wyczekiwały matki i jak zaczęły próbować skrzydeł, żeby w końcu opuścić gniazdo i zacząć własne życie.

Nie można czternastoletnich chłopców uczyć tajemnic, które powinni poznawać, kiedy mieli cztery. Ale czy można ich oduczyć gry w piłkę młodą kawką?

O tym zdarzeniu opowiadała mu jedna z uczennic, mówiła z płaczem, zapewne domyślając się, że jej litość jeszcze bardziej podnieciła ich okrucieństwo; mówiła, że długo jeszcze kopali do siebie martwego już ptaka, śmiejąc się, ilekroć siłą bezwładu rozpościerał skrzydła i ponownie zdawał się cierpieć.

Uczennica odmówiła podania nazwisk, ale ta opowieść była dla Pawła znacznie gorszym przeżyciem niż znalezione pod murem za plebanią niedopałki i ostatecznie odebrała mu ochotę na granie z ministrantami w piłkę. Ukrył się w swoim przebraniu kapłana, ale obawiał się, że jego uniesiona głowa nie jest już dumą, którą chciał się dzielić z innymi, ale wyrazem dystansu i niechęci, która była dla niego nieznośna, bo przecież wierzył uczciwie, że będzie umiał pomagać ludziom podnosić głowę.

Dlaczego ta opowieść o dręczonym ptaku przelała dzban? Dlaczego nosił ją w sobie jak cierń? Podkreślała jego bezradność, bezsens tych prób w świecie, w którym plebania była

najpiękniejszym budynkiem we wsi, gdzie oddzielony od świata sutanną, patrzył codziennie jak dzieci wdrażane są do kradzieży drzewa z lasu, jak sprawdza się to, co mu kiedyś mówił nauczyciel historii, że z naiwności wpada się w hipokryzję i że wczorajsi rewolucjoniści szybko stają się nowymi ciotami rewolucji. Wtedy nie słuchał tych ostrzeżeń, bo wydawały mu się bez sensu, teraz szedł zakurzoną drogą, przyglądając się grupie rówieśników pijących piwo pod sklepem. Zamilkli na jego widok, kłaniając się z respektem, którego fałsz był przed nimi ukryty.

Celibat przeszkadzał mu zawsze, ale wcześniej buntowało się jego młode ciało, a teraz coraz bardziej odczuwał potrzebę obecności drugiego człowieka i coraz częściej protestował przeciw temu, że nie pozna ojcostwa. Wiele razy czytał o rozpacy kobiet pragnących dziecka, ale nie były to sprawy, o których kobiety rozmawiały z księdzem. Czytał o tej rozpacy w książkach i coraz częściej dostrzegał ją w rzeczywistym świecie i zaczynał czuć ból i jakąś niezrozumiałą tkliwość na widok ciężarnych kobiet i zazdrość kiedy widział mężczyzn pochylonych niezgrabnie nad ludzką kruszyną.

Część wiernych mieszkała w blokach, w blokach, które kiedyś budowano chcąc zapewnić im życie w godności, a które stały się środowiskiem ich nowego upodlenia i nie chciał im już mówić, że się ubogacą jak się będą modlić, bo większość z nich wierzyła, że odpoczynkiem od upodlenia są tylko chwile, kiedy się mogą upić.

Wchodził do tych bloków, które mieściły pełną gamę nieszczęść nowego świata, stworzonego przez nowych szlachetnych, którzy rozpoczęli nową budowlę od pospiesznego oddawania ziemi Kościołowi, żeby pozyskać przychylność kapłanów, a zatem, jak sądzili, milczącego ludu. Wchodził do bloków, w których ich mieszkańcy tkwili bez pracy i bez nadziei, odarci z resztek godności i nie umiejący pogodzić się między sobą. Mówiono im, że chociaż stracili pracę, to przecież odzyskali wolność i ponownie kazano im odczuwać wdzięczność dla

łaskawych władców.

Wchodził do tych bloków raz do roku po kolędzie i okazjonalnie, kiedy zbliżała się śmierć i rodzina wołała wezwać księdza niż ambulans, żeby nie narażać się więcej na pogardliwe wymówki pielęgniarzy. Przychodził, gdy odchodzili jedyni żywicieli rodziny, ci którzy mieli renty lub emerytury, dzięki którym można było jeszcze zapłacić za światło. Czasem jednak było inaczej. Z takiej okazji poznał człowieka, którego nazwał w myślach Charlim Chaplinem, drobnego mężczyznę z małym wąsikiem, w bufiastych spodniach, który niewyraźnie wymamrotał swoje nazwisko, a którego nigdy wcześniej nie spotkał w kościele. Mężczyzna wezwał go do umierającej żony, która umierała na raka wątroby i chciała umrzeć w domu, przy nim i przy dzieciach. Przybiegł zdyszany, prosząc, żeby się pospieszył i szli potem przez pole do bloków, a niższy od niego o pół metra człowiek z trudem dotrzymywał mu kroku, niemal biegnąc, z kamienną twarzą, ściśniętą cierpieniem. Kiedy weszli po schodach do małego mieszkania, mężczyzna uśmiechnął się do stojącego w kącie pięcioletniego chłopca, podniósł z podłogi małego misia i wcisnął go synowi w rękę. W sypialni na łóżku siedziała starsza o rok lub dwa dziewczynka i trzymała za rękę swoją matkę. Kobieta spojrzała w kierunku drzwi i bezgłośnie poruszyła wargami.

Mężczyzna trzymał na ręku chłopca i delikatnie położył rękę na ramieniu dziewczynki – Moniczko, mamusia chce porozmawiać z księdzem.

- Mamusia nie może mówić, ale chyba ją nie boli – dziewczynka podniosła głowę, starając się ukryć ciekące łzy.

Paweł spojrzał bezradnie na mężczyznę, uśmiechnął się do leżącej w łóżku kobiety, dotknął palcami włosów chłopca wtulonego w ojca. Dziewczynka wstała i ruszyła w kierunku drzwi.

Paweł zaczął liturgię służbowego współczucia. Postawił na komodzie krzyż, zapalił świecę.

Usłyszał ciche zamknięcie drzwi.

- Słyszysz mnie – zwrócił się do leżącej na łóżku kobiety. Dała znak powiekami.
- Masz wspaniałego męża i cudowne dzieci. – W jej oczach pojawił się promień słabego uśmiechu. Paweł uklęknął, starając się, żeby widziała jego twarz. – Będę się modlił o to czego jestem pewien. Będę się modlił, żeby twoje dzieci były zawsze otoczone miłością. Nie bój się, będziesz z nimi.

Zamilkł, szukając słów, których nie umiał znaleźć, zamilkł mruczając modlitwę i dając jej ostatnie namaszczenie, zamilkł, by w końcu usiąść na brzegu łóżka, żeby zapytać, czy chce, żeby ponownie przyszli. Znow dała znak zamykając powieki. Wyszedł do kuchni i zwrócił się do dziewczynki: - Twoja mama chce mieć was wszystkich koło siebie.

Mężczyzna ponownie wziął syna na rękę, popatrzył pytająco na Pawła.

- Jeśli mogę, zostanę tu i pomodłę się za was wszystkich. Idź do żony i nie bój się, ona zawsze zostanie w twojej pamięci.

Wrócili, Paweł nie wiedział ile czasu minęło, zapadał zmrok. Mężczyzna stał przed wyzwaniem załatwiania formalności związanych ze śmiercią żony. Paweł zapytał, czy może mu pomóc? Pokręcił przecząco głową. Powiedział, że przyjdzie jutro, na dziś zostało mu już tylko wezwanie lekarza, żeby wypisał świadectwo zgonu.

Napisał do księdza profesora, jedyne wykładowcy z seminarium, do którego miał zaufanie i do którego nawet w myślach zwracał się z szacunkiem. Napisał, że prosi o rozmowę, że znalazł się na rozdrożu. Spotkali się w kilka dni później, w pokoju profesora, w którym meble wydawały się Pawłowi w równym stopniu częścią teatralnych dekoracji, jak ich język i stroje. Siadając na skórzanym fotelu przypomniał sobie nagle jak po śmierci Hanny Wiśniewskiej schodził cuchnącą pleśnią klatką schodową w blokach byłych pracowników pegeeru. Oczywiście tego samego wieczoru odnalazł jej nazwisko w spisie wiernych, wiedząc, że następnego dnia jej

mąż przyjdzie załatwiać formalności pogrzebowe i nie zamierzał go pytać jak miała na imię i jak nazywała się zmarła.

Ksiądz profesor siedział bokiem do swojego biurka, z którego nieświadomie wziął do ręki długopis. Trzymał go jak batutę, jakby zamierzał postukać nią o poręcz krzesła, by osiągnąć należyty poziom skupienia przed próbą.

- Kobieta? – zapytał z ciepłym uśmiechem, próbując przełamać oczywiste w takich sytuacjach skrepowanie.

Paweł zaprzeczył. Powiedział, że po śmierci ojca znalazł jego notatki, że zaczął wątpić i zastanawiać się nad rozstaniem z sutanną...

Ksiądz profesor podparł głowę i zatopił wzrok w ciemnym dywanie. Dopiero po chwili powiedział cicho, jakby bardziej do siebie, niż do Pawła, że rozterki są normalne, że nie mają ich tylko ci, którzy nie myślą, że najgorsza jest samotność, na którą też na ogół nie ma lekarstwa. Siedzieli naprzeciwko siebie, nie bardzo wiedząc co dalej powiedzieć. Paweł dotykał palcami zwitka papieru, który w końcu wyjął z kieszeni sutanny. Podał go profesorowi i w chwili kiedy go podawał żałował swojego odruchu. Ksiądz profesor przeczytał i spojrzał na niego pytająco.

- To fragment zapisków mojego ojca – powiedział Paweł – interesował się lokalną historią, dręczyła go bliskość Kopernika i rola Kościoła bojącego się, żeby myśli wielkich nie niepokoiły maluczkich.

Ksiądz profesor uśmiechnął się – I to jest twój problem? – zapytał. – Historia Kościoła ma swoje ciemne karty, bo Kościół to ludzie i właśnie tacy jak ty muszą przeważać szalę stron jasnych nad ciemnymi. Drogi są popłatane, trzeba umieć odszukać swoją własną ścieżkę....

- Mam czasem wrażenie, proszę księdza, że wybrałam złą rolę, że ciągle gram w teatrze, że jestem jakimś przebierańcem, oszukującym siebie i innych...
- Może powinieneś pojechać na studia?

- Jest gorzej, nie znajduję już pociechy w Bogu, nie jestem pewien czy jest... czy jest substancją czy przypadłością...

Przez twarz jego rozmówcy przebiegł cień gniewu. Przez moment szukał słowa – *Timszel* – powiedział wreszcie – możesz. Wiesz o czym mówię?

Paweł przypomniał sobie dyskusję, którą mieli kiedyś o książce Steinbecka, o potomstwie Kaina i bezdzielnym Ablu, o szukaniu dobra i zła w dolinie Salinas. *Timszel* – mamy wolny wybór, jest to również możliwość wyboru wyjścia z teatru, zdjęcia kostiumu, zmienienia roli.

Kiedy powiedział to głośno, ksiądz profesor odłożył długopis na biurko i położył dłonie na oparciach krzesła, jakby zamierzał wstać i dać sygnał, że rozmowa jest skończona.

- Czy wiesz już z czego będziesz żył?

Paweł nie spodziewał się tego pytania. Nie podjął jeszcze decyzji, nie zastanawiał się nad przyszłością. Milczał, przyglądając się czubkom swoich butów wystającym spod sutanny. Ksiądz profesor wstał, położył mu serdecznie rękę na ramieniu.

- Nie rób niczego pochopnie. Po drugiej stronie nikt na ciebie nie czeka, tu jesteś w rodzinie i zawsze znajdziesz kogoś, kto cię zrozumie. Zadzwoń ilekroć będziesz chciał porozmawiać, pomyśl również nad możliwością dalszych studiów, jeszcze nie jest za późno.

Dopiero na ulicy Paweł uświadomił sobie jak mało powiedział, że nie umiał przekazać swoich myśli, ani swoich problemów. Sięgnął do kieszeni. Kartka z fragmentem zapisków ojca została na biurku księdza profesora. Przez wiele dni była jego talizmanem. Teraz potrzebował tego talizmanu bardziej niż kiedykolwiek.

Matka po śmierci ojca nie umiała znaleźć dla siebie żadnej roli. Codziennie chodziła na cmentarz, ale kamienna płyta, na którą wydała połowę oszczędności, nie dawała zbyt wielu

możliwości kręcenia się wokół grobu. Któregoś dnia zobaczyła na ścieżce między grobami małego, czarno białego kota z różową plamką na nosku. Kociak podszedł do niej pierwszy i otarł się o jej nogę. Dopiero kiedy spotkała go po raz trzeci zaczęła zabierać ze sobą mleko i resztki jedzenia. Teraz wypatrywała go już od bramy i cieszyła się, kiedy wychodził na ścieżkę, na jej powitanie. Z niewiadomych przyczyn, kiedy okazało się, że kotek jest kotką, nazwała ją Sabina i przy zakupach w sklepie zaczęła wyszukiwać dla niej coraz bardziej wyszukane smakołyki. Sabina była również pośredniczką w jej rozmowach z mężem, który po śmierci nie zaczął być bardziej rozmowny, aczkolwiek słuchał teraz nie okazując oznak zniecierpliwienia. Kotka natomiast słuchała aktywnie, obwąchiwała przyniesione kwiaty, czasem próbując nawet ich smaku, na dźwięk głosu podnosiła głowę, a jej zielone, czy nawet turkusowe oczy miały wyraz zrozumienia i empatii. Sabina jadła obok grobu, ale natychmiast po zjedzeniu wskakiwała na płytę i robiła jej dokładną inspekcję. Najmniejszy liść, czy gałązka były starannie przesuwane łapką tak długo aż znalazły się poza krawędzią płyty. Sabina siedziała wówczas na krawędzi grobu, patrząc z pogardą na strąconego w dół intruza.

Więc matka mówiła do Sabiny o tym swoim życiu, które nie dawało się lubić ani wcześniej, ani teraz, i o tym, że zazdrościła mężowi jego wycinków z gazet i przyjaźni z Heloizą i o swoim dzieciństwie i o marzeniach wyjazdu z tego miasta, z tej dziury, w której zostali tylko ci, których nikt nie chciał, którzy nie nadawali się do niczego. Sabina protestowała w tym miejscu krótkim miauknięciem, ale pani Macbeth była już w morderczej dolinie gniewu, z której wytrącały ją czasem nagłe odwiedziny innych wdów. Cmentarz był miejscem spotkań, dyskusji o zniczach i pięknie ciętych kwiatów. Obecność i zabawy Sabiny na płycie grobu wywoływały niechęć cmentarnych sąsiadek i wtedy pani Macbeth zgarniała kotkę w ramiona mruczając jej do ucha słowa, których nikt nie słyszał.

Śmierć męża oddała jej na chwilę syna, bo Paweł przyjeżdżał teraz często, czasem nawet

dwa razy w tygodniu. Siedzieli wtedy i pili razem herbatę, rozmawiając o życiu i o wszystkim o czym może rozmawiać matka z synem. Zapytała go kiedyś, czy sądzi, że ojciec chciałby, żeby Heloiza była pochowana razem z nim. Roześmiał się, jakby powiedziała żart i odpowiedział, że jest księdzem, jakby to miało jakikolwiek związek z jej pytaniem. Opowiedziała mu o Sabinie, nagle uświadamiając sobie, że nie chodził z nią na cmentarz, że wypytywał o ojca i szukał jego śladów, ale nie miał potrzeby odwiedzania grobu.

Teraz, kiedy czuło się ciepło wiosennego słońca, Sabina lubiła spać na nagrzanej płycie grobowca. Ten widok drażnił ludzi i bała się, iż mogą ją otłuć lub zatłuc kamieniami.

Powiedziała, że zamierza wziąć Sabinę do domu, ale nie była pewna, czy to słuszne, bo może ojciec lubi, jak ona siedzi na jego grobie...

- Mamo – powiedział z sztucznym wyrzutem i niekłamany rozbawieniem.
- No przecież wierzysz w życie po śmierci?
- Wierzę w życie przed śmiercią.
- Sama już nie wiem w co wierzyć, bo dla mnie twój ojciec żyje. Teraz może nawet bardziej niż wtedy kiedy tu był.

Paweł rozumiał, albo zdawało mu się, że rozumie tę szczególną intensywność wrażenia obecności człowieka, który odszedł i pomyślał, że równie realny i absurdalny musi być ból amputowanej nogi. Dopiero teraz zaczął zastanawiać się nad ich życiem i nad tym, dlaczego tu właśnie przyszedł na świat, w wyniku połączenia tej właśnie pary ludzi? Kiedy zadał to pytanie, matka poszła do kuchni po ciastka, a potem powiedziała, że nie wie, czy może to wszystko powiedzieć księdzu, chociaż pewnie księdzu byłoby łatwiej niż synowi, bo jak opowiedzieć o tym, że chciałam stąd uciec na koniec świata i nigdy nie oglądać tego miejsca i zapomnieć wszystkich, których znałam, rodzinny dom, szkołę i kolegów?

- Nie miałam szans na studia, ani na pracę w innym mieście, a może tylko nie miałam

wyobraźni i myślałam, że jedyną szansą jest małżeństwo, związek z kimś, kto jest już jedną nogą w innym świecie. Twój ojciec studiował w Toruniu, a ja pracowałam tu w sklepie, ale znaliśmy się i wiedziałam, że lubi podglądać ptaki, więc zaczęłam oglądać książki o ptakach, żeby umieć zacząć z nim rozmowę. Wiedziałam, że jeśli go szybko do siebie nie przekonam, to następnym razem przyjedzie z Torunia z narzeczoną, bo tam dziewczyny są lepiej wykształcone i bardziej szikowne i taki chłopak nie musiał szukać niczego w Dobrzyniu. Wtedy na Wiśle, naprzeciwko miasta, były dwie wyspy. Na jednej z nich było gniazdo czapli. Wiedziałam o tym od rybaków i to był podstęp, bo miałam nadzieję, że jak mu powiem, to mi zaproponuje, że popłyniemy tam razem. Kiedy powiedziałam mu o tym w sklepie, zainteresował się, ale nic nie powiedział. Dopiero w kilka dni później, kiedy spotkaliśmy się na ulicy, pewnie zachęcony moim uśmiechem, powiedział, że wybiera się na tę wyspę i że może miałabym ochotę popłynąć razem z nim. Domyślasz się, że miałam ochotę i że byłam gotowa na wszystko. Popłynęliśmy na tę wyspę rybacką łódką i przyglądaliśmy się stojącej w wodzie czapli, a potem szukaliśmy gniazda, aż znaleźliśmy się w jakimś miejscu, w którym mogliśmy być pewni, że nikt nas nie zobaczy. Nie ma już tej wyspy, bo potem zbudowali tamę i woda się podniosła, twój ojciec wrócił do Torunia, ale był już twoim ojcem, chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedział, a kiedy się dowiedział, przerwał studia i zaczął pracować na pocztę, bo uważał, że musi zapewnić środki do życia mnie i tobie. Myślałam, że mnie stąd zabierze, tymczasem ja zatrzymałam jego i mój świat nagle zaczął być powtórką tego wszystkiego, od czego tak bardzo chciałam uciec. Próbował jeszcze studiować zaocznie, ale przerwał te studia i przyjaźnił się tylko z tobą, mówił do dziecka jak do dorosłego, chociaż może to była moja wina, bo mnie nie interesowały ani jego książki, ani ptaki, ani spacer po skarpie i oglądanie liści jakichś roślin. Nigdy więcej nie zaszłam w ciążę i nigdy więcej nie miałam nadziei, że stąd wyjadę, ale teraz miałam żal do niego, bo myślałam, że to jego wina,

bo nawet się nie starał, jakby pogodził się z życiem bez ambicji, albo jakby wszystkie swoje ambicje przelał na ciebie. Pewnie chcesz wiedzieć, czy go kochałam? Nie wiem, czy go kochałam, wiedziałam, że jest uczciwy i dobry i nie mogłam nawet marzyć o lepszym mężu, ale może zrobiłam mu zbyt wielką krzywdę, albo tylko byłam dla niego obca, albo mieliśmy pecha i nie zdążyliśmy zrozumieć, że nie jesteśmy dla siebie. Teraz mi go brakuje i teraz go Kocham, jakbym przez wszystkie te lata nie widziała, że koło mnie jest ktoś bardzo dobry...

Paweł położył rękę na jej dłoni i zastanawiał się co zrobić z ciszą, której nie umiał wypełnić słowami. Uśmiechnął się, ale widać zdradził go wyraz twarzy, bo zapytała o czym myśli, więc przyznał uczciwie, że uświadomił sobie, że zna zbyt wiele opowieści, które bardziej pasują do sutanny niż do rozmowy z matką. Zamyśliła się i nagle podniosła głowę.

- Wcale nie chciałam, żebyś został księdzem...

Wiedział o tym, ale wtedy wierzył, że będzie umiał pomagać ludziom podnosić głowę, wierzył, że to słuszne, modlił się, żeby ten krok nie był pomyłką...był pomyłką, uwiodła go Matka Boska Taneczna zanim zrozumiał, że była ułudą. Wstał, poszedł do kuchni nastawić wodę na jeszcze jedną herbatę. Zastanawiał się w kuchni nad pytaniem, czy Bóg jest substancją czy przypadłością, nad odpowiedzią, którą na to pytanie znalazł Galileusz, nad lękiem, który bronił mu powiedzenia tego głośno i nad myślami, które miał w tej kuchni ojciec. Od lat nic się w niej nie zmieniło, jego wzrok musiał trafiać na te same zacieki na ścianie i siedząc przy kuchennym stole odczytywał z nich z pewnością ludzkie twarze i sylwetki zwierząt.

Patrząc w chmury można w nich znaleźć wszystko, prócz tego, co w nich rzeczywiście jest. Jeśli patrzysz dość długo zobaczysz twarz starca, rycerza na koniu, i lwa na skale, i dziewczynę w kąpielu. Żeby dowiedzieć się co w nich jest musisz pobrać próby, zbadać je w laboratorium, przeprowadzić analizy. O ileż ciekawiej leżeć w trawie na plecach i tylko patrzeć.

Patrzenie w chmury, jak patrzenie w ogień, zatrzymuje myśli, oczyszcza z niepokoju, pozwala na wróżby.

Odkąd Paweł pamiętał, siadali na skarpie, odnajdowali w chmurach ludzkie twarze i sylwetki zwierząt, ciesząc się ilekroć udawało im się podzielić złudzeniem. Magia złudzeń splatała się z opowiadanym przez ojca światem baśni, świat baśni z historią życia, smok z dinozaurem, widoczne z góry zejście do rzeki zmieniało się w dolinę koni, a wieczorem przy ognisku, piekąc gołębia w glinie, słyszeli wycie wilków i ryki niedźwiedzi w rui. Ale ojciec żądał również rozpoznawania obłoków i głowy starca trzeba było szukać w ciemnym nimbostratusie, a frywolne kształty dziewczyny ukrywały się w pierzastym cumulusie. Jastrząb lub czapla przerywały poszukiwania ułudy dla podziwu nad pięknem konkretnego.

Z przyzwyczajenia poszukiwał kształtów w pęknięciach tynku, w zaciekach na ścianie i w fusach kawy, kiedy był sam i kiedy obecność drugiego człowieka stawała się nagle gorszą formą samotności. Przyglądał się zaciekom na kuchennej ścianie, szukając w nich twarzy Galileusza. Próbował odgadnąć gdzie wisiał kawałek brzozy kory ze słowami papieża, który łaskawie zezwolił mu wrócić do domu we Florencji. Czemu te słowa ojciec wyniósł na ołtarze i gdzie był ołtarz? Czy tylko w kuferku? Nie, w korze został otwór po gwoździu. Gdzieś musiało być miejsce ukryte przed ludźmi, prywatny skrawek świata.

Przyjeżdżał do Dobrzynia w cywilnym ubraniu. W dżinsach i w swetrze w większym mieście roztopiał się w anonimowym tłumie, tu jednak zbyt wielu ludzi pamiętało go z dzieciństwa, więc to cywilne ubranie bardziej zwracało uwagę niż sutanna. Czasami widział kątem oka jak ktoś odwraca głowę i wstrzymuje krok. Starszym kobietom starał się kłaniać pierwszy, mówiąc zwyczajnie dzień dobry, żeby nie oddawały mu nabożnie czci, jakby naprawdę był wikarym Pana Boga. Skrzywił się, kiedy kolejny bliźni, pijaczek ze spuchniętą twarzą,

rozpoczął mozolną podróż do niego przez jedną.

- Przepraszam, kierowniku, mam do pana taką sprawę, daj kierownikowi pięćdziesiąt gorszy, bo...

Zamilkł. Patrzyli na siebie z niedowierzaniem, uświadamiając sobie nagle lata spędzone w jednej ławce, wspólne służenie do mszy i wspólne wieczory przy butelce piwa. Piotr pierwszy opuścił głowę, przestępując z nogi na nogę.

Nie widzieli się dwanaście lat i Paweł ciągle nie wierzył, że twarz stojącego przed nim człowieka jest naprawdę twarzą najbliższego przyjaciela z dzieciństwa. Piotr podniósł głowę i zapytał z ironicznym uśmiechem:

- Per pedes i w sweterku? Myślałem, że cię zobaczę w mercedesie?
- Gdzie mieszkasz – odpowiedział – jest gdzieś jakieś miejsce, gdzie możemy spokojnie porozmawiać?
- Nic się nie zmieniło, prócz upływu czasu. Zapraszam na stare śmieci – Piotr uklonił się szarmancko, udając, że piórem kapelusza zamiata ziemię.
- Przyjdę za pół godziny, muszę tylko matce odnieść zakupy.
- Jak zawsze maminsynek.

Paweł ominął go jak przeszkodę. Wściekłość, rozpacz i bezsens tego spotkania przerwało kolejne „niech będzie pochwalony” przechodzącej kobiety, która musiała go pamiętać lepiej niż on ją. Kiwnął głową i mruknął odpowiedź kiedy dogonił go okrzyk Piotra:

- Kup piwo i papierosy...

Kiedy był alumnem próbował pojąć i umocnić przeświadczenie. Teraz siedł i pamiętał słowa: *‘Panie, pozwól mi najpierw pójść i pogrzebać mego ojca’ I odparł mu Pan: ‘Zostaw umarłym grzebanie ich umarłych, a ty idź i głos królestwo Boże!’ A kiedy inny powiedział:*

‘Panie, chcę pójść z Tobą, ale pozwól mi najpierw pożegnać się z moimi w domu!’ Odpowiedział mu Pan: ‘Ktokolwiek przyklada rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa Bożego’.

Zatrzymał wzrok na krzaku bzu, którego liście wydobywały się z pąków, rozbijając zimową nagość gałęzi. Schylił się, żeby podnieść leżące w rowie opakowanie po chipsach i pudełko po papierosach. Patrzył na bezsensowne ostrzeżenie przed możliwością zachorowania na raka i pomyślał, że rak przenika wszystko i nie umiemy go już odróżnić od zdrowej tkanki, i przypomniał sobie jak napisał kiedyś na kartce papieru słowa: ‘Jeśli jest miłością to jest’ i chodził z tymi słowami w myślach, w tłumie alumnów i nauczycieli, nie mając odwagi powiedzieć ich nikomu i jak dziecko, włożył tę kartkę do butelki i wrzucił ją do rzeki, czując, że jest na bezludnej wyspie i coraz częściej łapie się na kazaniach do ptaków. Odszedł już kawałek i ponownie zobaczył oczy Piotra w spuchniętej od alkoholu twarzy, zmieniające wyraz od nagłego zdumienia i zażenowania w drwinę i złość.

- Kurwa mać – usłyszał własny głos i obejrzał się przerażony, czy nie ma świadków jego rozpacz.

„Widziałem dziś w telewizji najstarszą kobietę świata. Brazylijska Murzynka. Ma podobno 118 lat. Urodziła się jako niewolnica, z matki niewolnicy. Umysły publiczności podniecają rzeczy nadzwyczajne, ale nie wymagające wysiłku. Ta stara kobieta urodziła się w strasznych warunkach i żyła w strasznych warunkach. Niewiele rozumie z otaczającego ją świata, ale cieszy świat swoją niezwykłością.

Dobrzyń spłonął w roku 1409, w rok później była bitwa pod Grunwaldem, którą być może spalenie Dobrzyńa przez Krzyżaków jakoś przyspieszyło. Urodzony w Brudzeniu Paweł Włodkowic potępiał obyczaj nawracania mieczem na chrześcijaństwo. Bronił polskich racji na

soborze w Konstancji, protestował tam również przeciw skazaniu i spaleniu na stosie Jana Husa. Jak wiele ich łączyło? Czy znali się osobiście? Hus był znacznie ciekawszą postacią od Marcina Lutra, ale to nie najciekawszi ludzie zmieniają historię. Spalono go w 1415 roku, 102 lata później (cztery generacje, które mogłyby być spięte jednym życiem) Luter przybił swoje tezy na drzwiach kościoła w Wittemberdze.

Czy Włodkowic jako dorosły człowiek odwiedzał rodzinne włości w Brudzeniu, czy bywał w Dobrzyniu? Jak poglądy Włodkowica rzutowały na umysły ludzi w tym miasteczku? Których ludzi? Ilu mogło tu wiedzieć o jego istnieniu? Najstarsza kobieta świata urodziła się jako niewolnica. Wszyscy jesteśmy niewolnikami. Ważne jest bicie rekordów. Za miesiąc pracownicy dziennikarze dostarczą nam podniecającej informacji o pobiciu tego rekordu.”

Paweł mozolnie przepisywał słowa ojca, domyślając się znaczenia wyrazów, których nie można było już odczytać. Nie poszedł do Piotra, wrócił na plebanie, próbując powrócić do normalnego w tym zawodzie rytmu dnia regulowanego zegarem modlitw. Przez kilka tygodni rzadziej odwiedzał matkę. Wyciągał z kuferka zeszyt ojca, żeby zatrzymać natrętne myśli. - Czy wiara może szukać zrozumienia? Dlaczego zastanawianie się nad treścią wiary ma być niebezpieczne, a wątpliwości grzeszne? Wierzę w to, bo urodziłem się tu. W co wierzyłbym, gdybym się urodził w Istambule? W Kijowie, w żydowskiej rodzinie w przedwojennym Dobrzyniu? Dlaczego pasją ma być nie poparta żadnymi dowodami wiara, a grzechem i nudą szukanie prawdy? Pasja Kopernika była inna, ale za tę pasję palono na stosach. Dlaczego tak często wracamy do męczeństwa tego jednego, przemienionego w abstrakcję cierpienia na krzyżu, a tak rzadko do cierpienia ludzi zabijanych za szukanie prawdy? Cierpienie nie uszlachetnia, cierpienie rodzi okrucieństwo i nowe cierpienie, zabija zdolność myślenia, myśl ludzką zmienia w krzyk, czasem już na zawsze i wtedy nawet szept staje się echem krzyku. Czy szukamy Boga, bo potrzebujemy miłości? Nie szukamy wcale, dostajemy Go w gotowej postaci, zanim

zaczynamy myśleć, czasem, zbuntowani, szukamy nowej formuły. Bóg jest aksjomatem zmieniającym swoją formę w zależności od szerokości geograficznej. Jest dziedzictwem sprawującym władzę nad naszymi umysłami i jest techniką władzy. Może dlatego tak groźna jest każda wątpliwość? Myślenie grozi stosem, odarciem z dostojęstwa, wyklęciem, wyrzuceniem ze stada. Uczciwość? Kto tu mówi o uczciwości? Życie nie jest grą w uczciwość? Kiedy mówisz o wątpliwościach nie jesteś człowiekiem uczciwym tylko odszczepieńcem i zdrajcą.

Kroki na korytarzu kazały mu wsunąć zeszyt ojca pod poduszkę i sięgnąć po niewinną lekturę „Naszego Dziennika”. Usłyszał stukanie do drzwi. Kiedy otworzył, zobaczył mężczyznę w swoim wieku. Miał wrażenie, że zna rysy jego twarzy, ale nie pamiętał skąd. Zaprosił go do pokoju. Mężczyzna przekroczył próg i uśmiechnął się niepewnie.

- Ksiądz mnie pewnie nie poznaje, jestem Adam Kwiatkowski, z Dobrzynia...
- Z Dobrzynia? Chodziliśmy razem do szkoły? Tak oczywiście, że poznaję, proszę, wejdź, napijesz się czegoś?
- No, jakby ksiądz miał chwilę czasu.

Paweł przypomniał sobie drobnego chłopca, który siedział zwykle gdzieś z tyłu klasy i rzadko się odzywał. Był tylko tłem, jak wielu innych uczniów, o których istnieniu zapomniał niemal natychmiast po ukończeniu szkoły podstawowej. Człowiek pamięta przyjaciół i wrogów, twarze wszystkich innych, jeśli nie zrobili czegoś, co wykraczało poza przeciętność, czas wymazuje z pamięci. Teraz przypomniał sobie chłopca, który fałszował tak bardzo, że nauczyciele zabraniali mu śpiewać. Wskazał krzesło, włączył elektryczny czajnik. Adam nadal stał na środku pokoju.

- Bo widzi ksiądz, ja wiedziałem, że ksiądz tu mieszka, a akurat przyjechałem do siostry...
- Mów do mnie jak dawniej, Paweł, sutanna przecież niczego nie zmienia...
- Bez obrazy, proszę księdza, nie umiałbym tak po imieniu, to już tak mnie nauczyli...

- To ja też będę musiał mówić pan...
- No nie, proszę księdza, to to nie, zresztą ja, bez obrazy, długo nie będę, tak tylko, przywitać się chciałem i może zapytać, co ksiądz myśli...

Paweł odwrócił się i zaczął przygotowywać tacę z kubeczkami i torebkami herbaty.

- Co myślę, o czym?
- No, tak w ogóle, proszę księdza, o tym co się teraz dzieje i co będzie...
- Myślę, że może teraz będzie lepiej...
- Tak ksiądz myśli, bo ja już nie wiem? Otwiera człowiek telewizję i ciągle dowiaduje się, a to jakiś poseł, a to minister ukradł tyle, że nas w szkole nawet takich liczb nie uczyli. Jak to jest, proszę księdza, czy to naprawdę tak musi być?

Paweł postawił herbatę na stole i usiadł na łóżku. Adam siedział teraz na brzegu krzesła. Nie był tak drobny jak go pamiętał ze szkoły. Niższy od niego, ale solidnie zbudowany, miał szpakowate skronie i wzbudzającą zaufanie twarz. Kim był, sądząc po dłoniach rolnikiem jak jego ojciec.

- Proszę bardzo, proszę się częstować – powiedział wskazując na herbatę i talerzyk z pierniczkami – skromnie tu u mnie, ale rzadko przyjmuję gości.
- Bez obrazy, rzeczywiście skromnie ksiądz mieszka, ale plebania ładna.
- Opowiedz... niech pan opowie o sobie, czy ma pan żonę, dzieci, co pan robi...?
- Nie, nie, naprawdę, niech ksiądz mówi do mnie po imieniu, bo to głupio... – zachnął się i poprawił się trochę na krześle – bo, powiedzmy, ksiądz to ksiądz, a ja jestem zwykłym rolnikiem, ale chodziliśmy razem do szkoły.

Paweł zdawał sobie sprawę z tego, że próba przełamania tej kultury uniżoności nie ma sensu, że jej złamanie wymagałoby pogwałcenia tabu, że ten język to świat, z którego nie daje się uciec, świat czapki miętoszonej w rękę w obliczu proboszcza, policjanta, urzędnika, świat niewiary w partnerstwo, w którym idea społeczeństwa obywatelskiego jest groteską. Czuł wzrastający gniew

na te łańcuchy kultury i języka i zdawał sobie sprawę z śmieszności prób ich zrywania przy okazji spotkania szkolnego kolegi.

- Niech pan opowie o sobie – powiedział ponownie.
- No, powiedzmy, jestem rolnikiem – odpowiedział Adam – mam siedem hektarów ziemi, za Gierka to byłoby już sporo, ale teraz to mało, ale jakoś jest. Mamy kilka krów, mam żonę i dwie córki. Bez obrazy, ale czasem to sobie myślę, że będę im mógł zostawić wycinki z gazet o tych aferach, żeby wiedziały w jakim bogatym kraju wyrosły. Bo to, proszę księdza, musi być bardzo bogaty kraj, jak oni tak kradną i kradną i ciągle jeszcze żyjemy.
- No, może nie jest tak źle, gazety lubią skandale, mniej piszą o tym co jest dobrze...
- Mniejsza o większość, proszę księdza, ale tu na dole, to ta wolność też taka bardziej tylko dla łobuzów. Bez obrazy, ale niech ksiądz popatrzy, co dzieci widzą, że przestępstwo się opłaca, a uczciwość nie. Ludzie dobrze wiedzą kto czym jeździ, kto z kim pije, wiedzą gdzie można kupić zwolnienie chorobowe, czy rentę. Ksiądz też musi wiedzieć, że jak młody chłopak jeździ samochodem za osiemdziesiąt tysięcy, to on go nie kupił za kuroniówkę. A policja nic nie robi, albo się boi, albo...czy ja wiem, ale proszę księdza, no bo, jak to jest, że sąd nie może człowieka znaleźć, wszyscy go widzą na ulicy, a tylko policja go nie widzi. Mniejsza o większość, ale niech ksiądz mi powie, czy to tak miało być?

Adam chciał wiedzieć co Paweł myśli o świecie, w którym nie ma prawa, w którym rolnik może czekać przez rok na zapłatę za plony i nie tylko nie ma pieniędzy na to, żeby pójść do sądu, ale wie również, że gdyby poszedł do sądu to straciłby i czas, i pieniądze.

Paweł znów wpatrywał się w czubki swoich butów, czuł w sobie winę, o której nie chciał mówić i złość, dla której nie było ujścia. Spojrzał przez okno, za którym stała obsypana kwiatami jabłoń, tak piękna, jakby chciała zrównoważyć całą szpetotę tego kraju. Gorączkowo próbował sobie przypomnieć jakikolwiek szczegół ze szkoły; pasujące do tego spotkania

kolegów wspomnienie z dzieciństwa, szczegóły świadczące o partnerstwie wtedy i tworzące pomost do partnerstwa dziś. Nie pamiętał żadnego szczegółu, tylko twarz i sylwetkę chłopca stojącego zawsze gdzieś z tyłu.

- W tym parku, w którym mi ksiądz pokazywał gniazdo kosa, ludzie wycieli połowę drzew...
- Zagładał do mnie jak jesteś u siostry.

Lud uciekł od wolności, nie sądził jednak, że skorzystała z niej tylko wołomińska mafia, nie masz pojęcia jak eleganckie są niektóre cele, jak wytwornym językiem mówią czasem więźniowie, a przecież, mój drogi, trudno tu mówić o czubku góry lodowej, bo góra lodowa pływa swobodnie, czekając we mgle na swój „Titanic”. Prawo łamiał tacy jak ja, omijają tacy jak ty.

Na polnej drodze pojawił się wiśniowy polonez- pickup, ten sam, który na co dzień rozwoził po wsi butle z gazem. Tym razem jednak wioził skrzynki z piwem. Kierowca zatrzymał samochód i wysiadł. Spojrzał na Pawła, ale nie uklonił się, tylko zaczął zdejmować z samochodu skrzynki i układać je w bezpiecznej odległości od stosu.

Paweł nie chciał na niego patrzeć. Opuścił głowę i przyglądał się czubkom swoich butów wystających spod sutanny. Błyszczały na matowym tle dębowej beczki, odbijając pierwsze promienie porannego słońca. Na łące pasły się owce, niektóre z nich podchodziły bliżej i podnosiły łby, przyglądając mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Piotr wyjął ze skrzynki butelkę piwa, otworzył ją o burtę samochodu, cisnął kapsel w trawę i przysiadł na kamieniu. Zapalił papierosa, dorzucił wypaloną zapalniczkę do ułożonego wokół beczki stosu. – Najbardziej winni – mówił patrząc w kierunku płynącej nieopodal Skry – utrzymują się z kazań o ucieczce ludu od wolności. Ich honoraria są tak chytne jak cła na zagraniczne samochody dla księży. Zwiedzają świat za pieniądze zachodnich podatników, wydają swoje książki z funduszy

Ministerstwa Kultury, na naukę swoich dzieci dostają granty z fundacji na rzecz ubogich.

Dochód wysoki, podatek niski, a najlepiej wcale, no i żeby było legalnie, bo przecież porządny człowiek nie powinien łamać prawa.

Piotr odwrócił się do kierowcy, który wyładował w międzyczasie wszystkie skrzynki.

- Panie Gniadkowski, tego kota to pan położy na beczce, przy nogach księdza.

Kierowca wyjął z szoferki martwego kota i rzucił go na beczkę. Paweł podniósł głowę szukając w chmurach twarzy. Kłębiaste cumulusy powoli przesunęły się na niebie po drugiej stronie rzeki, zdawało mu się, że widzi biret i twarz wójta z Wolborza. Jak wyglądały rozmowy Frycza-Modrzewskiego z Uchańskim? Wśród młodych zaczęła się wtedy ucieczka od wolności.

Kancierz nie był jeszcze kancierzem, jeszcze nie wiedział po której stronie się opowie. Paweł usłyszał jak Piotr rozbija pustą butelkę o kamień. Spojrzał w dół. Owce znikły, po łące fruwały plastikowe torby i papiery, wszędzie leżały kolorowe butelki po napojach, pojemniki po oleju i chemikaliach, na brzegu rzeki stała na wpół zatopiona lodówka. Spojrzał w dół, kot nie był martwy. Leżał z otwartymi oczyma, najwyraźniej chory lub pokaleczony. Paweł nie mógł się po niego schylić. Mógł tylko ostrożnie przesunąć go nogą i ukryć pod sutanną. Spojrzał na Piotra. Siedział z kolejną butelką piwa w ręku i przyglądał mu się z cynicznym uśmiechem. Jego twarz była znowu twarzą chłopca, z którym razem wybierali się na rowerach do Brudzenia szukać małego Graala, czyli kubka Włodkowica. Obudził się pamiętając jakieś słowa z Księgi Praw. Obudził się na łóżku w sutannie i w butach, z książką, która jakimś cudem znalazła się pod jego plecami, obudził się w półmroku pokoju oświetlanego przez księżyc w pełni. Wstał i wyrzwał przez okno na schludny sad plebani oddzielony czerwonym murem od łąki, na której leżała sterta wyrzuconych śmieci. Nie spał już do świtu.

Pochylony nad atlasem, cedził przez zęby kazanie do ptaków. Atlas był stary, pamiętał

jeszcze czasy komunizmu i skromną pensję naczelnika poczty, który szczególnie cenił makolągwę (*carduelis cannabina*, z rodziny łuszczaków). Samica szara, samiec komunista, z czerwonym brzuszkiem, na łbie chorągiewka w tym samym kolorze. Lekko rudawy fraczek, czarno białe skrzydła (oczywiście ogon w tych samych kolorach). Ojca kazania były franciszkańskie, choć Boga nigdy do tego nie mieszał.

- Słuchaj makolągwo – mówił i wtedy makolągwa zaczynała słuchać. – Nie jesteś sówką, chociaż masz zalety, których nie ma sówka, nie jesteś również wilgą...

Samiec na gałęzi popatrzył niepewnie – pocziwy dureń z tego naczelnika, dobrze, że nieszkodliwy, nie płoszy samicy...

- *nie sieją, nie orzą*.... Na polecenie ojca - „O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego”. W seminarium o ptakach: *nie sieją nie orzą*... nie więcej, tylko tyle, *nie sieją nie orzą*..., nikt mi nie kazał, miałem wolną drogę, *timszel*, mogłem wybrać. Mogłbym być w szkole, w cywilnym ubraniu, nie z przypowieścią o ptakach, z opowieścią o życiu... o czerwonym brzuszku samca makolągwy... o dobrych genach groszku i motyla, o tych co sieją, by nakarmić dzieci...

Paweł zatrzymał gniewne myśli, żeby przyjrzeć się bliżej jemioluszcze. W dzieciństwie ojciec twierdził, że Wolna Europa brzmi jak tokowanie cudowronki, bo widzisz, synku ciągle zagłuszają, a samiec cudowronki podczas tokowania zwisa z gałęzi głową w dół i wydaje dźwięki zagłuszania. Ale cudowronki są w Nowej Gwinei, u nas samce tokują inaczej, chociaż czasem dźwięki są podobne. Podobieństwa mogą być złudne, stąd błędy Linneusza, znacznie ciekawsze od „Trybuny Ludu” oraz od tych twoich podziemnych gazetek.

Płatki z kwiatów jabłoni zaczęły opadać, mazurek witał dzień donośnym ćwierkaniem. - *Nie sieją nie orzą*... Ojciec Niebieski dał mu tłustego robaka, motyla *in spe*, jednak bez przyszłości. Dzień się zaczął – pomyślał – trzeba iść nauczać.

Szkoła. Ci, którym nie udało się wyjechać uczą dzieci tych, którzy musieli pozostać. Tu nie ma z kim rozmawiać – mówi doktor Paluch – ksiądz musi o tym wiedzieć. Nie ma tu jednego człowieka, z którym można zamienić dwa słowa. Mówi ksiądz, że ksiądz prosił o skierowanie do wiejskiej parafii? Bzdury, żeromszczyzna w czasach brazylijskich seriali. Naród przykuty do pilota reaguje zmianą kanału na najsłabszą nawet aktywację mózgu. Widzi ksiądz, tu można mieć różne teorie, ale jedno jest pewne, tu się nic nie zmienia. Chwilowo zmieniło się na gorsze, beznadzieję wzbogacono bezkarnością. Warszawa jest prowincjonalnym ruskim miastem, udającym stolicę państwa. Wymyślają sobie reformy, które mają wprowadzać w życie czynownicy z Lipna. No, niech ksiądz popatrzy na tę reformę zdrowia, na jej kolejne etapy, to taniec świętego Wita. Każdy minister ma nowe pomysły, które są natychmiast wcielane w życie przez coraz potężniejsze watahy specjalistów od wcielania pomysłów. Co i rusz toczy się przez kraj lawina zorganizowanego debilizmu i kiedy dociera tu, do nas, zwielokrotniona przez chytrłość kolejnych szczebli państwowej mądrości, to ksiądz rozumie, że debilizm pana ministra przyjmuje postać syberyjskiego meteoru. Dobrze radzę, niech się ksiądz kłania nisko biskupowi i prosi o skrócenie wyroku.

- A może my jesteśmy częścią błędnego koła, może nie trzeba się oglądać na państwo i można coś zrobić tu i teraz?

Doktor Paluch odsuwa krzesło od biurka i sięga po papierosa – Mógłbym być ojcem księdza. Przyjechałem tu jak byłem młody, też chciałem być Judymem. Różnimy się bardziej wiekiem niż sentymentami. Wioska dobrych dzikusów, do których trzeba wyciągnąć rękę, pogłaskać, opowiedzieć bajeczkę o szczotce do zębów. W podzięce ukradną księdzu rower, wybiją szybę, zgwałcą córkę. To znaczy księdzu córki nie zgwałcą, bo ksiądz przewidująco żyje w celibacie. Więc może księdzu łatwiej będzie nieść w lud oświaty kaganiec.

- Przepraszam, ale mam wrażenie, że pacjenci czekają...
- Niech czekają i tak nie mają nic innego do roboty. Jak siedzą tu, to przynajmniej nie robią nic złego.
- Czy mógłby pan doktor wypisać tę receptę?
- Oczywiście, wspomni ksiądz moje słowa, tu się nigdy nic nie zmieni, albo zmieni się na gorsze. Co to było, a proszki nasenne, co by tu księdzu dać...

Paweł wyszedł z gabinetu lekarza, wpuszczając młodą kobietę z dzieckiem na ręku. W ciemnej poczekalni siedziało kilkanaście osób, nikt nie zapalił światła, nikt niczego nie czytał, siedzieli, cierpliwie i patrzyli w ścianę, nie szukając w niej nawet ułudy. Przypomniał sobie, że recepcjonistka wprowadziła go bez kolejki. Poczuł uderzenie krwi i falę gorąca, znów złapał się na kłamstwie.

Uświadomił sobie, że myśli o nich po imieniu, ale zwracali się do niego z przesadnym szacunkiem, jakby nie byli w tym samym wieku, jakby był duńskim księciem, a on przyjmował tę dworską etykietę, bo jej łamanie robiłoby zbyt wiele hałasu. W pokoju nauczycielskim był trochę intruzem, którego wejście powodowało nagłe milknięcie, zmianę toku rozmów, nagłe przystrajanie świata w fałszywe piórka. Czasem, przypadkiem, słyszał ich głosy bez tej fałszywej nuty, ale wtedy pośpiesznie wychodził z ukrycia, żeby nie być przyczyną niezręcznej sytuacji. Czasem miał jednak ochotę pozostać w cieniu i być niemyim świadkiem prawdziwego życia. Siedział w kącie pokoju, za stojakiem z mapą, kiedy do pokoju weszły Grażyna z Janką. Słyszał głos Grażyny: Spieszę się, bo przed pierwszą mam autobus. Jadę na warsztaty jak postępować z trudnymi uczniami. Ciekawe, czy mi powiedzą co mam zrobić z Bartkiem, który zamiast do muszli sika na ścianę i z każdym dniem próbuje pobić rekord wysokości. Mam nadzieję, że tym razem nie będzie integracyjnych zabaw typu, rączka do rączki, tyłek do tyłka...

Stuknął łyżeczką o spodek i wychylił się zza stojaka.

- O, dzień dobry – powiedziała Grażyna i zamilkła speszona – Nie zauważyłam księdza.

Przypomniiał sobie jak często widywał na przerwach te dwie nauczycielki, otoczone wianuszkami uczniów, częściej uczennic, rozmawiających z tymi dzieciakami w jakiś partnerski, zwyczajny sposób. Bez trudu mógł dostrzec, że chodzi im o więcej, niż tylko o wypłatę. Zastanawiał się ile mogłyby zrobić, gdyby nie to, że wśród uczniów wzory narzucają najgorsi, których nie można się pozbyć, ani nawet ukarać. Bezkarność podniesiono do rangi humanizmu i nagle wszyscy znaleźli się w łapach humanistów. Czy Grażyna za kilka lat będzie mówić jak doktor Paluch?

Nauczycielki pospiesznie założyły kurtki i pożegnały się. Paweł spojrzał na leżący na stole zeszyt, w którym próbował nakreślić sobie plan rekolekcji przed Wielkanocą. Powinien im powiedzieć, że należy być dobrym i pilnym i dostrzegać występki i nie naśladować ludzi złych i kochać rodziców.... słowa, słowa, słowa.

Na desce do prasowania prasował swój krzyżacki płaszcz. Drażniło go, że nie wie, na jaką temperaturę nastawić żelazko. Sądząc po dotyku, płaszcz był z czystej wełny, chyba bez sztucznych dodatków, ale nie było żadnej metki, żeby to sprawdzić. Piękna robota. Czarne nitki krzyża wplecione w białą materię. Pomyślał, że pewnie tkane w Anglii, albo we Francji, chociaż mieszczeni w Toruniu mogły znać sztukę przedzenia tak równej nitki, a mistrzowie cechu tkaczy mogli znać tajemnicę tak ścisłego tkania gładkiej materii i wplatania wzoru.

Prasowanie wełny wymaga obfitego skrapiania wodą, prasowania przez lnianą szmatkę, gorąca para pozwala na wyprostowanie skręconego włókna, płaszcz staje się gładki i prosty jak obrus. Spięty na ramionach zbroi przydaje majestatu, noszony z dumą, nadaje świetności, najwyższych racji niezbitym argumentom wiary. Jego świeżość i czystość musi podkreślać

różnicę między brudnym motłochem, a świętym rycerzem. Płaszcz jest wykończeniem całości, ważnym dodatkiem. Można powiedzieć, że jest sztandarem, który dumnie powiewa na zamku, jakim jest Osoba. Tak więc, koń winien być czarny, by kontrastował z płaszczem, zbroja lśniąca, odbijająca światło słońca, pochodni lub księżyca, przyłbica uniesiona, by twarz skupioną ukazać ludowi, chód konia równy i niezbyt pospieszny. Miecz jest szczególnie ważny, bo miecz bez wątpienia skupia większą uwagę niż inne części ubrania. Brzeszczot o jedną trzecią dłuższy od długości ręki, pochwa i rękojeść ozdobne, pochwa w połowie ukryta pod płaszczem, by wzbudzała ciekawość. Krzyż na płaszczu i rękojeść miecza są tym samym symbolem, zwycięstwa pokory.

Paweł ostrożnie dociskał żelazko i przesuwiał, kolejne fragmenty materiału, zastanawiając się, czy zdąży wyczyścić i naoliwić zbroję przed poranną mszą. Kiedy miecz opada, skrzypienie metalu mogłoby śmieszyć publiczność. Obudziło go niepokojące pytanie o miejsce pierwiastka pałubicznego w tablicy Mendelejewa.

Bezkresne wysypiska śmieci na terenach rustykalnych, znaczone figurami gipsowych świętych, poświęcone pola, twarze przechodniów naznaczone podejrzliwością, nienawiścią bliźniego, nie pozbawioną podstaw w kulturze wzajemnej pogardy.

- Podły ten naród, że strach – mówi w sklepie staruszka, której ukradli rentę, bo tylko tyle można było ukraść. Ludzie kiwają głowami, bo wszyscy wiedzą jaki naród podły. Ksiądz w sklepie wywołuje popłoch. Również mężczyźni wolą, żeby go panie obsłużyły bez kolejki, no bo po co ma patrzeć jak kupują wino. Tylko Asia zadziera głowę i marszczy brwi. Wyraźnie intruz w czerni burzy porządek świata. Stała już przed wagą i otwierała buzię, kiedy nagle świat stracił dla niej zainteresowanie. Za ladą pani Ania przechyliła głowę i zastygła w oczekiwaniu. Asia

zwróciła uwagę na jej lekko powiększone, znieruchomiałe oczy wpatrzone w usta księdza. Już ją zalewała nagła rezygnacja, kiedy poczuła dotknięcie ręki i usłyszała głos z nieba – Ta dama była pierwsza, wszyscy byli pierwsi - Wszyscy protestowali jak w greckim teatrze, ale pani Ania ponownie nawiązała z Asią kontakt wzrokowy. Asia zażądała loda na patyku i wyłożyła na ladę rozgrzane monety. Wychodziła ze sklepu z podniesioną głową i z uśmiechem, którego szukał na kamiennej twarzy.

To niepedagogiczne – mówi gruba pani, którą widywał czasem z gromadą pierwszaków - dzieci muszą szanować starszych – wszyscy czekali cierpliwie, aż kupi swój bochenek chleba i cztery banany i pójdzie sobie, pozwalając życiu biec normalnym torem.

Wyszedł ze sklepu z głową w Księdze Hioba: „ *Gdzieś był, gdy zakładałem Ziemię? Powiedz, jeśli znasz mądrość. Kto wybadał jej przestworza? Wiesz, kto ją sznurem wymierzył? (...) Czy widziałeś poród koziorożca? Widziałeś poród gazeli? Czy zliczysz miesiące, gdy noszą, i znana ci chwila rodzenia?*” Cały teleturniej dla dziesięciolatków. Ten mały stworek z perkatym nosem mógłby go wygrać bez trudu, gdyby nie zabili w niej ciekawości świata. Co mówił doktor Paluch? Oświaty kaganiec? Coś było, ktoś gdzieś użył tego zwrotu. O szkołach jezuitów? Nie, chyba później. Chyba historyk opowiadał coś o jakimś pośle w czasach komunizmu. Kim jest, nie, kim był doktor Paluch? Kim był, kiedy tu przyjechał i kim jest dziś? Sprawia wrażenie jakby był czystą nienawiścią do wszystkich i do wszystkiego. W co wierzy?

Paweł przypomniał sobie słowa wykładu: „Wiara łączy ludzi, daje poczucie wspólnoty, pozwala na braterstwo...” Słuchał tych słów w czasie wojny w byłej Jugosławii, widział w telewizji spalone kościoły, cerkwie i meczety. Tam wiara była mundurem pozwalającym odszukać swoich i naznaczyć wroga, którego wolno mordować. Wiara jest wspólnotą... Miał wrażenie, że tu ludzie zamknęli się w domach i nie potrafią być wspólnotą. Może to wina złych księży? Albo złych czasów? Albo prawdziwa wspólnota jest rzadkością i karmimy się

złudzeniami?

W polu widzenia trzech mężczyzn stali nieruchomo na krawężniku, mogła ich połączyć próba wygrzebania z kieszeni kilku złotych na butelkę owocowego wina. Młoda kobieta niosła w plastikowej torbie zakupy, dwie dziewczynki jeździły po jezdni na wrotkach, wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich i nikt nikomu nie ufał. Wspólnoty nie ma, nie jest nią ciżba w kościele, ani doroczne sprzątanie świata, czyli wyganianie dzieci ze szkoły, żeby pozbierały kilka papierków w centrum wsi. Listonosz wyhamował przed nim rower.

- Dzień dobry, zabierze ksiądz listy na plebanie?

Paweł wziął pocztę, w której były dwie gazety i kilka kopert. Niemal automatycznie kopertę adresowaną do siebie włożył w inną przegródkę torby, żeby nie otwierać prywatnej korespondencji w jadalni przy proboszczu. Kiedy wieczorem otworzył ją w swoim pokoju wyjął kartkę papieru, na której było mnóstwo odcisniętych szminką ust. A tytuł listu wymalowany był wielkimi literami z biegnącymi aż do krawędzi kartki barwnymi płomieniami: „Najdroższy, płonę z miłości, żyję tobą, oddaję ci się w dzień i w nocy. Zasypiam z rozrzuconymi nogami, żebyś mógł we mnie wejść. Oddaję ci się w kościele i w autobusie i na ławce w parku. Siedzę w autobusie i czuję jak powoli wbijam cię w siebie, jak sięgasz mojej macicy. Patrzę na ciebie i mam w mózgu fale oceanu, a w brzuchu płonącą kulę. Przyjdź mój królu i przebij mnie twoim mieczem. Gdziekolwiek jesteś, jestem z tobą i otaczam cię moją nagością i biorę cię w siebie. Nie możesz ode mnie uciec, bo jesteś we mnie. Przyjdź, bądź we mnie bardziej.” List kończył się mnóstwem czerwonych ust i serc wymalowanych szminką.

Oczywiście, przecież każdej niedzieli stał w wypełnionym po brzegi kościele i śledziły go oczy tłumu, który nie był tłumem, tylko zbiorem jednostek, z których każda miała swoje własne myśli. Ileż razy w snach przychodziły do niego twarze kobiet, ileż razy budził się zawstydzony, bo prześcieradło było mokre z powodu polucji. Więc on też powracał w cudzych snach i nie było

w tym nic niezwykłego, tylko ten list wykroczył poza ramy wstydu, który trzyma nasze sny w klatce.

Zapalił zapalnik i przytknął płomień do kartki papieru. Przyglądał się jak płomień zjada litery i czerwone odciski ust. Dopalający się skrawek papieru położył na pustym talerzyku po piernikach. Usłyszał stukanie do drzwi i do pokoju, bez czekania na odpowiedź, wszedł proboszcz. Od progu pociągnął nosem i zapytał, czy coś się paliło. Paweł powiedział, że spalił właśnie pornograficzny list od jakiejś kobiety. Proboszcz uśmiechnął się oblesnie.

- Ho, ho, to ksiądz dostaje takie listy?
- Ten był pierwszy i mam nadzieję, że ostatni.
- W tej kopercie przyszedł, można zobaczyć? Wysłany z Płocka, ale to pewnie, któraś z tych panienek, które skończyły szkołę, a teraz chodzą do gminy po kuroniówkę. Za moich czasów wiejska dziewczyna zawsze miała co robić i nie miała czasu na takie głupie myśli. Wcale nie wiem, czy te szkoły to takie dobrodziejstwo.
- To prawda – odpowiedział Paweł – strasznie mało wiemy. Zdaje się, że ksiądz proboszcz przyszedł w sprawie rekolekcji.

Tej nocy śnił czapkę stojącą w wodzie na brzegu wyspy. Płynął rybackim czółnem, czuł w dłoniach uchwyt wiosła, napięcie mięśni, opór wody. Płynął ku wyspie, której już nie było, odwracał się co chwila, szukając wzrokiem sylwetki nieruchomego ptaka. Po niebie płynęły pojedyncze obłoki i ciekaw był jak wygląda lewa strona chmur.

Lewą stronę chmur widział tylko raz, kiedy leciał samolotem do Rzymu. Miał wtedy wrażenie, że mógłby biec po niej na nartach, w wełnianej czapce i w rękawiczkach, zadrzeć głowę w kierunku przelatującego samolotu i pokiwać ręką patrzącemu z okna mężczyźnie w czerni.

Słyszał stukanie dulek i bulgotanie wody niepokojonej piórami wiosła. Poszukiwał w obłokach twarzy, wróżby, odpowiedzi na pytania, których nie sformułował. Obejrzał się, czapla nadal stała na brzegu wyspy, do której wcale się nie zbliżył. Czółno nie zmieniało pozycji, zmieniały się tylko chmury i narastał jego niepokój. Powoli zawrócił łódź i zaczął płynąć do brzegu. Teraz wyspa oddalała się szybko, ale ciągle widział szary punkt stojącej w wodzie czapli. Poderwała się. Uniósł głowę, śledząc jej lot. Kiedy ponownie spojrzał w kierunku wyspy nie było jej już widać. Genesis – Na początku była wyspa.

Obudził się. Leżał w ciemnościach czując gwałtowne pulsowanie w skroniach. Skierował myśl ku modlitwie:

W Tobie, Panie, moja ucieczka,

Niech nie doznam wstydu na wieki;

Wyrwij mnie i wyzwól w Twej sprawiedliwości,

Nakłoń ku mnie swe ucho i ocal mnie!

Bądź mi skałą schronienia

I zamkiem warownym, aby mnie ocalić,

Boś Ty opoką moją i twierdzą.

Boże mój, wyrwij mnie z rąk niegodziwca,

Od pięści złoczyńcy i ciemieżyciela. (Psalm 70(71) BT, str. 632

Dokąd chciał uciekać autor tego psalmu i kim byli jego ciemieżyciele? Czy jest ucieczka od lęku, czy jest miłość; czy jest wspólnota, czy gipsowa figura może unieść głowę? Uciekamy na oślep, zostawiając za sobą najslabszych, uciekamy zamiast budować, uciekamy zabierając ze sobą strach i nienawiść, wychodzimy na drogę, przy której zbudowali miejskie blokowiska, z których na wieś wyjeżdżają samochodami ogolone łby z torbami narkotyków.

Przypomniął sobie uśmiech dziewczynki z lodem w rękę, zadowolonej, że tym razem nikt jej nie odepchnął. Wyobraził sobie, że idą razem po lesie i toczą rozmowy z młodymi dębami, razem śledzą wiewiórkę na drzewie i słuchają wołania oszustki kukułki. Zapadł ponownie w sen.

Paweł obudził się o świcie zdumiony kolejnym snem, którego urywki powracały przy myciu zębów, a potem przy porannej kawie. „Jeszcze Polska”, słowa mówione cicho, własnym głosem, w rytmie z lektury Hioba: *A czy wiedzieliśmy kim był autor, czy czytaliśmy jego pamiętniki, czy rozumieliśmy spory, które toczył, czy rozumieliśmy sądy, które wydawał..?* Zastanawiał się, jak działa umysł? Jak znalazł w nocy Józefa Wybickiego? Czemu go przywołał? Zeszytu ojca nie dotykał od wielu dni. Pamiętał, że ojciec przepisał fragment pamiętników Wybickiego, ale Paweł nie zwrócił na tę stronę specjalnej uwagi i nie wracał do niej myślami, więc te słowa wróciły same we śnie, w sekwencji po śnie z Asią. Wrócił do swojego pokoju. Miał jeszcze pięć minut. Wyjął z kuferka zeszyt i pospiesznie przeglądał kartki. Znalazł. Wyblakłe, drobne pismo ojca: „*Myśleć nas nie uczono...(nieczytelne słowa)...Poruczona została jezuitom (...) w których dzikie i tyrańskie ręce z woli rodziców wpadliśmy. U nich żywość dowcipu, ciekawość, łatwe pojęcie, te dary najdroższe natury, gdy dobrze z młodości prowadzone, były w ich oczach przywarą (...) należało być złodowacią, ponurym, milczącym jak zwykle mnichy, aż do podłości pokornym. (...) Barbarzyńcy! Chcieli mieć z młodzieży cienie i mary, z ludzi wolnych bydła w jarzmie (...) Oni to rzucili nasienie zguby naszej publicznej, które nam wydało owoc hańby i niewoli.*”

Pospiesznie zamknął zeszyt w kuferku. Zgarnął notatki przygotowane do kazania dla młodzieży, z którą przez trzy dni miał mieć rekolekcje poświęcone „Pasji”, Bogu i Ojczyźnie.

Chłodny poranek, bezchmurne niebo, orgia kwiatów. Czy można uczniom opowiedzieć o

tym, co myślał i pisał autor hymnu, a potem Prezes Sądu Najwyższego w Królestwie Polskim? Czy senne buzie by się ożywiły? „*Jeszcze Polska...*” zostaw umarłym grzebanie umarłych... sprawdził guziki sutanny i wybiegł pospiesznie w chłód poranka.

Po Wielkanocy Sabina zamieszkała w domu matki. Siedziała zwykle na oparciu sofy, z miną gotowego do zabawy sfinksa. Nową obsesją matki była teraz sterylizacja, szybkie i trwałe zabezpieczenie się przed koniecznością kociobójstwa, bo jak mówiła do Pawła: chętnych na małe nie znajdę, na ulicę nie wyrzucę, a topić też nie będę. Paweł zastanawiał się, czy najlepszym rozwiązaniem nie byłby kontakt z weterynarzem. Matka spojrzała na niego gniewnie.

- A może ona powinna raz urodzić, ale za rok, bo teraz jest jeszcze taka mała?

Ponownie zalecił kontakt z weterynarzem mówiąc, że są już środki antykoncepcyjne dla kotów, które pozwalają uchronić się przed niepożądaną ciążą. Spojrzał w zielone oczy Sabiny, które przywoływały pamięć nie tyle początków Rzymu, ile miasta w Delcie Nilu, w którym byłaby wcieleniem Bastet, egipskiej bogini radości i zabawy. Z zadumy wyrwał go głos matki:

- A ty skąd o tym wiesz?

- O czym?

- No, o tych środkach antykoncepcyjnych dla kotów?

- Nie wiem, może przeczytałem w gazecie, a może rozmawiałem z kimś, nie pamiętam.

Pomyślał, że musiał o tym czytać, że bardzo rzadko rozmawiał z wiernymi o ich zwierzętach, a już z pewnością nie rozmawiał z nimi o metodach chronienia się przed niepożądanym potomstwem. Dlaczego? Czyżby kryło się tu jakieś ciche tabu? Sabina obwachała jego rękę, a potem powoli weszła na kolana, dając do zrozumienia, że zezwala na czułości. Poglaskał ją. Usadowiła się wygodniej i zaczęła mruczeć.

- Twój ojciec robił Heloizie jakieś zastrzyki.

- Sam? – zdziwił się Paweł.
- Tak. Przepraszał ją długo, potem zawijał ją w ręcznik, żeby mu się nie wyrywała i robił jej jakieś zastrzyki, które kupował we Włocławku. A ty, umiesz robić zastrzyki kotom – zapytała nagle.
- Tego nie uczyli nas w seminarium.

Zlekceważyła jego odpowiedź, zastanawiając się nad pytaniem jak się dostać z kotem do Włocławka. Powiedział, że przecież jest weterynarz w Dobrzyniu.

- Nie znasz się na kotach – odpowiedziała ze złością – Sabina potrzebuje lepszej opieki niż jakiś weterynarz z Dobrzynia.
- Skąd wiesz, że weterynarz z Dobrzynia nie jest miłośnikiem kotów i świetnym fachowcem?
- Ojciec kupował zastrzyki dla Heloizy we Włocławku.

To ostatnie stwierdzenie zamykało dyskusję. Paweł zastanawiał się nad wielopiętrowym mechanizmem wzajemnych nieufności.

Kim byli dobrzyńscy Żydzi? Mieszkali wśród nas, zniknęli, nikogo nie straszą, nikt o nich nie pyta. Milczenie. Nie ma dokumentów, nie ma historii. Kiedy tu przyszli, jak długo żyli wśród nas? W czasach Kopernika, w roku 1542 w Kaliszu wybuchł pogrom. Tłum wpadł do synagogi i sprofanował Torę. Tego samego roku Kalisz przyjął grupę żydowskich uciekinierów z Pragi. Co się działo u nas? Dlaczego to miasto jest bez historii?

W pobliskiej wsi ksiądz walczy o zwolnienie dyrektora, który chciał nadać szkole imię Janusza Korczaka, straszy z ambony, że teraz będą w klasach wieszać gwiazdę Dawida. W Dobrzyniu, na chodniku ktoś napisał szkolną kredą: „Juden raus”. Dokąd idziemy pod światłym przewodem?

Paweł zastanawiał się, w którym roku ojciec mógł pisać tę notatkę? W

dziewięćdziesiątym pierwszym lub dziewięćdziesiątym drugim? Wypytywał go wtedy czego na temat judaizmu i naszej wspólnej historii uczyli w seminarium? Niczego nie uczyli, Izrael był tylko Ziemią Świętą, wspólną przeszłość udawało się omijać, czasem tylko na korytarzu bawiono się dowcipami o „żydkach”. Wszyscy zgodnie wybuchali śmiechem, nikt nie protestował.

Ojciec pokazywał mu fotografię synagogi. Stała przy Zduńskiej? Drewniany budynek, podobno z początków dziewiętnastego wieku. Czy to była pierwsza dobrzyńska synagoga? Co było wcześniej? Jak to wyglądało? Młodzi ludzie z polskich i żydowskich domów musieli się spotykać. Czy były przyjaźnie? Jeśli były miłości, czy młodzi musieli je ukrywać? Czy były mieszane małżeństwa? Tyle pytań bez żadnej odpowiedzi. Przypomniał mu się cytat z Talmudu, z odległej starożytności: „Świat podtrzymują oddechy dzieci biegnących do szkoły”. Na fotografii budynku synagogi widać było zegar, uświadomił sobie, że katolickie kościoły rzadko mają na wieżach zegary. Te, które mają, to zazwyczaj kościoły odebrane protestantom. Czemu? Czyżby kryła się tu jakaś mroczna tajemnica, konflikt między czasem mierzonym solidnym instrumentem, a czasem modlitw, świtów i zmierzchów? Wszyscy żydowscy chłopcy w Dobrzyniu umieli czytać i pisać od niepamiętnych czasów. To też mogło być powodem nienawiści.

Po kolejnej wizycie u matki poszedł do mieszkania Piotra. Idąc tam, pomyślał, że się ucieszy jeśli go nie będzie w domu, ale Piotr otworzył mu drzwi i powitał zdumionym, ale serdecznym uśmiechem. Zaprosił ręką do pokoju, trochę zażenowany bałaganem.

- Szkoda, że nie wiedziałem, posprzątałbym...

Paweł wzruszył ramionami, powiedział, że nie przyszedł oglądać mieszkania, że to wszystko nie daje mu spokoju...

- Co wszystko – zapytał Piotr, w jego głosie znów pojawiła się nuta drwiny – chcesz

powiedzieć, że przychodzisz po kolędzie?

- Nie, przychodzę do przyjaciela, który mi się gdzieś zgubił...
- Tak wyszło – Piotr zdjął ze stołu szklanki po herbacie, przetrął stół szmatką, wyrzucił okruchy chleba przez otwarte okno, uśmiechnął się do Pawła – przyzwyczajenie z więzienia, wszystkie okruchy idą za okno, żeby przywabić ptaki, znałem faceta, któremu udało się nawet oswoić szpaka. Kawał skurwysyna, ale tym szpakiem to mi imponował.
- Długo siedziałeś?
- Długo... słuchaj, pożycz na piwo, będzie łatwiej rozmawiać. Łeb mi pęka...

Paweł bez słowa wyjął z portmonetki dziesięć złotych. Zastanawiał się, czy robi słusznie, a równocześnie nie chciał ani odmawiać, ani wdawać się w dyskusję. Patrzył jak Piotr pospiesznie zakłada buty i wybiega z mieszkania, a potem patrzył na to mieszkanie, które pamiętał z dzieciństwa, a które teraz było tylko bardziej zniszczone. Ten sam był również widok przez okno, widok na szeroki zalew, kończący się po drugiej stronie linią lasu. Sięgnął po stojącą na parapecie lornetkę. Po drugiej stronie wybudowano przystań dla żaglówek, po tej nie działo się nic. Zachodzące słońce odbijało się w wodzie, na której nie było ani jednej łodzi. Przy drugim brzegu wypatrzył kilka łabędzi. ‘Dlaczego nawet łabędzie uciekały na drugą stronę? Brudna woda? Większe zanieczyszczenia? Może tylko wolniejszy nurt, albo mają tam lepsze miejsca na legowiska. Nie ma co wyciągać wniosków z bigosu nieznanych faktów’. Przesunął lornetkę w lewo, próbując się domyśleć, w którym miejscu była wyspa z gniazdem czapli. ‘Musiało być na niej jakieś drzewo, bo czaple budują swoje gniazda wysoko na drzewach. A może nie było tam żadnego gniazda, może wszystko było tylko podstępem?’ Ponownie skierował lornetkę na lasy po drugiej stronie Wisły. Uświadomił sobie, że tam zaczynał się zabór niemiecki, były inne pieniądze, inne szkoły, inne prawa. Wcześniej, dużo wcześniej, Dobrzyń był miastem granicznym, po zachodniej stronie zaczynały się ziemie krzyżackie...Usłyszał kroki na schodach.

Wszedł Piotr. Z plastikowej torby wyjął i postawił na stole trzy puszki piwa. Poszedł do kuchni po szklanki, usiadł i otworzył puszkę.

- Europa!

Paweł nie chciał robić demonstracji. Obserwował jak Piotr nalewa piwo do dwóch szklanek.

Patrzył jak pospiesznie wypija kilka łyków i sięga po leżącą na stole paszkę papierosów.

- Palisz fajki – wyciągnął rękę z papierosami w jego stronę. Pokręcił głową i upił łyk piwa ze swojej szklanki. Na twarzy Piotra znów pojawił się drwiący uśmiech. – Kościół rzucił palenie, ale mówią, że go nadal strasznie ciągnie.
- Stać cię na lepsze dowcipy.
- Sorry. Nie bardzo wiem, jak się rozmawia z księdzem.
- To zapomnij, że jestem księdzem i rozmawiaj jak człowiek.
- O czym? O wódzie, o pierdłu, czy o świetlanej przyszłości? Zastanawiałem się nawet co ci powiem, jeśli się kiedyś znowu spotkamy. Co mam ci powiedzieć? Że się wszystko zesrało? No zesrało się i co, umiesz mi pomóc?
- Byłeś najlepszy w szkole, zawsze cię podziwiałem...
- A potem wódka i choroba szalonych krów...
- O czym mówisz?
- Wiesz co to jest alkoholizm? Rozmiękczenie mózgu. Nie ma cię, zero możliwości...
- A więzienie? Nie wyleczyłeś się w więzieniu?
- Węzienie z niczego nie leczy, jak umiesz się urządzać to i w więzieniu pijesz, a jak wychodzisz to nie trzeźwiejesz. Z czego jeszcze mam ci się wypowiadać?
- Piotr, nie błaznuj. – Paweł sięgnął po szklankę bo wydawało mu się, że tylko w ten sposób może przywołać cię dawnej przyjaźni. – Nie próbowałeś się uczyć w więzieniu, studiować, wyrwać się z tego wszystkiego?

- Dużo czytałem, nie masz pojęcia jakie dziwne rzeczy człowiek znajduje w więziennych bibliotekach. Spotykałem ciekawych ludzi, kilka miesięcy siedziałem w celi z profesorem, który zakładał wyższą uczelnię, a potem ukradł kasę. I wiesz co? Musieli go wypuścić, bo nie mieli na niego kwitów. Gdyby chłopci tak pracowali jak te nasze urzędasy, to byśmy dawno z głodu zdechli, ale te gnojki twierdzą, że to oni nas wszystkich utrzymują. Jakbym nawet nie był alkoholikiem i złodziejem, to jak myślisz, kim bym był?
- Daj spokój, większość ludzi żyje uczciwie.
- Co ty wiesz o życiu? Mógłbym ci opowiedzieć historie, o których nawet w gazetach nie piszą. Ten kraj jest tak przeżarty, że nie ma się co wysilać.
- Masz jakąś dziewczynę?
- Ja, dziewczynę, człowieku, jak mi się trafi forsa to idę na kurwy. Chyba, że nie zdążę. A jak idę z forszą na kurwy, to jak się budzę, nie ma już ani kurwy, ani forsy. Teraz się uchytryłem, jak idę na dziwki, to biorę tylko tyle forsy ile mi potrzeba, żeby się upić. Tak więc, kapitanie, obaj żyjemy w celibacie, bo pewnie ten twój celibat też taki bardziej przerywany.

Paweł bawił się szklaną z piwem, zastanawiając się co ma odpowiedzieć. Jaki sens mogła mieć ta rozmowa, czy mogła cokolwiek zmienić? Siedzieli naprzeciwko siebie, oddzielała ich jednak przepaść, której nie mogły wypełnić słowa, ale nie miał niczego więcej prócz słów.

- Gdybyś chciał walczyć z tym alkoholizmem wiesz, że są sposoby, może mógłbym ci pomóc...

Piotr roześmiał się i wlał resztę piwa do swojej szklanki. – Wszywałem sobie esperal a potem wycinałem go żyłką. A poza tym, po co? Z mojego życia już nic się nie robi. Im szybciej to się skończy tym lepiej.

- Zawsze trzeba mieć nadzieję. - Paweł usłyszał swój głos i niemal równoczesne parsknięcie Piotra.

- Piękne miejsce na kazanie o nadziei. Ja ci powiem, stary, jakby Jezus tu przyszedł i zaczął chodzić po zalewie, to by się tylko naraził. Zaraz by ktoś powiedział: Jezus, nie łaż tu, kurwa, bo mi ryby płoszysz... Pokaż mi jedną jasną stronę tego życia...
- Możesz pomagać innym... pamiętasz jak uczyłeś dzieciaki jeździć na łyżwach...
- Póki się jeden z nich nie utopił w Wiśle. Nikt nawet nie miał do mnie pretensji, może nawet nikt nie wiedział, że gówniarz ode mnie dostał te łyżwy. A poza tym, ja już z tego nie wyjdę, widzisz jak wyglądam.

Paweł podszedł do okna. Słońce już zaszło, ale było jeszcze zupełnie widno. Po wodzie powoli przesuwało się rybackie czółno. – Nikt nie może ci pomóc jak sam nie będziesz nawet próbował. Wiesz gdzie jestem. Jeśli tylko będziesz mnie potrzebował, przyjdź, albo daj znać, żebym przyszedł.

Codziennosc bez miejsca na szczerość i przyjaźń zaprasza do internetu, w świat zbliżony do konfesjonału, domniemanej szczerości, ale bez twarzy, wymiany myśli bez lęku przed bezpośrednią konfrontacją. Paweł zaglądał czasem na forum wątplących, zastanawiając się nad tym, jak formułują swoje myśli inni. Jeden z internautów pisał: „...ewolucjonista nie może być jednocześnie chrześcijaninem. Kościół w obliczu przegranej, w trosce nie o prawdę, a o dalsze istnienie, zaakceptował ewolucję. Tymczasem Jezus uważał, że jest potomkiem Adama i Ewy. Adam był doskonały i zgrzeszył – Jezus swoją śmiercią odkupił tę niedoskonałość. Fakty wskazują, że człowiek rozwijał się powoli, a jego życie nigdy nie było "doskonałe". Nigdy nie żył w żadnym "raju". Powoli podporządkowywał sobie otoczenie, aby mu się znośniej żyło. Jeśli Kościół akceptuje

ewolucję, to ofiara Jezusa traci jakiejkolwiek znaczenie. Za kogo Jezus umarł? Za Australopiteka, Homo habilis, Homo erectus, neandertalczyka? Gdzie kończy się zwierzę, a zaczyna człowiek? Kim jest ojciec - zwierzak bez duszy nieśmiertelnej, który spłodził syna - człowieka z duszą, który może być zbawiony ? Albo Noe i potop. Podobno wydarzył się 2370 p.n.e. Przed potopem i krótko po nim biblijni patriarchowie żyli po kilkaset lat. W tym czasie faraonowie (ciągła sukcesja od 3000p.n.e.) żyli tak jak my po kilkadziesiąt lat.

Dowodów przeciwko prawdziwości jakiejkolwiek religii zebrałem tyle, że kilka dni nie starczyłoby, aby to opowiedzieć. Moja rada dla wszystkich: Nie dajcie się omamić żadnej religii, Będziecie się zadręczać swoimi "grzechami", będziecie całe życie prowadzić modlitewny monolog, na dodatek zatrujecie swoje dzieci kłamstwem, które wam wpojono. Dziś jestem wolnym, szczęśliwym człowiekiem. Mam wielką satysfakcję, że udało mi się dzięki wielu wysiłkom ustalić fakty. Takiego samopoczucia nie dostarczy żaden religijny "haj".

Papieska Akademia Nauk dopuszcza gradację, pobłażliwy uśmiech wobec naiwnej wiary w biblijny opis stworzenia świata, w potop, w cuda, w Ziemię będącą centrum kosmosu. Ewolucja nie jest przeszkodą dla wiary. Jest wiara dla maluczkich i dla świątłych i dla tych najświatlejszych, od których wymagana jest tylko lojalność, ostrożność by nie mieszać maluczkim w głowach i nie podważać kościelnego monopolu na dobro.

Paweł spojrzał przez okno. Przypomniwał sobie pobyt w Rzymie, wizytę w pięknym

pałacyku w watykańskich ogrodach. Akademia powstała w 1603 roku, w trzy lata po spaleniu Giordano Bruno, Wśród jej pierwszych uczonych był Galileusz. Przypomniawszy sobie głos przewodnika: „Akademię założył książę Federico Cesi, dla którego nauka była modlitwą, bo przez naukę człowiek odkrywa i zdobywa nowy świat, a zarazem prosi Boga, aby pokazał mu, jak z niego dobrze korzystać”.

Zamknął komputer. W szkole nie musiał się martwić, że ktoś sprawdzi kto odwiedzał tę stronę. Dziwne forum. Niektóre wypowiedzi były naiwne, niektóre dojrzałe, ale w jakiś sposób pełne przejęcia i zasługujące na szacunek. Z wyjątkiem jednego warknięcia kogoś, kto napisał, że te wypowiedzi obrażają jego uczucia religijne. Człowiek dobrze wychowany, tak dobrze, że gotów jest zabijać w obronie myśli, które mu włożono do głowy; człowiek którego nigdy nie dręczyły wątpliwości i którego wszelkie myślenie obraża.

Zamknął pracownię i odniósł klucz do pokoju nauczycielskiego; siedł pustym korytarzem, z zamyślenia wyrwał go głos woźnej:

- Czy ksiądz myśli, że dziewczyna powinna studiować psychologię? – podniósł głowę i zatrzymał się. Widywał tę kobietę niemal codziennie, kłaniał się jej, mówił dzień dobry, ale nigdy z nią nie rozmawiał. Stała przed nim, oparta o szczotkę, najwyraźniej, podobnie jak on, zatopiona we własnych myślach i uradowana z powodu okazji, że może je usłyszeć.- No bo widzi ksiądz, ja córce mówię; lekarka, albo pielęgniarka to tak, albo nauczycielka, ale co to ludziom w duszę zaglądać. Duszy się nie naprawi, a wyleczyć człowieka można, czy nie tak?
- No, ale córka chce być psychologiem, pewnie i tak pani nie posłucha...
- A jakby ksiądz mi dał jaką dobrą radę...
- Nie mam dobrej rady...
- Tak i myślałam, bo księdzu to dobrze z oczu patrzy, więc pomyślałam: pewnie też nie wie, ale co mi szkodzi zapytać – uśmiechnęła się i uchwyciła mocniej szczotkę.

Zasypiając widział wyraźny obraz mężczyzny w rozpiętym prochowcu. Przechodził przez podmiejską ulicę jakiegoś dużego miasta, w rękę trzymał trąbkę. Paweł poszedł za nim. Mężczyzna przeszedł przez plac zabaw, wszedł na skwer otoczony czterema blokami. Rozejrzał się. W jednym z bloków, na drugim piętrze kobieta myła okno. Zdecydował, że ona będzie jego słuchaczką, podszedł kilka kroków i zaczął grać. Paweł pamiętał tę melodię. Słyszał ją dawno temu w jakimś włoskim filmie. Mężczyzna grał z większą wirtuozerią niż Paweł się tego spodziewał, przerwał, opuścił trąbkę i spojrzał w ziemię, szukał w myślach dźwięków. Uśmiechnął się i znów podniósł trąbkę. Nagle zabrzmiał klasyczny jazz. Paweł przypomniał sobie płytę Armstronga. Na papierowej okładce twarz czarnego muzyka z wydętymi policzkami. Ojciec czasami nastawiał tę płytę i słuchał jej patrząc przez okno. Uświadomił sobie we śnie, że ojciec nastawiał ją tylko wtedy, kiedy matki nie było w domu. Czy ta muzyka była pomostem do niespełnionych marzeń? We śnie mężczyzna z trąbką spuścił wyobraźnię ze smyczy. W kilku oknach pojawiły się twarze, ale on grał tylko dla kobiety myjącej okno. Wiedziała, że gra dla niej. Zastygła z płynem do mycia okien i ściereczką w rękę. Mężczyzna w prochowcu nie był ani młody ani piękny, a jednak nie odrywała od niego wzroku. Była muzą, była jego natchnieniem i ta muzyka była tak przejmująca, bo grał tylko dla niej. Rano, kiedy Paweł przypomniał sobie ten sen, uświadomił sobie, że się nagle skończył, że widział po nim jakieś strzępy obrazów, których nie mógł połączyć w całość. Pamiętał uczucie spadania, strachu i ciemności. Rano stał przy otwartym oknie pokoju na plebani i próbował sobie przypomnieć twarz kobiety we śnie. Miała oczy jakie widział u kobiet na średniowiecznych obrazach; ich oczy miały zwykłe migdałowy kształt, intensywne spojrzenie. Intensywne spojrzenie młodych modelek mogło być autentyczne, mogło być świadomym, albo i nieświadomym zapisem związków między artystą i modelką. Te dziewczyny często łączyły rolę ustawionego we właściwej pozie i we właściwym świetle modelu,

ale również kochanki i muzy, więc na starych portretach czasem widzimy oczy tej ostatniej. Mężczyzna i kobieta, których widział we śnie byli zupełnie obcy. Był pewien, że nigdy nie widział ich twarzy i zastanawiał się jak umysł konstruuje nieznane twarze. Czy wyciąga z albumu podświadomości wizerunki twarzy zarejestrowanych na ulicy, twarze widziane wczoraj lub kilkadziesiąt lat temu? Dlaczego granica między jawą i snem była tak krucha? Pamiętał świadomość zasypiania i pierwsze sceny snu. Jak początek filmu, kiedy jeszcze jesteśmy świadomi rzeczywistości i powoli zaczynamy wchodzić w wirtualny świat.

Czy ten sen był przypowieścią, opowieścią z morałem, preambułą do kazania o muzach? Skąd się jednak wziął? Czy miał jakiś związek z czytanim wiele dni temu zapisem ojca o Wandzie? Wrócił do tego zapisu dopiero wieczorem, po dniu pełnym zajęć. Wyjął zeszyt z kuferka i odszukał właściwą stronę. Ojciec pisał:

Nasi politycy mają jedną muzę – Wandę co Niemca nie chciała. Część mówi o swoim strachu otwarcie, część po cichu. Chcieliby do Europy, ale najchętniej przez Francję, nieliczni przez Anglię, a większość narodu chciałaby dostać się do tej Europy przez Amerykę. Więc Wanda jest teraz wszędzie. Wychodzi na brzeg Wisły i otrząsa się ze wstrętem. (Ze wstrętem do Niemca, czy dlatego, że woda brudna i śmierdząca?) Narodowa muza przypomina również o naszych początkach. Chrześcijaństwo dostaliśmy od Niemców, ale wolimy udawać, że od Czechów. Protestantyzm przyszedł do nas z Czech, ale wolimy go widzieć jako niemiecką zarazę. Śmierci Husa nikt u nas nie świętował, a z lutrami rozprawiliśmy się ostatecznie podczas Konfederacji Barskiej. Duchowe potomstwo księdza Marka tarza się w objęciach Wandy.

Świat za oknem spowity był mgłą. W szkole zaczęła się plaga narkotyków. Jakies sygnały docierały do Pawła od dawna, nikt nie chciał jednak o tym mówić, właściwie nic się nie działo. Słyszał, że po narkotyki sięgają już nie tylko dzieci zaniedbane, ale również uczniowie z rodzin,

w których jest miłość. Słyszał o przypadkach przypalania się papierosami i cięcia skóry ostrymi narzędziami. Autoagresja prawdopodobnie spowodowana strachem i niemożnością ucieczki. Żeby im pomóc trzeba by to robić wspólnie, szkoła, rodzice, Kościół, policja. Najbardziej oporni okazują się rodzice. Nikt nie próbuje nawet budować wspólnoty, która broniłaby nasze dzieci przez zagładą. Wszystkie próby rozbijają się o mur milczenia, odwracanie głów, spuszczenie oczu, wiara, że wszystko samo uspokoi się i wróci do normy. W kościele, na podłodze znalazł kartkę: „Jak nie oddasz kasy zajebie cie.” Jedni uważają, że to nie ich sprawa, że ich dzieciom nic nie grozi, że te, które biorą, są po prostu zdemoralizowane. Inni, ci których dzieci dostały się w szpony bandziorów, że to nie nasza sprawa, że poradzą sobie z tym sami. Jeszcze inni wietrzą okazję zarobku. Są grzechy, z których nikt się nie spowiada. Co się stało z płytą Armstrąga? Czarny winylowy krążek, którego nie ma już na czym odtworzyć. Niespełnione marzenia ojca. O czym? O ucieczce na drugi koniec świata, czy tylko o prawie do innej pracy i do innych spotkań? Tęsknota do życia z podniesioną głową? Dlaczego nigdy nie pisał do brata? Zerwał z rodziną, zamknął się w sobie, na nic już nie czekał. Powiedział mi kiedyś: „...oni się łudzą, że niechęć do nich jest tęsknotą do komunizmu, nie chcą znać prawdy, a spojrzenie w lustro mogłoby ich zabić. Po raz kolejny przegraliśmy wolność.”

Przed jego śmiercią widywali się rzadko i jeszcze rzadziej rozmawiali. Czasami wypowiadali zdania orzekające, które nie były nawet wstępem do dyskusji. Paweł nie rozumiał i nie chciał rozumieć polityki, nudziły go telewizyjne dzienniki, drażnił go język gazet. Zgadzał się, że znowu przegraliśmy wolność, ale czy istniała gdzieś odpowiedź dlaczego? Czy znał ją kapłan Peruna? Czy zapisał ją może na jakimś kawałku kory dla potomności?

Na szosie wiodącej do szkoły cienie wyłaniały się nagle z mgły i przybierały solidną postać. Drzewo na zakręcie było kiedyś przyczyną śmierci jakiegoś kierowcy. Policja zabrała wrak samochodu, rodzina ciało zmarłego, ktoś czasem stawiał znicz pod drzewem. Wieczność

mrugnęła powiekami i odwróciła głowę w inną stronę. Drzewo pyszniło się świeżą zielenią, oddzieloną od reszty świata gęstą mgłą.

Założenie w Dobrzyniu Zakonu Braci Dobrzyńskich może z perspektywy czasu wydawać się błędem. Być może największym błędem była jednak jego słabość. Mogła być spowodowana ścięciem Kristina, znakomitego dowódcy mazowieckich drużyn, którego Konrad oskarżył o zdradę. Wydaje się, że Dobrzyń może toczyć spór z Chełmem o wątpliwy zaszczyt pierwszego gospodarza Zakonu Krzyżackiego na polskiej ziemi. Zakon Braci Dobrzyńskich został założony w roku 1222. W trzy lata później jego drużyna zostaje rozbita pod Brodnicą. Niemal natychmiast Konrad zaczyna rozmowy z Zakonem Krzyżackim i sprowadza ich do Dobrzynia. Pojawiają się pierwsze wzmianki o nadaniach i wiemy, że Zakon domaga się gwarancji tych nadań ze strony cesarza Fryderyka II. Konrad nadaje im Ziemię Chełmińską. Czy miał do tego prawo? Podaje się ten sam rok przybycia rycerzy niemieckich do Chełmna i do Dobrzynia (1228). W Dobrzyniu Krzyżacy zlewają się z resztkami Zakonu Braci Dobrzyńskich i niemal natychmiast opanowują miasto, tak, że Konrad rusza z pobliskiego Płocka i odbija je zbrojnie w roku 1235.

Oficjalny dokument nadania Ziemi Chełmińskiej Zakonowi Krzyżackiemu (podpisany przez trzech biskupów) jest z roku 1230. W dokumencie nie wymienia się Dobrzynia mimo, iż w tym czasie Dobrzyń jest w rękach Zakonu. Czy rok 1235 wyznacza datę pierwszego zbrojnego konfliktu z Krzyżakami? W polsko-niemieckiej historii Dobrzyń jest tak ważny, że znajdujemy go na każdej niemieckiej mapie.

W dalszych zapiskach ojciec zastanawiał się nad imionami. Biskup płocki miał na imię Gunter, biskup pruski Chrystian. Zapewne obaj byli Niemcami. Chrystian z czasem związał się z Zakonem Krzyżackim. Czym była dla ojca historia? Nie studiował jej porządnie, raczej oddawał się historycznej refleksji, próbował odgadnąć przeszłość, przymierzając do siebie powszechnie

dostępne informacje. Nie szukał innych amatorów lokalnej historii, nie uczestniczył w sympozjach, nigdy nie napisał żadnego artykułu. Była dla niego wczorajszym snem, pozbawionym związków z dzisiejszą rzeczywistością. Albo zgoła przeciwnie glebą, na której wyrastała cała współczesność, glebą określającą możliwości wzrostu.

Czy wydarzenia sprzed wieków determinują nasze dziś? Paweł przypomniał sobie nauczyciela historii z plockiego liceum, który pokazywał im mapy greckich i rzymskich szlaków handlowych i mówił, że cywilizacje zostawiają po sobie koleiny mentalności, w które wpadają wozy późniejszych wędrowców. Pokazywał jak granice prawosławia i katolicyzmu pokrywały się niemal z wcześniejszymi drogami handlowymi Greków i Rzymian. Wanda, co Niemca nie chciała.... Polscy książęta częściej brali żony z Rusi, niż z Zachodu, ale wydaje się, że ich córki częściej były wydawane za mąż za synów książąt niemieckich. Kto pchał Wandę do ołtarza i jakie miał nadzieje? Jakie były rzeczywiste początki tej legendy?

Po trzeciej lekcji miał godzinę przerwy i siedział w pokoju nauczycielskim sam. Patrząc przez okno zobaczył biegnącą do szkoły Asię, dziewczynkę, która wychodziła ze sklepu z lodem w ręku i uśmiechem, którego szukał na kamiennej twarzy. Wyszedł na jej spotkanie na korytarz i kiedy pojawiła się w chwilę później, zapytał co się stało.

- Mama wróciła ze szpitala i chciałam ją zobaczyć – powiedziała zdyszana.

Paweł zastanawiał się, czy nie wejść z nią do klasy i nie usprawiedliwić jej spóźnienia. Nie wyglądała jednak na przerażoną, więc popatrzył tylko jak odwróciła się na pięcie i pobiegła na pierwsze piętro. Wrócił do pustego pokoju zabierając ze sobą pamięć uniesionej ku niemu twarzy dziecka. Gdyby była jego córką, robiliby razem budki dla ptaków, szukali twarzy w chmurach, kradli z łąki polne koniki, żeby z otwartej dłoni mogły skakać w zielone morza. Wyobraził sobie jak siedzi na krawędzi łóżka i gładzi jej włosy, żeby wygładzić przed snem czupurne myśli. Czy

umiałby zdobyć jej przyjaźń? Jak często patrzyłby na gniewną twarz małego buntownika? Za dwa lata zacznie zmieniać się w kobietę i odczuwać męki przepoczwarczenia się w motyla. W starszych klasach dziewczynki powoli zmieniały kształty i kokietowały świat przemienne dziecięcą przymilnością i pierwszym kobiecym już wdziękiem. Więcej było w nich łez i uśmiechów niż zdolności koncentracji, ale reagowały spontaniczną radością, kiedy im mówił, że nie może zabiegać o ich łaskawą uwagę stając na rękach, bo by mu sutanna oczy zasłaniała.

Wiele razy zastanawiał się nad pytaniem, dlaczego Matka Boska tak często przedstawiana jest jako nastolatka? Pamiętał jak w Rzymie patrzył w niemym zachwycie na Pietę i zastanawiał się nad tym zamierzonym przecież odwróceniem, bo było oczywiste, że to Ona mogła być Jego córką, a nie On Jej synem. Ten kult był kultem młodości i płodności. Nie macierzyństwa, lecz zapowiedzi macierzyństwa. Dlaczego protestanci tak zdecydowanie go odrzucili? Czy był już wówczas sygnałem zepsucia, niezdrowego powiązania kultu kobiety-dziecka z celibatem księży? W proteście przeciwko zepsuciu odrzucili i kult świętych, i celibat twierdząc, że wracają do źródeł, że kapłan ma żyć jak inni, a świątynia ma urzekać czystością a nie przepychem. Zadzwonił dzwonek. W kilka sekund później korytarz wypełnił gwar głosów. Pomyślał, że na kolejną spowiedź powinien wyjechać z Polski.

Podczas lekcji opowiadał uczniom o starożytnym Rzymie Konstantyna Wielkiego, mówił o jego nawróceniu, które oznaczało nawrócenie całego cesarstwa i właściwy początek chrześcijańskiej historii Europy.

- Co się wtedy działo nad Wisłą? - Trzydzieści par oczu patrzyło na niego bez większego zainteresowania. Opowiadał im o Wandalach przepływających się z terenów dzisiejszej Szwecji przez Bałtyk, płynących w górę Odry, ale zapewne również Wisły. W dorzeczu Wisły tu i ówdzie porzucane były ludzkie osady, zazwyczaj nad rzekami, więc

Wandalowie docierali do nich, wpadali do wiosek, mordowali mężczyzn i porywali młode kobiety. Tu nie ma po nich wielu śladów. Wiemy, że założyli swoje państwo nad górną Odrą i nad Dunajem i w czasach Konstantyna byli już groźną potęgą. A potem, wypchnięci przez inne plemiona, wyruszyli na Południe, osiedlili się najpierw w Hiszpanii, a potem w Afryce, skąd runęli na Rzym, niszcząc najcenniejsze zabytki rzymskiej kultury...

- Dlatego dziś wandali nazywamy wandalami – zapytała Małgosia sprawdzając, czy siedzący w sąsiednim rzędzie Robert widzi jej brawurę.
- Dlatego wandali nazywamy wandalami – uśmiechnął się Paweł, uświadamiając sobie, że wszelkie relacje w klasie mają teraz charakter trójstronny, że mówiąc do niego, popisują się przed sobą, bo nie mogą powstrzymać tej nieustannej gry, w której wszystko inne jest zaledwie dekoracją – Rzym upadł, historia cofnęła się o wiele stuleci, ale zostało chrześcijaństwo, które do czasów Konstantyna było prześladowaną religią niewolników, a po upadku Rzymu stało się religią cywilizującą barbarzyńców. Śmiertelne ciosy zadały Rzymowi plemiona germańskie, wśród nich Wandale, którzy przyszli z terenów dzisiejszej Polski, tu do nas Słowianie mieli przyjść znacznie później. Jesteśmy Słowianami, ale jesteśmy również dziedzicami Wandali i innych ludów, które tak często przechodziły przez te ziemie...

Zastanawiał się, czy wzbudziłby większe zainteresowanie gdyby mógł im pokazać urny, narzędzia, figury bożków? Zastanawiał się, czy skonfiskować krążącą z ławki do ławki karteczkę, czy raczej udawać, że niczego nie dostrzega...ucieszył się kiedy zobaczył wyciągniętą w górę rękę Krzysztofa, dryblasa z dziecinną buzią, który rzadko zabierał głos na lekcjach.

- Proszę księdza, co ksiądz myśli o muzułmanach?
- Pytasz o współczesność czy o początki islamu?

Krzysztof spojrzał trochę niepewnie na kolegów – No bo, islam prowadzi świętą wojnę, a

chrześcijaństwo głosi miłość bliźniego, równocześnie wszyscy powtarzają, że nie walczymy z muzułmanami, to jak to jest?

Paweł pomyślał, że wolałby te rozmowę prowadzić przy ognisku, albo podczas spaceru nad jeziorem. Widział, że dla reszty uczniów to pytanie jest bez znaczenia i że było ono istotne dla Krzysztofa. Podeszedł bliżej, żeby jego odpowiedź była bardziej osobista. Powiedział, że tak naprawdę nie wie jaki jest jego stosunek do islamu, bo chyba zbyt mało zna tę religię, ale wie jaki ma stosunek do kapłanów, którzy nawołują do nienawiści. W każdej religii zdarzają się tacy kapłani. Religie czasem mobilizują do podbojów, czasem, chyba rzadziej, pomagają osiągnąć pokój...

- Ale... - dzwonek przerwał kolejne pytanie Krzysztofa. Koledzy patrzyli na niego zaniepokojeni. – ...to może ja wrócę do tego pytania we wtorek...
- Przyjdź na plebanię...
- Nie, nie takie ważne, może zgłoszę się do księdza kiedy indziej. – Wstał z ławki, czekając na gest zezwolenia na dołączenie do kolegów. Poważne pytania nie były wśród uczniów modne. Dyskutowanie o nich z księdzem mogło narazić na pośmiewisko.

„Nie zastanawiaj się co autor miał na myśli, zastanów się co ty pomyślałeś, kiedy czytałeś jego wiersz.” Znowu nie mówiono do niego, znowu Paweł był tylko świadkiem rozmowy innych. To Grażyna mówiła o swoich próbach przełamania ciszy w klasie, wywołania dyskusji, wyrwania z apatii. W tych rozmowach powtarzała się nauczycielska skarga – im starsi uczniowie tym bardziej podobni do dorosłego świata, tym częściej zapadają w sen, przygotowują się do cierpliwego czekania na grabarza. Janka stała przy oknie; odpowiedziała opowieścią o wybrykach ucznia, który przez całą lekcję udawał, że strzela do niej z banana. Kiedy chciała mu go odebrać, odpowiedział: „sp...”, przerwała opowieść i spojrzała niepewnie na Pawła -

„...zastosowałam się do polecenia, bo co miałam zrobić, wezwać matkę, dopiero bym usłyszała”. Wzruszyła ramionami, wzięła ze stołu ciastko, zapytała czyje to imieniny. Ponownie zadzwonił dzwonek.

Sabina odziedziczyła kuwetę z piaskiem po Heloizie, dzieliła również z matką rentę po ojcu. Dawała jednak do zrozumienia, że mieszkanie jest jej i że zezwala w nim matce mieszkać w zamian za świadczenie pewnych usług, do których należało karmienie i dostarczanie rozrywki. Matka nie skarżyła się, gdyż Sabina była doskonałym słuchaczem i tylko czasem wpół zdania pędziła na drugi koniec mieszkania, bo tam właśnie należało umyć lewą tylną łapkę. Matka wybuchała wtedy śmiechem i zaczynała mówić głośniejszym głosem, żeby Sabina nie traciła wątku. Paweł miał wrażenie, że odpoczywa tu bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. W dzinsach i w swetrze, nie przejmując się sierścią kota, słuchając narzekań matki na uciążliwość meszek na cmentarzu i uporczywe pojawianie się Rokity w telewizji.

Sabina była ciągłym tematem ich rozmów i doskonale odwracała uwagę, kiedy nie mieli o czym mówić. Otwarte drzwi pokoju, szafy, a nawet pralki, budziły w niej nieprzepartą chęć podboju, więc matka przed ponownym zamknięciem szafy sprawdzała uważnie, czy nie ma tam nowego mieszkańca. Najbardziej jednak przeżywała wyprawy Sabiny na dach. Otwarte okno działało na kotkę jak magnes, siadała na parapecie, żeby po chwili dojść do wniosku, że świat oglądany z większych wysokości jest znacznie ciekawszy. Postronny obserwator bez trudu mógł zauważyć kiedy zaczynała swoje matematyczne kalkulacje, mierząc wzrokiem wysokość, uświadamiając sobie własny ciężar i obliczając niezbędną siłę odbicia. Matka widząc jak Sabina szykuje się do skoku, rzucała się w kierunku lodówki, bo samo otwarcie lodówki uniemożliwiało Sabinie zdolność koncentracji. Zazwyczaj jednak, kiedy docierała do lodówki Sabina stała już na dachu i zaczynała sprawdzać swoje umiejętności alpinistyczne. Na tym etapie nie działały już

żadne pokusy kulinarne i matka siadała na sofie, z gniewem uderzając ręką w oparcie.

- Czemu cię tak ten Rokita denerwuje – zapytał Paweł próbując oderwać jej uwagę od kociego dramatu.

Matka wzruszyła ramionami – Po co nam tylu wodzów, nie moglibyśmy mieć dwóch partii jak Amerykanie?

- W Ameryce też jest więcej partii, każdy może założyć sobie partię..
- Ale umieli tak urządzić, żeby rządziły tylko dwie, a my musimy mieć cały dywizjon tych wodzów narodu. Chyba źle to urządziliście...
- Niczego nie urządziłem – zaprotestował Paweł, patrząc jak matka wychyla się przez okno i patrzy z przerażeniem na siedzącego na dachu kota.
- Lunatyczka – syczy ze złością.
- Nic jej nie będzie, przecież to kot.
- Sama widziałam na filmie jak strażacy zdejmowali kota z drzewa, bo wlaźł za wysoko i bał się potem zejść.
- Nic się nie martw, nie słyszałem jeszcze o kocich szkieletach na dachu, zawsze jakoś schodzą. Powiedz lepiej, o co ci chodzi z tym Rokitą...
- Mówię ci, że wcale nie powinno być tak, żeby każdy mógł sobie zakładać własną partię. Dwie partie i dość, a nie żeby w rządzie każdy minister był z innej partii. – Rozbiła jajko i wystawiła żółtko na talerzyku na parapet okna. – Zawsze wiedziałam, że ta demokracja to nie dla nas. U nas każdy święty, sekretarz, dyrektor, wojewoda... każdy nami rządzi, każdy nas oświeca – wychyliła się za okno – ten kot mnie do grobu wpędzi. Tam w szufladzie na górze jest taki żółty kurczak wielkanocny, daj go, może na niego się skusi?

Poszedł nad Wisłę, do zatoczki, przy której zostawiali z ojcem rybackie czółno i

wyprawiali się na poszukiwania dzikich orchidei. Woda wyrzuciła na piaszczysty brzeg ogromny pień, którego urok najwyraźniej kusił również innych, bo na ziemi leżały puszki po piwie i opakowania od żywności. Zamiast na rzekę patrzył na te puszki i zastanawiał się jak działa mózg wandalą. ‘Przychodzą tu, zwabieni pięknem i zostawiają po sobie zniszczenie i śmietnik. Dlaczego nie wierzą w jutro? Dlaczego nie wierzą we wspólnotę, w nic...” Wziął jedną z fruwających toreb i pozbierał śmieci. ‘Czy można tę wojnę wygrać? Czy można ją zacząć, bo przecież tu nikt nawet nie próbuje. W innych miejscach czasem się to udaje. Są miejsca, w których ludzie nie tylko lubią piękno, ale potrafią je równie z zachować.’ Siedział na zwałonym pniu i zastanawiał się, czy matka powtarzała poglądy ojca, skąd jej do głowy przyszedł system dwupartyjny? Dlaczego mamy mentalność wandal, dlaczego nie umiemy rozmawiać? Powrócił myślami do zeszytu ojca:

Franciszek Salezy Dmochowski w roku 1858 opisywał incydent (ponoć prawdziwy) o pewnym spotkaniu szlachty dobrzyńskiej na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Ziemia Dobrzyńska była wówczas przez stosunkowo krótki okres w zaborze pruskim. Młody szlachcic został ukarany mandatem za odmowę naprawy mostu na drodze przechodzącej przez jego włości, grzywną za niezapłacenia podatków i wzywano go do sądu za pobicie syna sąsiada oraz za zabicie jego kilku gęsi. Oburzona takim traktowaniem szlachta postanowiła wspólnie napisać list do cesarza. Ponieważ żaden z obecnych nie znał niemieckiego więc sklecieli list przy pomocy słownika, a w liście stwierdzili, że władze w pobliskim Włocławku to złodzieje i bandyci. List podpisał lokalny cześnik, postać w powieści Dmochowskiego najbardziej światła i najbardziej pozytywna.

W opisywanej wcześniej rozmowie przedstawiciele naszej lokalnej elity uskarżali się na bezczelność jakim jest wtrącanie się w to, co szlachcic ma robić lub czego ma nie robić na terenie swoich włości, na podatki, które ich zdaniem były dobrowolnym darem na rzecz

wspólnoty i które płaci się jeśli się chce płacić, a wreszcie uznali za rzecz w najwyższym stopniu oburzającą nowe, pruskie, obyczaje, żeby szlachcica do sądu brać za pobicie jakiegoś „niemiaszka”.

Ta historia z naszego terenu świetnie pokazuje jakie pojęcie państwa nasze elity przez stulecia wszczepiały ludowi. Była to jedyna ‘oświata’ która okazała się skuteczna. Duch tamtego stosunku do państwa jest tak żywy, że jest substancją. Jedyna solidarność, która jest u nas powszechna, to solidarność niechęci do wszelkiego prawa, które nam nie pasuje. Z tą tradycją zaczynamy budować demokrację i z elitami, które jak gęsi powtarzają, że ma być dobrze.”

Paweł obserwował płynący po rzece plastikowy pojemnik, zapewne wyrzucony przez kłusującego rybaka. Pomyślał, że ten rybak, gdyby został ukarany, pomstowałby na złodziei siedzących przy żłobie i okradających lud. Spojrzał na zieloną linię lasu za rzeką. Kilkanaście kilometrów dalej było małe miasteczko Kowal. Tam urodził się Kazimierz Wielki. Szumiący w zaroślach wiatr powtórzył szeptem słowa ojca: „*Nie mógł zdążyć zmienić wszystkiego, a potem innych wielkich już nie było. Pamiętają, że zostawił Polskę murowaną, nie pamiętają, że próbował przywrócić ludowi wolność i przegrał ze szlachtą, która wolala mieć niewolników.*”

Pamiętał jak chodzili po brzydkim miasteczku zastanawiając się, gdzie był zamek i jak musiał być ważny tu, w pobliżu granicy z rosnącą krzyżacką potęgą. Co tu robiła żona Łokietka w roku 1310? Dlaczego podróżowała w zaawansowanej ciąży, dlaczego nie urodziła w Krakowie? Nic nie zostało z średniowiecznej świetności Kowala, w gruzach legły próby nakłonienia szlachty do podzielenia się ojczyzną z ludem. Po jego śmierci Europa zaczęła powoli odpływać w innym kierunku.

Woda przy brzegu była płytka, pływały w niej ławice małych rybek. Paweł siedział na

pniu, odwrócony w kierunku rzeki, patrzył w stronę Płocka. Rozlewisko zalewu zwężało się na horyzoncie i rzeka skręcała w prawo. Czytał gdzieś, że to wrażenie idylli na widok otoczonej zielenią wody może być w nas zapisane genetycznie. Kawałek dalej w wodzie stało metalowe krzesło. Pewnie przyniósł je tu jakiś wędkarz, kiedy poziom wody był nieco niższy i zostawił, bo po co miał je dźwigać z powrotem. Jego gen na wyczucie piękna od stuleci pływał w podlewanej alkoholem formalinie pogardy.

Jechał samotnie przez las, płaszcz krzyżacki zwinięty i starannie włożony w reklamówkę leżał w sakwach podróżnych, żeby podczas podróży nie stracił swojej świeżości. Jechał stępą, popijając z puszkii chłodne piwo Calsberga. Za nim bokiem na siodle siedziała mokra Wanda. Przytroczony przy udzie hełm od czasu do czasu uderzał o metalowy nagolennik, wydając głuchy dźwięk. Paweł ściągnął lejce i przez chwilę śledził majestatyczny lot orła. Ptak zniżył lot i wylądował na polanie. Domyślał się, że musi tam leżeć jakaś padlina. Skierował konia w tym kierunku. Trzask gałązki spłoszył orła. Na ziemi leżała sarna, najwyraźniej zabita przez samotnego wilka lub rysia. Zabójca zdołał zeżreć tylko niewielką część swego łupu, a resztę zostawił innym. Paweł dopił resztę piwa, wysączył ostatnie krople płynu na ziemię, a puszkę schował do sakwy. Wanda zeskoczyła z konia i zaczęła zbierać chrust. Najwyraźniej nie zamierzała zostawiać sarniego mięsa innym. Rzeczywiście jeden udziec był nietknięty przez zwierzęta i gdyby mieli przyprawy, można by go upiec. Zdaniem Pawła, bez soli nie nadawał się jednak do niczego. Wanda nie dawała za wygraną. Sterta chrustu rosła w mgnieniu oka. Paweł zobaczył na skraju polany zakaz rozniecienia ognia na tablicy ostrzegającej przed pożarami lasów.

- Tu jest zakaz rozpalania ogniska – powiedział.

Wanda wzruszyła ramionami. Odcięła nożem udziec i wprawnie zdjęła z niego skórę. Przez chwilę patrzyła w niebo, a raczej na czubki drzew. Wiał lekki, zachodni wiatr. Nożem zaczęła

wycinać darń i budować z niej małe palenisko otwarte od strony, od której wiał wiatr. Paweł poczuł, że od dłuższej chwili stoi w słońcu i jego zbroja rozgrzała się ponad miarę. Skierował konia w cień drzewa, zsiadł, zdjął siodło i pozwolił mu skubać trawę. Rzucił na ziemię rękawice i zaczął rozpinąć zbroję. Wanda podejrzliwie przyglądała mu się spod oka. Zdjął górę zbroi, ale został w metalowych spodniach, żeby jej nie niepokoić. Położył się na trawie z siodłem pod głową. Wanda z gałęzi leszczyny zrobiła rożen i widełki, zawiesiła udziec nad ogniskiem i z kieszeni lnianej sukienki wyjęła zapalniczkę. Wprawnie ułożona sucha ściółka leśna zajęła się błyskawicznie i w chwilę później płomienie lizały wiszące nad ogniem mięso. Wanda przykryła ognisko dwiema świeżymi gałązkami jałowca, wyjęła z kieszeni sukienki paczkę Marlborough Light i najwyraźniej zadowolona ze swojego dzieła zapaliła papierosa. Spojrzał na zegarek. Powinien być w Dobrzyniu przed piętnastą, bo potem starosta będzie pijany i niczego nie da się załatwić. Obserwował jak Wanda brudnymi od ziemi rękoma obraca rożen. Usłyszał jakiś ruch i dostrzegł za krzakami ludzką twarz. Sięgnął po miecz, wyjął go z pochwy i wbił w ziemię, a samą pochwę zaczął czyścić papierową chusteczką. Usłyszał warkot nadlatujących helikopterów i przypomniał sobie informację o manewrach NATO. Wanda wyrzuciła papierosa w ogień, złapała udziec i zaczęła uciekać do lasu. Lecące nisko helikoptery spłoszyły również konia, który pogalopował w kierunku Włocławka. Paweł wstał i ponownie spojrzał na zegarek, dochodziła dwunasta. Wykroił mieczem kawał darni i zadusił nim ogień. Zobaczył nadjeżdżający drogą samochód policyjny. Obudziło go poczucie narastającego wstydu.

Jeszcze w seminarium Paweł poczuł instynktowną sympatię do Marka. Zbliżyli się do siebie dopiero pod koniec studiów, bo starszy od kolegów o ponad dziesięć lat Marek nie zachęcał specjalnie do kontaktów. Paweł wiedział, że Marek studiował wcześniej psychologię, domyślał się również, że przeżył jakiś dramat i w sutannie szukał schronienia przed światem.

Przypadkiem zgadali się kiedyś, że lubią patrzeć w chmury i szukać w nich ludzkich twarzy. Potem nie widzieli się przez lata, ale kiedy spotkali się w Płocku, natychmiast, jakby nie było tej długiej przerwy, wrócili do rozmowy, którą toczyli leżąc na plecach w trawie w ogrodzie w seminarium. Rozmawiali wtedy o podrzuconej głowie gipsowej figurki, o pokorze i cierpieniu i o *Homo ludens*, który miewa dar odnajdywania sensu życia patrząc w chmury, wypatrując w lesie ptaków, albo płynąc kajakiem po rzece z błękitną ważką, która przysiadła na wiośle.

Kiedy się spotkali Paweł powiedział, że widział niedawno w chmurze twarz Frycza-Modrzewskiego, ale ponieważ widział ją we śnie, więc nie wie jak to interpretować.

- Wszystko zależy od zdolności i nastroju interpretatora – odpowiedział ksiądz Marek. Wspólny śmiech zasypał przepaść wieloletniego rozstania i Paweł niemal natychmiast zadał sobie sprawę z tego, że Marek jest jedynym człowiekiem na świecie, któremu ma ochotę opowiedzieć o swoich dylematach.

W kilka dni później, spotkali się ponownie u Pawła na plebani. Marek przyjechał do niego samochodem, skodą, która, jak mówił, ma wszystkie atrybuty nowoczesności, czyli lubi się psuć, ale póki chodzi to daje się ją lubić. Paweł zaproponował wyprawę nad jezioro, na co Marek od razu się zgodził i dopiero kiedy dotarli na pustą polanę i usiedli na zwałonym drzewie, spojrzali zachęcająco i powiedział:

- Strzelaj.

Paweł szukał wzrokiem ćwierkającego gdzieś na gałęzi wróbla. Długo przygotowywał tę rozmowę, a teraz nie wiedział jak ją zacząć.

- Czy miałeś kiedyś wrażenie, że wybór sutanny był największym błędem twojego życia?

- Nie – odpowiedział Marek, ale jego uśmiech świadczył, że odpowiedź była po części prowokacją. Paweł sięgnął po mały, sosnowy patyk i zaczął go obskubywać z kory.

- Nic się nie zgadza – powiedział – mam wrażenie, że ani ja nie jestem tak głęboko wierzący,

ani z tym moim powołaniem nie było tak dobrze, jak mi się zdawało. - Marek patrzył pytająco i najwyraźniej nie zamierzał przerywać ciszy. – Powiesz – mówił dalej Paweł - że kryzys wiary musi prowadzić do kryzysu powołania, ale na co dzień kryzys powołania dokucza mi bardziej niż kryzys wiary.

- Kryzys powołania – powtórzył Marek. - Czyli co ja robię w tej sutannie, czy co ja robię w tym towarzystwie? Bo widzisz, jeśli idzie o to drugie, to mam niewierzących przyjaciół, którzy są mi znacznie bliżsi od wielu kolegów księży. Wbrew pozorom, ksiądz może sobie wybrać bardzo wiele ról, a obowiązek miłości bliźniego nie nakazuje nam nadzwyczajnej miłości do każdego faceta w sutannie. Domyślasz się, że nie każdy ksiądz Marek jest moim idolem.
- Masz na myśli słynnego kapelana konfederatów barskich...?
- ...i wszystkich jego nieokrzesanych następców. – Marek zszedł z pnia i położył się na wznak w trawie.
- Proponujesz zmianę ról – roześmiał się Paweł - psychoterapeuta na leżance, a pacjent w fotelu?
- Powrót przemądrzałego błazna do roli Pytii. Gdybym jeszcze mógł lewitować kilka centymetrów nad ziemią, nasza rozmowa przyjąłaby właściwy mistyczny wymiar.

Paweł usiadł na trawie. Zastanawiał się dlaczego różnica poziomów, na których znajdują się głowy rozmówców tak bardzo komplikuje rozmowę. Pamiętał jak znajomy opowiadał mu z zachwytem, że widział w Londynie policjanta, który kucał obok leżącego na ulicy bezdomnego, żeby nie mówić do niego z góry. Teraz uświadomił sobie, że mówienie do leżącego na ziemi rozmówcy jest wyjątkowo kłopotliwe. Powiedział o tym Markowi, który mruknięciem potwierdził tę obserwację, ale nie zmienił pozycji.

- Co byś powiedział, gdybym stwierdził, że przestałem wierzyć w istnienie Stwórcy?

- Wiara w istnienie Stwórcy nie jest konieczna do wiary w istnienie Dobra. – Marek odwrócił się na bok i podparł głowę na ramieniu – Wiesz, mam niewierzącego przyjaciela, który wścieka się, kiedy mu mówię, że jest prawdziwym chrześcijaninem. Kilka lat potrzebowałem na zrozumienie, że jestem niegrzeczny, bo to trochę tak, jakbyś chwalił Japończyka, że zachowuje się jak prawdziwy Europejczyk. Arogancja jest naszą drugą naturą....

Paweł przyglądał się jak Marek podniósł rzucony przez niego sosnowy patyk, i zaczął nim rysować na skrawku gołej ziemi. Głos Marka wydawał się być pozbawiony emocji – Może to nie Stwórca jest w tym wszystkim istotny, a stworzenie?

- Czy chcesz powiedzieć, że ty też nie bardzo wierzysz?
- Bardzo wierzę, tylko nie bardzo wiem w co – roześmiał się Marek. – Unikam dyskusji o całunie turyńskim i o wielu innych rzeczach.
- Czyli ziemia jest okrągła, kilka miliardów lat ewolucji doprowadziło do pojawienia się istot, które wierzą w cuda, ale tak naprawdę cudem jest każda ptaszyna? Dziękujemy Stwórcy, że jest jak jest i na wszelki wypadek nie zastanawiamy się czy On sam jest? - Paweł czuł rosnącą irytację i równoczesną ulgę, że może mówić co myśli.

Marek usiadł i po raz pierwszy od dłuższej chwili patrzyli sobie w oczy. – Kiedy mówię „Wierzę w Boga Ojca...” to nie kłamię, po prostu jestem dziedzicem setek pokoleń ludzi, którzy mówili te słowa, próbując zrozumieć jak żyć, żeby się nie zagryźć, żeby nie zwariować z nadmiarem świadomości, żeby jakoś poukładać co ważne, a co mniej ważne...

- ... i nie śmiesz cię ten cały teatr?
- Unikam przesady, rzadko chodzę w sutannie, a kiedy inni rozluźniają krawaty stwierdzam, że ja też mogę i zdejmuję koloratkę. Od razu rozmowa staje się ciekawsza.
- Czyli czym jest dla ciebie Bóg? Stwórcą, przewodnikiem, przyjacielem, któremu można się wyżalić, czy wszechmocnym dyrektorem tego cyrku? – Paweł zdawał sobie sprawę z tego, że

to pytanie wcale nie jest dla niego szczególnie ważne, a jednak ciekaw był jakie role wyznacza Bogu jedyny człowiek, z którym może otwarcie rozmawiać. Przyglądał się swojemu rozmówcy, który najwyraźniej nie miał gotowej odpowiedzi, ponownie położył się w trawie i z rękami pod głową patrzył w chmury.

- Kto wie – powiedział Marek – może Bóg jest w nas i tylko w nas? Może ateści mają rację, że wymyśliliśmy sobie tego Boga i jest tylko tym, kim pozwalamy mu być? Dla mnie jest Przewodnikiem i Przyjacielem. Nie wymagam od niego, żeby był wszechmocny, nie czekam na prezenty, jest, pomaga mi i jeśli będę umiał go przekazać, to nie umrze razem ze mną. Paweł przypomniał sobie zapis w zeszycie ojca i możliwe dyskusje Galileusza o tym, czy Bóg jest substancją czy przypadłością. Co odpowiadał Galileusz, kiedy się nie bał? Żądamy, by racje rozumu ustępowały przed racjami wiary, uczymy podejrzliwości do tego, co oparte na dowodach i pewności w stosunku do tego, czego dowieść nie sposób. Niszczymy rozum i jesteśmy dumni z naszego dzieła. Nawet ten Marek jest szczęśliwy, że przekazuje innym swojego Boga, chociaż musi się domyślać, że podcina korzenie rozumu. – Czy Bóg jest substancją czy przypadłością? – zapytał głośno.

Marek usiadł i wpatrywał się w ziemię, szukając odpowiedzi – Kiedy uszkodzisz mózg umysł albo zaczyna działać źle, albo całkiem przestaje działać, ale nie wiem, czy umysł jest substancją... Nie wiadomo kiedy ludzie zaczęli rozróżniać między mózgiem i umysłem, ale zawsze czuli, że jest tu jakaś różnica, którą bardzo trudno zdefiniować.

- Ale ucząc religii, uczymy podejrzliwości do rozumu, do wiedzy opartej na dowodach, podkopujemy obowiązek żądania dowodów, robimy dzieciom niewybaczalną krzywdę...
- Może źle uczymy religii – Marek podniósł wzrok – może zbyt rzadko ludzie mają odwagę poszukiwania prawdy? Większość nie szuka żadnej prawdy, chce mieć prosty katechizm i gotowy obiad na talerzu...

- A nie ma w tym naszej winy? Nie zabiliśmy ich ciekawości, nie wepchnęliśmy ich w tęą pokorę...?

Marek pokręcił głową i przyglądał mu się z rozbawieniem – Buntują się zupełnie dobrze – powiedział – wiarę w jedyne Boga łączą z wiarą w horoskopy, kiedy przestają chodzić do kościoła, natychmiast szukają zgromadzeń współwierzących w magnetyzm czakramów, trzy czwarte niewierzących głęboko wierzy w rzeczy, których w żaden rozsądny sposób udowodnić się nie da. Policja zatrudnia jasnowidzów, a prezydenci wróżki. W zwariowanym świecie musisz się bronić przed szaleństwem po swojemu...

- I to jest to, co mówisz tym swoim narkomanom – zapytał Paweł.

Marek wstał i otrząpał spodnie – Narkoman też człowiek, jak każdy inny. Zawsze się zastanawiam, czy znajdę do niego, czy do niej klucz i czy potrafię to tak zorganizować, żeby był pod kluczem, kiedy chemia jest od niego silniejsza?

- Udaje ci się?
- Czasami tak, czasami nie. Czasami mam ochotę pobić takiego klienta, czasami płaczę...
- Płaczesz?
- Tak, czasami sytuacja jest nazbyt podobna to tego, co już raz przeżyłem...

Marek wpatrywał się w biegnącą po jego dłoni mrówkę. Uśmiechnął się kiedy dotarła do samego końca jego wskazującego palca i pozwolił jej zejść na pień drzewa.

- Kiedyś miałem żonę – powiedział stojąc tyłem do Pawła – nie mieliśmy ślubu, ale była moją żoną. Studiowała medycynę i miała łatwy dostęp do morfiny... Nie umiałem jej pomóc, któregoś dnia znalazłem ją martwą w moim własnym łóżku.... – Marek odwrócił się nagle i spojrzał Pawłowi w twarz – Wiesz co zrobiłem kiedy ją znalazłem i kiedy zobaczyłem, że nic już się nie da zrobić? Zrobiłem sobie zastrzyk morfiny. Pokaż mi tę twoją wieś.

Szczury biegały po stołach w krzyżackim zamku. Paweł zastanawiał się, gdzie podziali się jego dotychczasowi mieszkańcy? Z lewej strony do pustej sali wszedł burmistrz z pastorem. Burmistrz spojrzał niechętnie na uciekającego spod nóg gryzonia.

- Trzeba tu natychmiast wpuścić kilka głodnych kotów – powiedział. – Tam gdzie były cele, tam będą koszary straży miejskiej, tę część chciała od miasta kupić gildia, z kościoła trzeba natychmiast pousuwać wszystkie figury świętych i te święte obrazy bałwochalców...

Pastor podszedł do okna i spojrzał na dziedziniec. Najbardziej interesowały go stajnie, w stajniach można urządzić szkołę. Oboje z żoną mieli teraz większość czasu poświęcić uczeniu, nie tylko dzieci, ale i dorosłych. Każdy ma umieć czytać biblię i książkę do nabożeństwa. Polskich wieśniaków trzeba jeszcze nauczyć niemieckiego. Ci, którzy mieszkają tu od lat mówią nieźle po niemiecku, gorzej z tymi, którzy uciekają z Ziemi Dobrzyńskiej i Kujaw. Uświadomił sobie, że za jego plecami burmistrz coś mówi. Odwrócił się. Burmistrz trzymał w ręku szczura za ogon, rozglądał się gwałtownie, wreszcie dostrzegł stojący pod ścianą kufer. Podszedł do niego i uchylił wieko, pozwolił szczurowi zaczepić się łapkami o brzeg skrzyni i kiedy połowa gryzonia znalazła się w kufrze, spuścił na niego ciężką pokrywę.

- Dostaniesz te stajnie na szkołę – powiedział wyjmując ze skrzyni zabitego gryzonia i wkładając trupa do stojącego przy kominku kosza – jeśli zlikwidujesz tu wszystkie szczury. Nie chcę tu widzieć ani szczurów, ani śladów po tych aroganckich katolickich mnichach.

Burmistrz znieruchomiał. Na stole kolejny gryzoń spokojnie pałaszował okruchy ze srebrnego półmiska. Pastor obserwował jak burmistrz wyjmując z kufra duży kielich i jak trzymając go podstawką ku górze zaczyna skradać się w kierunku gryzonia. Tłusty szczur zdawał się nie dostrzegać manewrów burmistrza. Jadł spokojnie i tylko jego ogon wystawał poza półmisek. Pastor dopiero teraz zauważył, że na stołach leżały obrusy zrobione z krzyżackich płaszczy. Złapał stojący na specjalnym stojaku pogrzebacz. Uderzył gryzonia pogrzebaczem,

niszcząc przy okazji półmisek.

Burmistrz wziął zabitego szczura za ogon i ponownie umieścił trupa w koszu. Wylał pogięty półmisek obrusem i przyglądał się z uwagą pękniętej krawędzi.

- Czyste srebro – powiedział – będziemy z tego bić monety. A ty masz odszczurzyć cały zamek, inaczej nie dostaniesz stajni i będziesz miał szkołę w salce przy kościele, a w stajniach zrobimy supermarket. I tak będziecie mieli z żoną mnóstwo roboty, bo w supermarketach nie zatrudniają żadnej dziewczyny bez matury, więc nawet te dzieciaki z Ziemi Dobrzyńskiej muszą dostać porządne wykształcenie.

Burmistrz odłożył półmisek i ponownie wziął do ręki odstawiony wcześniej kielich. Stał pośrodku sali z odwróconym do góry dnem srebrnym kielichem w ręku.

Paweł obudził się, czując jeszcze w dłoni ciężar pogrzebacza i mając przed oczyma tłustego szczura na srebrnym półmisku. Pomyślał, że w każdym człowieku śpi wariat, a kiedy człowiek śpi wariat ma wolne ręce.

Po lekcjach Paweł został w gabinecie komputerowym. Ponownie otworzył forum wątplących, próbując zrozumieć sposób myślenia innych.

Objawienie, tradycja, autorytet – pisał internauta o źródłach wiary - Otrzymujemy do wierzenia opisy rzeczywistości, których nie wolno poddawać próbie sprawdzania. Jakość naszego charakteru ocenia się zdolnością wierzenia w rzeczy rażąco sprzeczne z doświadczeniem. Umysł dostatecznie wcześnie wdrożony do wiary w cuda, przestaje kwestionować prawdopodobieństwo opowieści opartych na rzekomym objawieniu. Na to nakłada się tradycja, „święta wiara ojców” samą swoją szacowną nazwą nie tylko zwalnia nas z wszelkiego sceptycyzmu, ale wręcz zabrania kwestionowania czegokolwiek uświęconego jako dziedzictwo przodków. Autorytet Kościoła nie jest autorytetem partnerskim, który przyzwala na dyskusję i chętnie poddaje się próbie.

Przeciwnie, jest to autorytet na wskroś autorytarny, odmawiający prawa głosu i uznający tylko pokorną akceptację jedynej prawdy, tej, którą głoszą księża.

Paweł zastanawiał się, czy nie wydrukować tej wypowiedzi. Czy rzeczywiście Kościół jest do tego stopnia apodyktyczny? Dopiero w naszych czasach nauka jest całkowicie zdominowana przez świeckich. Przez tysiąclecia wkład kapłanów w rozwój nauk przyrodniczych był niesłychanie widoczny, więc może nie ma aż takiego rozdzwieku między wiarą a nauką? Urzędowy, władczy Kościół może obawiać się nowych odkryć, ale... przypomniał sobie z czasów seminarium nieudolne wezwania do rozpoczęcia dialogu z niewierzącymi. Czy odważyłby się włączyć w takie forum nie jak obrońca dogmatów, ale jako ktoś, kto sam ma wątpliwości. Uśmiechnął się na myśl o podpisie: ksiądz P.W. wikary kościoła imienia Najświętszej Marii Panny w X. Zapewne taką wypowiedź natychmiast zauważyłaby prasa, no a potem biskup.

Do gabinetu weszła Janka. – Widzę, że ksiądz też złapał bakcyła surfowania po necie – powiedziała. Paweł przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy pospiesznie gasić ekran, czy ryzykować, że Janka zobaczy adres oglądanej strony. Wygaszenie ekranu mogło jednak dać jej powód do innych podejrzeń. Odsunął krzesło i odwrócił się – Widzę, że uczniowie narzucają nam język rozmów o komputerach – odpowiedział.

Usiadła przy stojącej o kilka krzeseł dalej maszynie i zaczęła ją uruchamiać. – Pewnie, że młodzież narzuca nam język rozmów o komputerach, komórkach, cyfrowej telewizji i samochodach, ale z tego co my im daliśmy już się nie wyzwolą...

Spojrzał na nią pytająco i zastanawiał się, dlaczego jej twarz budzi w nim sympatię? Dlaczego twarze są dla nas tak ważną legitymacją człowieka? Przecież nieustannie się mylimy, powinniśmy pamiętać, że twarze oszukują; a jednak rysy, spojrzenie, uśmiech, wszystko to

zmusza nas do natychmiastowej sympatii lub antypatii.

Janka nastawiała komputer, ale zdawała sobie sprawę z tego, że Paweł nadal na nią patrzy i że oczekuje na odpowiedź.

- Znajomy twierdzi, że przekazujemy im zakodowaną w języku infantylność. Jest zabawny, czasem nawet irytujący, słyszy tylko rodaków mówiących o pieniążkach, margarynce, samochodzikach. Twierdzi, że ten świat zdrobniałych pojęć zmienia nasze myślenie w infantylną papkę. Najpierw do dzieci mówi się jak do debili, a potem do dorosłych jak do dzieci... Czasem wydaje mi się, że jest przewrażliwiony, czasem, że może mieć rację...
- Coś w tym jest – odpowiedział Paweł – wie pani, podobno mój ojciec od początku mówił do mnie jak do dorosłego. Matkę tak to irytowało, że do dziś pamięta. Automatycznie mówię do uczniów jak do dorosłych, więc chyba rozumiem tego pani znajomego. Nie wykluczam, że w naszym języku ukrywa się jakieś Wielkie Upupienie.

Powrócił wzrokiem do ekranu komputera i spojrzał na kolejny zapis w forum: *”Wiara to próżność umysłu, który chce być pewny rzeczy niepewnych. Juliette.* Był przekonany, że autorka tych słów jest jeszcze uczennicą, że przepisała je z jakiejś książki i wpisała je dumna z tego, że dotarła do kamienia filozoficznego. Zastanawiał się jakby jej tłumaczył, że religia nie jest tylko próżnością umysłu, że nawet jeśli Bóg jest przypadłością, to z pewnością nie jest piórkiem w kapeluszu.... Jak odpowiedzieć takiej młodej damie o różnicy między szukaniem Boga, który odpowie nam na pytania o niezrozumiałe zjawiska wszechświata i szukaniem Boga, który będzie najwyższym autorytetem umiejącym narzucić nam zgodę, w sprawach, w których sami nie umiemy znaleźć drogi, czy szukaniem Boga, który pozwala nam znosić ciężar, który jest nie do zniesienia... czy wreszcie, co tak trudno zaakceptować, głoszeniem Boga, który usprawiedliwia naszą podłość wobec innych. Jak opowiedzieć takiej pannie o szukaniu twarzy w chmurach i o tym, że również ksiądz może odczuwać niechęć do teatru?

Janka szybko wystukiwała jakiś tekst na klawiaturze. Czy też była ciekawa słów na jego ekranie? Pomyślał z rozbawieniem, że zastanawia się jak rozmawiać z nieznana autorką jednego przepisane zdania, a nie umie rozmawiać z człowiekiem, który siedzi obok, z kimś kogo zna i wie, że taka rozmowa mogła by być... zastanowił się szukając właściwego przymiotnika. Czym jest rozmowa z drugim człowiekiem? Obcowaniem? Jeśli nadmiar zdrobnień zmienia nasze myśli w infantylną papkę, to jakie szkody wyrządza nadmiar języka liturgii w codziennym języku? Ministranci wychodzą z kościoła i natychmiast przeskakują do świata wulgarnych przekleństw. Czyżbyśmy się kręcili między ochronką, mszą, akademią pierwszomajową i burdelem?

Zgasił komputer i sięgnął ręką do kieszeni sutanny. Kolejny fragment z zeszytu ojca był teraz jego talizmanem.

Ile ważyła Puszka Pandory, posag panny historii? Wieko Puszek Pandory uchylamy codziennie, wypuszczamy nieszczęścia po trochu, wpuszczamy je do ciasta codzienności. Rosną w zgniłym zaduchu, puchną, wypełniają całą dostępną przestrzeń. Podobno na samym dnie Puszek Pandory jest nadzieja. Nie da się tam zajrzeć. Wylatujące z puszek nieszczęścia zasłaniają widok, odurzają, zmieniają nas w pokraczne i bezbronne stwory. Podczas procesji kapłani lokalnych bogów obnoszą Puskę Pandory zamkniętą. Oddają jej cześć w głębokim przekonaniu, że są Dziedzicami nietkniętymi przez obrzydliwości dziedzictwa.

Kiedy ojciec pisał te słowa i dlaczego? Musiała już minąć pierwsza pięciolatka po upadku komunizmu. Toczyły się wielkie spory o to czy zwycięstwo było klęską, czy klęską zwycięstwem. Tak wiele trzeba było zmienić, żeby kolejna generacja wybrańców mogła robić to co poprzednie – żyć kosztem najsłabszych w głębokim przekonaniu, że ich utrzymują? Kiedy nie dało się już dłużej być uczciwym i dobrym komunistą, trzeba było zacząć być uczciwym i

dobrym liberałem. Chłopi z Ziemi Dobrzyńskiej nadal marzyli tylko o jednym: żeby uciec od swoich dobrych pasterzy na drugi koniec świata. Ci, którym się naprawdę udało, byli już od wielu pokoleń w Chicago i nie musieli się dłużej zastanawiać nad wyborem między dżumą i cholera, w szpitalu, w którym lekarze na gripę zalecają zdrowaśki.

Fragment zapisków ojca poprzedzały rozważania o pasjach. Rozpoczął je opis listonosza akwarysty, jego syna, wciągniętego po uszy w pasję ojca i córki pani Halinki z poczty, której co rusz zdychało kolejne zaniedbane zwierzę.

Pasji – pisał ojciec – muszą uczyć pasjonaci znający tajniki sztuki i szukający piękna w żmudnej praktyce. Leniwi nauczyciele uczą wiary w cuda, hodując tylko zniechęcenie i frustrację. W prasie krzyczą, że trzeba zamykać szkoły zawodowe. Mam wrażenie, że trzeba je zacząć tworzyć. Obawiam się, że z naszym dziedzictwem nie miałby ich kto tworzyć. Dziedzictwo jest Puską Pandory.

- Kiedyś będzie mi Pani musiała opowiedzieć więcej o tym znajomym – powiedział wstając od komputera.
- O którym? – zapytała Janka, patrząc na niego z uśmiechem jakim obdarza się ludzi, do których odczuwamy sympatię.
- Tym, który ma alergię na zdrobnienia. To ciekawe...
- Tomek? Poznałam go kiedyś na czacie. Ma swój blog. Nigdy go nie widziałam, ale czasem do siebie pisujemy. Mogę dać księdzu adres. Ucieszy się. Ostatnio pisał w blogu, że „nasze gazetki uprawiają sądkę kapturkowe nad naszą rzeczywistością i gwałtownie domagają się wolności nagłaśniania słówek szeptanych w łódeczku”. On ma kompletną obsesję, ale chwilami jest zabawny. Twierdzi, że narodek, który ma bożę, zasługuje tylko na pieniądze, bo prawdziwe pieniądze trafiają do narodów, które mają poważniejszych bogów.

Paweł patrzył na nią niepewny, czy usiąść ponownie i dać się wciągnąć w rozmowę, czy raczej

uciec. – Chętnie zajrzę do jego blogu – powiedział – ale teraz muszę pędzić, bo już jestem spóźniony.

Matka prosiła go, żeby przyjechał, bo zginęła Sabina. Wyszła z domu i nie wróciła, a ponieważ nie było jej już ponad dobę, więc była przekonana, że zginęła pod kołami samochodu, albo że rozszarpały ją psy, mógł ją również ktoś otruć, ale najbardziej obawiała się, że została uwieczona w jakiejś piwnicy lub skrzyni, gdzie wlaźła powodowana ciekawością, i gdzie mógł ją ktoś zamknąć, wcale o tym nie wiedząc. Kiedy Paweł przyjechał wróciła właśnie z kolejnej wędrowki po okolicach, bo nagle doszła do wniosku, że Sabina mogła pójść na cmentarz i spać tam spokojnie na grobie ojca. Nie było jej jednak ani na cmentarzu, ani w parku, nie widziała jej również żadna z sąsiadek.

Paweł pocieszał matkę, przekonywał, że Sabina się znajdzie, ale dla niej zaginięcie Sabiny oznaczało nie tylko utratę ukochanego zwierzęcia. Miała poczucie winy i powtarzała, że Heloiza była przecież w domu przez lata i nigdy jej się nic nie stało. Pili herbatę, kiedy równocześnie usłyszeli miauknięcie pod drzwiami i matka poderwała się, żeby sprawdzić, czy się nie myli. Sabina weszła i otarła się o jej nogę, a potem, kiedy matką wzięła ją na ręce zaczęła mruczeć, delikatnie próbując wyzwolić się z objęć, bo najwyraźniej spieszyło jej się do miseczki. Matka postawiła ją ostrożnie na ziemi, nalała mleka i patrzyła na nią z wyrzutem. – No jak mi teraz opowiesz gdzie byłeś? Jak sobie wyobrażasz, że pozwolę ci następnym razem na takie spacerzy? Koniec wolności. Twoja wolność nie jest warta moich nerwów.

Paweł przyglądał się kobiecie, która była jego matką. Próbował pojąć tajemnicę miłości i przywiązania, i irytacji, bo przecież byli sobie obcy i tak wiele było spraw, o których nie mógłby z nią dyskutować, i akceptacji, bo patrzył jak mówi z gniewem do kota i nie umiał przypomnieć sobie jej twarzy z dzieciństwa, ale słyszał jej głos i wiedział, że była zawsze. Była, między

lęklwym gniewem i czułością, w kuchni, albo z żelazkiem, albo wieszająca pranie... Patrzył jak szuka smakołyków dla kota i przypomniał sobie sylwetkę młodej kobiety wyjmującej zakupy z torby, jak pyta co w szkole kręcąc się pospiesznie, żeby posprzątać i przygotować obiad. Myślenie o innych było sensem jej życia i Sabina była teraz jedynym klientem, na którym skupiała swoje opiekuńcze instynkty. Heloiza była postacią z innej bajki, zaspakajała inne potrzeby. Była mistyczną boginią partnerstwa.

Nie pamiętał już w którym kościele widział witraż ze zwierzętami. To musiało być gdzieś we Włoszech lub we Francji. Scena z raju, pokój między wszystkimi, lew obok owcy. Darwin pisał, że natura jest księgą diabelską. Raju nie było i być nie mogło. Jest walka o byt, ale w naturze jest również współpraca i altruizm. Dziwne zjawisko współpracy w ramach gatunku i między gatunkami. Czy jest możliwe, że moralność ma swoje korzenie w naturze? Czy natura może być źródłem nie tylko okrucieństwa, ale i dobra? Badanie cnoty nie przez teologów i etyków, a przez biologów i specjalistów od teorii gier wydawało mu się czymś dziwnym, a jednak, jeśli akceptujemy ewolucję wypada również przyjąć naturalne pochodzenie dobra.

Odłożył książkę angielskiego biologa i sięgnął po Księgę Psalmów. *„Na Tobie polegalem od urodzenia, od łona matki mojej Bogiem Ty jesteś.”* Wszechmocny przez zasiedzenie i zrośnięty z trwogą? Paweł przypomniał sobie obrazy sportowców, którzy przed karkołomnym skokiem robią szybki znak krzyża. Kościół nie zakazuje samobójstwa przez brawurę. Silny lęk wywołuje odruch warunkowy, odwołanie do Boga jest prośbą o cud w razie potrzeby, ten, wbrew pozorom, czasem się zdarza, niezwykle rzadki zbieg okoliczności nazywamy cudem.

Przyglądał się przez okno zachodowi. Słońce było już poniżej linii horyzontu i oświetlało chmury od dołu. To zjawisko musiało fascynować malarzy, ale czy zastanawiało również

astronomów? Tajemnice świata musiały prowadzić istoty myślące do Boga, czy ich wyjaśnianie musi od Niego odwracać? Jak powstał ludzki umysł? Dlaczego zaczęliśmy mówić i zadawać pytania? Przypomniawszy sobie z dzieciństwa jak pies Piotra wystraszył się grzmotu. Drżący, przylgnął do nogi dwunastoletniego chłopca, szukając ratunku w kontakcie z Panem.

Wystraszony kot nie biegnie do człowieka. – Paweł uśmiechnął się do własnych myśli – ...W żadnym kościele, ani na obrazie, ani w witrażu nie uświadamiał sobie wizerunku kota. Widział wyraźnie obraz chłopca klęczącego przy psie. Chłopiec obejmował drżące zwierzę i łagodnym głosem zapewniał je, że nic się nie stanie.

Wysoki, chudy rycerz robi porządki w szafie. Zakon rozwiązany, trzeba podjąć decyzję co dalej. Część rycerzy wracała do rodzinnych domów, większość nie miała takich możliwości. Kto miał jakieś oszczędności kupował ziemię, albo zakładał biznes w mieście, większość zaciągała się do wojska, ale tam traktowano ich nieufnie, jako przedstawicieli starego porządku. W Ziemi Dobrzyńskiej ziemia jest tańsza, ale chłopcy zupełnie nieprzyzwyczajeni do czynszów i samodzielności, szlachta traktuje ich jak niewolników i celowo ich oglupia gorzałką, oczywiście o nauce czytania nie ma mowy, sama też wódek żłapie i do książek się nie garnie. Nie są to sąsiedzi, o których człowiek marzy.

Paweł jest jednym z ostatnich, którzy opuszczają mury zakonu. Nie z przekonania, nie bardzo wie co ma ze sobą zrobić. Chodzi po pustych korytarzach wiedząc, że lada moment wpadnie tu tłuszcza w poszukiwaniu wszystkiego co da się wynieść. Jeśli go znajdą, mogą być brutalni. Tłum nie ma litości dla słabych. Słabych musi chronić autorytet władzy. Autorytet i resorty siłowe. Niewidzialna ręka musi mieć za sobą resorty siłowe, bez nich jest tylko kształtem we mgle, ikoną, do której modlą się durni i nieuczciwi.

Zastygł, zdawało mu się, że słyszy dźwięk radia. Wyszedł na korytarz. W dwóch

sąsiednich celach drzwi były otwarte, a pomieszczenia oczyszczone starannie ze sprzętów i posprzątane. Kolejne drzwi były zamknięte. Zastukał, ale nikt nie odpowiadał. Słyszał było wyraźnie głos spikera, który mówił o spotkaniu premiera z prezydentem. Rozmawiali o stanie przygotowań ustawy o reformie zdrowia. Jak konkludował dziennikarz „obaj rozmówcy zgodzili się, że ustawa powinna być dobrze przygotowana”. Rozległ się przeraźliwy wrzask kota i huk spadającego przedmiotu. Paweł uchylił drzwi. Sabina wybiegła z celi, w której na środku leżało rozbite, tranzystorowe radio. Cella była pusta. Nie było wątpliwości, że to kotka straciła cierpliwość.

„Bitwa o uczciwość została przegrana. Uczciwie mówiąc nigdy się nie zaczęła. Hipokryci wzywają z ambon do uczciwości, a lud ma coraz mniejsze wątpliwości.” Paweł ma wrażenie, że wypowiedzi internautów stają się coraz bardziej agresywne, albo czyta ich coraz więcej i widzi rzeczy, których nie widział wcześniej. Mężczyźni pod sklepem kłaniają mu się równie pokornie jak dawniej, a wierni słuchają uważnie kazań proboszcza przeciwko konsumeryzmowi. Przechodnie z zawiścią patrzą na srebrną toyotę lokalnego gangstera, a kobiety układając kwiaty na ołtarzu coraz częściej mówią o cenach bardziej nowoczesnych pralek, chociaż żadna z nich nie ma jeszcze maszyny do mycia naczyń. Zdaniem proboszcza, we łbach im się przewraca i wyraża obawy, że niebawem wiejskie baby będą piekły kurczaki w mikrofalówkach. Organista podsuwa wiernym tacę, a proboszcz przypomina, że jaka wiara taka ofiara.

Paweł wpatruje się w wypowiedź internauty, który pisze, że bitwa o uczciwość została przegrana. Internauta oskarża polityków, a hipokryzję Kościoła uważa za rzecz oczywistą. Kim jesteśmy i jak nas widzą – zastanawia się Paweł. Czy bliższe prawdy jest to, co ludzie piszą w internecie, czy to co mówią pochlebcy po mszy? Większość milczy, czasem tylko pytają kiedy

będzie lepiej.

Przeszedł do Worda i otworzył nowy dokument. Pisanie szło mu opornie. Rzadko pisał na komputerze. Napisał i podkreślił tytuł: „Dlaczego bitwa o uczciwość została przegrana?” Patrząc na ekran układał w myślach list do autora wpisu. *Jestem księdzem. Mam 34 lata i zgadzam się, że bitwa o uczciwość została przegrana. Ani praca nie jest u nas wartością, ani drugi człowiek. Powtarzane przez młodych i starych słowo ‘kasa’ odsłania nagi cynizm. W Sejmie patrioci specjalnej troski onanizowali się niewidzialną ręką i kazali o wartościach. Lud widział złodziei na górze i obcował z oszukującym go tłumem cwaniaków na dole. Liberalowie pośpiesznie otwierali wrota wszelkiemu bezprawiu. Kierowali się ignorancją, dobrymi chęciami i wiarą w niewidzialną rękę. Lud skorzystał z demokracji i powiedział ‘sprawdzam’. Mógł skreślić, ale czy miał wybór?*

Ma Pan rację, bitwa o uczciwość nawet się nie zaczęła. Wszyscy, włącznie z ludźmi Kościoła, chcieli się najpierw wykąpać w złotej wannie. Żądaliśmy aby inni płacili uczciwie podatki, aby inni przestrzegali prawa, aby inni kochali bliźniego. Czy jest ktokolwiek wśród nas, kto nie żądał immunitetu? Naszą bitwę o uczciwość przegrał Kazimierz Wielki, potem Jan Łaski, Frycz-Modrzewski i paru innych, dla Zamoyskiego ważna była już tylko kasa. Potem był syfiliś romantyzmu oddzielonego od rzeczywistości zboczeniem chciejstwa...

Uśmiechnął się na myśl, że mógłby napisać taki list. Powoli zaczął pisać: „Ma Pan rację. Niestety, nie po raz pierwszy przegraliśmy naszą bitwę o uczciwość. Pytanie jak odszukać tych, którzy chcieliby taką bitwą zacząć, jak zacząć dyskusję o strategii i metodzie, co zrobić aby ta bitwa nie ograniczała się do egzorcyzmów i pustych słów? Jak przekonać ludzi, że na uczciwości można zarobić? Tu nie wystarczą zapewnienia, tu konieczna jest sztuka wspólnego działania. W czasach kultywowanego bezprawia ta sztuka jest szczególnie trudna. Z pewnością warto zacząć rozmawiać bez autocenzora.” Paweł podpisał się tylko imieniem. Pomyślał, że

internet jest morzem zaśmieconym listami w butelkach od rozbitków wzywających ratunku. Przypomniiał sobie artykuł z gazety o urzędniku wyrzuconym z pracy za pisanie listów w internecie w godzinach pracy. Pewnie też marzy mu się rzetelne państwo z uczciwymi i kompetentnymi urzędnikami. Złapali go, gdyż w tych listach krytykował szefa. Bitwa o uczciwość! Nie ma jej jak zacząć. Święci okazali się kapłanami złotego cielca.

Zgasił komputer i zamknął pracownię. W pustym korytarzu odgłosy własnych kroków wydały mu się przeraźliwe głośnie. Pomyślał, że gdyby miał pod sutanną miękkie, sportowe buty chodziłby ciszej i nie płoszył własnych myśli.

Szczepionka oświecenia była zbyt słaba i syfilis romantyzmu rozlał się jak zaraza, a wreszcie przyjął formę chronicznego i dziedzicznego schorzenia. Oświecenie miało niewielkie szanse w kraju bez oświaty. Kiedy poeta chciał, żeby jego książki trafiły pod strzechy, w Ziemi Dobrzyńskiej piśmiennych chłopów można było policzyć na palcach jednej ręki. Ci którzy mogliby ich uczyć mieli po trzy klasy jezuickiej szkółki w Skępem. Pan Tadeusz jest wiecznie żywy, a Zosia nadal niedomyta.

Michał z Niemiec pojechał do Stanów. Píše o chłopskiej kulturze obydwu tych krajów. Jego zdaniem, są to społeczeństwa rolnicze, w odróżnieniu od naszego, które nazywa przemysłowo-inteligenckim. Jego żona jest Chinką, oboje pracują na uniwersytecie. Córka studiuje matematykę. Takie rzeczy udają się w rolniczych, chłopskich krajach. U nas romantycy obiecywali chłopom, że robotnikom będzie lepiej, a nasi synowie wybierają kariery księży.

Dlaczego ojciec przerwał korespondencję z bratem? Dlaczego przerwał w momencie kiedy pojawiła się nadzieja. Ostatnia wzmianka o Michale jest z 1993 roku, Potem nie ma nic. Ich córka musi być o trzy albo cztery lata młodsza. Kim jest? Jak ma na imię? Czy chciałaby kontaktu? Żyjemy w świecie rozbitych więzi; więzi rodzinnych, sąsiedzkich, lokalnych; zostały

cwaniackie związki, które niektórzy czasem nazywają partiami. Pięcioprzymiotnikowy patriotyzm: romantyczny, religijny, wodzowski, nieudolny, nieuczciwy. Ojciec próbował mi zaszczyć niechęć do romantyzmu, ale pokusa „Dziadów” okazała się zbyt silna.

- Elektorat, proszę księdza, to ma ten alkoholizm w genach wyssany z mlekiem matki. Bez obrazy, ale co oni mogą wybrać? Takiego jak oni mogą wybrać i takiego mają. Co ja będę mówił, przecież ksiądz widzi. Nawet jak ksiądz nie chodzi tam gdzie inni chodzą, to też ksiądz musi widzieć. Ja nie wiem, co oni księdzu na spowiedzi mówią, ale ten elektorat, proszę księdza, to chyba jest w większości, no bo jak, niech mi ksiądz powie, jak to jest możliwe?

- Może uczciwi ludzie nie potrafią się odszukać i dogadać?
- A jak być uczciwym, kiedy albo płacisz i załatwiasz, albo musisz pięć razy jeździć do miasta, żeby atest opryskiwacza dostać? Za komuny było za pół litra, a teraz urzędnik potrzebuje zatankować siebie i samochód. Stopa życiowa nam się podniosła. Pić też już byle czego nie chcą.

Adam znów siedzi na samej krawędzi krzesła. Paweł na łóżku, naprzeciwko niego, obok stolika, na którym stoi krucyfiks i pochłapany stearyną świecznik. Ma w pamięci spotkanie z misjonarzem w Łodzi, z misjonarzem, który mieszka w Ghanie, dla którego Polska jest krajem bez biedy, demokratycznym, z uczciwymi i kompetentnymi urzędnikami. Misjonarz bywał w Brazylii i w Indiach, co kilka lat wraca na urlop do kraju, żeby odpocząć od rzeczy strasznych. Adam opowiada o gehennie rejestracji przyczepy traktora, opowieść o Ghanie byłaby dla niego obraźliwa, jego problemy są przecież realne, zmieniają niezłe życie w obrzydliwość. Niektórzy mówią o polskim piekle. Mamy coraz więcej przypraw w zupie, w której sami jesteśmy mięsną wkładką.

Mokra, półnaga Wanda wybiera gołymi rękami młode ziemniaki. Wrywa z ziemi całe krzaki, żeby oderwać kilka małych bulw i schować je do kieszeni. Niepokojnie rozgląda się na wszystkie strony, patrzy również w niebo, czy nie nadlatuje helikopter.

Paweł wie, że to pole jest rodzinne, należy do rodziny, wuj Michał odradzał sadzenia ziemniaków za zagajnikiem, bo tego kawałka nie widać z domu, ani z drogi, i wszystko mogą ukraść. Wuj Michał stoi na progu domu, w kąpielówkach, z płaszczem krzyżackim zarzuconym na ramiona jak ręcznik.

- Mówilem ci, że będą kradli – mówi – bo trzeba zacząć od zerowej tolerancji dla małego łajdactwa i większego liberalizmu dla uczciwości. A wy co? Zerowa tolerancja dla uczciwości i liberalizm dla cwaniactwa.

Wuj Michał młody i szary jak na zdjęciu w ojcowym albumie. Płaszcz krzyżacki, białoczerwony, wyróżnia się ostrością barw od szarego tła. Michał nie widzi Wandy, wie tylko o jej istnieniu.

Wzrusza ramionami i siada na schodkach – Powiedzieli im, że w kapitalizmie pierwszy milion trzeba ukraść, więc każdy zabrał się do roboty jak umiał. Człowiek nie ma wpływu na to, gdzie się rodzi, ale jako dorosły jest odpowiedzialny za to gdzie mieszka i w jakim środowisku wychowuje swoje dzieci...

Paweł zastanawia się do kogo wuj Michał mówi. Nie ma nikogo w ogrodzie. Dom jest domem dziadków, jest to mały koślawy dom, który mógłby być ładny, gdyby go wyremontować i zmienić dach. Paweł nie wie nawet do kogo ten dom teraz należy. Nigdy w nim nie był, w relacjach między ojcem i jego rodzicami kryła się jakaś tajemnicza wrogość. Wuj Michał siedzi na przyzbie szarego domku z azbestowym dachem. Szara jest również trawa i szare są kwiaty. Błękit nieba rozpościera się nad Wandą. Nie ma już gdzie chować łupu. Ma pełne kieszenie ziemniaków i sporo wcisnęła za pazuchę przepasaną paskiem sukienki. Stoi wyprostowana. Podrzuciła głowę i odgarnia z twarzy kosmyk włosów. Cofa się do zagajnika, na ścieżkę, która

prowadzi do rzeki. Paweł widzi czubki swoich butów wystające spod sutanny. Są wielkie, jak czubki butów Chaplina. Ma wrażenie, że ma w ręku laskę, a na głowie melonik. Jest jednak nadal w czarnej sutannie. Odwraca się i zaczyna iść w kierunku domu. Wuja Michała już nie widać. Jest tylko szary domek, szare lilie i szara trawa. W ciemnych prostokątach okien nie widać żadnych twarzy.

W starym notatniku ojca Paweł odnalazł adres wuja Michała w Stanach Zjednoczonych i wysłał do niego zawiadomienie o śmierci ojca. Dwa tygodnie później przyszedł list. Wuj Michał pisał:

Kochany Pawle,

Twój list o śmierci mojego brata był dla mnie bardzo smutną i skłaniającą do refleksji informacją. Jak zapewne wiesz, od lat nie utrzymywaliśmy kontaktów. Być może był to po części mój błąd i winny Ci jestem pewne wyjaśnienia. Wielokrotnie zapraszałem Twojego ojca do Stanów, ale pozostawiał te moje zaproszenia bez odpowiedzi. Nigdy również nie chciał przyjąć żadnej pomocy finansowej. Czy przyczyną było to, że tak inaczej potoczyły się nasze losy? Podejrzewam, że chodziło o coś innego. Piszę tu o sprawie, o której nie mówiłem nigdy nawet własnej córce. Zauważyłeś, że mimo, iż byliśmy rodzonymi braćmi mamy różne nazwiska. Nie wiem na ile jesteś wprowadzony w historię naszej rodziny, ale na wszelki wypadek wyjaśniam wszystko od początku. Próbowaliśmy z Twoim ojcem odtworzyć tę historię tak daleko jak się dało. Byli w naszej rodzinie Polacy, Niemcy i Żydzi, chłopci i szlachta, katolicy i protestanci. Jedna z Twoich babek miała niemieckie nazwisko, była z rodziny Niemców od stuleci osiadłych w Polsce (prababka była Żydówką, również z rodziny, która mieszkała w naszym kraju przez stulecia). Nasze poszukiwania doprowadziły nas jednak do punktu w całkiem niedawnej historii, bo wygrzebaliliśmy, że Twój dziad, a nasz ojciec przyjął podczas wojny niemieckie nazwisko

swojej żony i podpisał volkslistę.

Zapewne zrobił to wyłącznie dla wygody i nie słyszałem aby dopuścił się rzeczy niegodziwych. Kiedy dowiedzieliśmy się o tym, Twój ojciec wrócił natychmiast do naszego polskiego nazwiska, ja byłem już po studiach i zamierzałem wyjechać do Niemiec. W takiej sytuacji zmiana nazwiska byłaby próżnym gestem. Twój ojciec twierdził, że to rozumie, ale miał do mnie jednak jakiś żal.

Potem Ty przeszedłeś na świat, co radykalnie zmieniło wszystkie plany Twojego Ojca. Jak być może wiesz, widziałem Cię tylko raz, podczas Twojego chrztu, potem nie widziałem już ani Ciebie, ani Twojego Ojca. Próbowaliśmy rozmawiać ze sobą listownie (co też nie było łatwe, bo listy często ginęły).

W miarę upływu lat traciliśmy umiejętność tej rozmowy na odległość i dziś zastanawiam się nad pytaniem, co mogłem zrobić, aby nie stracić kontaktu z bardzo bliskim mi człowiekiem. Śmierć Twojego Ojca czyni to pytanie absurdalnym. Chciałbym jednak zachować kontakt z Tobą. Nic o sobie nie piszesz. Napisz proszę kim jesteś, co robisz, napisz o swojej rodzinie i o swojej pracy.

Twój Michał.

P.S. Wolalbym, żebyś nie używał słowa „wujku”, pisz do mnie po prostu Michał.

List przyszedł na adres matki i Paweł czytał go w jej obecności. Siedziała z Sabina na kolanach, przyglądając mu się podejrzliwie.

- Nie wiedziałam, że do niego napisałeś – powiedziała, a w jej głosie słyszał zarówno ton niechęci, jak i podejrzliwość.

Paweł złożył list i schował go do kieszeni. Domyślał się, że Michał od początku ignorował jej istnienie. Zastanawiał się jak się zachować, czy pokazać ten list bez jednej wzmianki na jej temat,

czy uznać, że nie ma o czym mówić. Matka również musiała się domyślać powodów jego rozterki. Głaskała Sabinę patrząc w podłogę. Po chwili wstała bez słowa i poszła do kuchni. Sabina zeskoczyła z jej kolan i spojrzała na niego wymownie. – Nie zamierzam cię antropomorfizować ty kocia małpo – pomyślał, zdając sobie sprawę z tego, że się do niej uśmiecha. Wyciągnął rękę. Otarła się dwa razy o jego dłoń policzkiem i zaczęła myć łapkę. Widać również uznała, że sytuacja jest nazbyt napięta i trzeba udawać, że wszystko jest normalnie.

Dopiero na plebani przeczytał list Michała ponownie i usiadł do odpowiedzi. Siedział przy stole i zapatrzył się we wzory stearyny na świeczniku. Zdawało mu się, że widzi ciężką, nalaną tłuszczem twarz mnicha. Zastanawiał się dlaczego szukamy twarzy w chmurach, twarzy na księżycu, dlaczego dziecko rysuje słońce z ludzką twarzą? Może antropomorfizowanie natury jest naszą drugą naturą? Czy tylko człowiek jest tak wrażliwy na twarz, czy dzielimy tę wrażliwość z innymi naczelnymi? Czy jest możliwe, że szympanś może dopatrzeć się twarzy szympanśa w chmurach? Mało prawdopodobne, pewnie jest to wyłącznie ludzkie, pewnie związane z rozwojem ludzkiego umysłu. Twarz matki jest pierwszym przyjaznym kształtem, skąd jednak skłonność do odnajdowania ludzkich twarzy w skałach i drzewach, w chmurach i cieniach na księżycu? Z pewnością starsza niż religie, zapewne popychająca do kłaniania się górom i drzewom. Sztuka i religia splecione ze sobą wzrokowymi omamami i schizofrenią szeptów. Odnajdujemy twarze w chmurach, a sens życia dyktują nam głosy w snach lub na jawie zredukowanej do czystej myśli. Lewitujemy, bo umysł unosi się w oparach abstrakcji i powracamy na ziemię z mistycznym doświadczeniem rozmowy z księżycem.

Próbował ponownie odszukać twarz mnicha w stearynie na świeczniku, ale zgubił ją i stracił możliwość wyizolowania jej z kształtów tworzonych przypadkowo przez ściekające krople gorącego tłuszczu. Skoncentrował uwagę na białej kartce papieru. Powoli zaczął pisać:

Kochany Michale,

Nie znalazłem tej historii naszego nazwiska i mam wrażenie, że wiele ona tłumaczy. Ojciec interesował się historią i często o niej mówił, ale unikał rozmów o rodzinie i zbywał moje pytania milczeniem. Sprawa podpisania volkslisty jest rzeczywiście paskudna. Ponieważ dziadek zmarł jak byłem dzieckiem i nawet nie pamiętam jego twarzy, więc cała sprawa jest dla mnie dość abstrakcyjna. Domyślam się jednak, że dla ojca i dla Ciebie informacja o tym musiała być traumatycznym szokiem.

Zaintrygowaleś mnie w Twoim liście wzmianką o żydowskiej prababce, czy możesz napisać o niej więcej. (Kim była, skąd się wzięła, czy była akceptowana przez rodzinę i sąsiadów?) Piszesz, że babka Krysia była z niemieckiej rodziny. Czy ta niemieckość to tylko nazwisko, czy również zachowany język i religia? Jest tu sporo ludzi z niemiecko brzmiącymi nazwiskami, ale to przecież nic nie znaczy.

Pytasz o mnie. Jestem księdzem w wiejskiej parafii. Kiedyś ciągnęła mnie biologia i czasem zastanawiam się jakby się moje życie ułożyło gdybym zdecydował się na studia biologiczne.

Ojciec studiował geografię i został naczelnikiem poczty. Domyślam się, że wolał to, niż uczyć w szkole. Nie wiem, jest bardzo wiele rzeczy, których nie rozumiem i których zapewne nie da się wyjaśnić.

Twój list pozwala zrozumieć, że sprawy związane z naszą rodziną były jeszcze bardziej skomplikowane niż sądziłem.

Nie piszesz nic o sobie (o Was). Mam Twoje zdjęcie z 1970 roku. Domyślam się, że się zmieniłeś.

Czekam na Twój kolejny list.

Serdecznie pozdrawiam

Paweł

Odłożył pióro i zaczął zastanawiać się jak wuj Michał przyjmie jego list. Kim jest? W co wierzy? Czytał kiedyś, że w Stanach mniej niż cztery procent ludności jest niewierzących, wśród naukowców te proporcje były zupełnie inne. Czy wiadomość o tym, że jest księdzem może zniechęcić go do dalszej korespondencji? Wcześniej bywał zażenowany ludzką unізonością, tym, że traktowano go inaczej niż innych, krępowała go teatralność liturgii w kościele i teatralność zachowań narzuconych przez sutannę w życiu codziennym. Teraz groziło mu coś innego. Nie do końca umiał zdefiniować czego się obawia. Odrzucenia? Tego zawsze się obawiamy. Być może religia jest również siatką bezpieczeństwa chroniącą przed odrzuceniem. Zbieramy się w kościele i tworzymy wspólnotę, w której jest miejsce dla każdego...

Paweł uśmiechnął się gorzko do własnych myśli, zdając sobie sprawę jak bardzo ta wspólnota przed ołtarzem jest iluzją. Oczywiście, ta wspólnota pomaga, ale na co dzień wspiera głównie rozhisteryzowane dewotki, które tylko odstraszą zwykłych ludzi szukających wspólnoty. Czytał o księżach, którzy umieli przekształcić parafię w społeczność. Czemu jest ich tak mało, jak to się robi? Biskupi nie zawsze chętnie patrzą na księży-społeczników. Modlitwa przez pracę ich obraża, domagają się dni wolnych na modlitwę.

Odnalazł wzrokiem twarz mnicha w wypukłościach stearyny na świeczniku. Uniesiona głowa przypominała rysunki mnichów zastygłych w ekstatycznym zachwycie na reklamach serów. Nigdy nie podejrzewał, że może się kiedyś czuć niezręcznie informując, że jest księdzem. Teraz, wkładając do koperty list do człowieka, którego przecież nie znał, zastanawiał się jak przyjmie tę wiadomość i czy nie będzie ona powodem przerwania ledwie zaczętej korespondencji.

Paweł zadzwonił do doktora Palucha i zamówił wizytę. W świecie, w którym zamawianie

wizyt nie istnieje, jest to takie samo wchodzenie bez kolejki jak każde inne. Zdawał sobie z tego sprawę, tak samo jak z tego, że nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, żeby protestować. Kiedy wszedł do poczekalni powiedział, że zamówił wizytę telefonicznie, bo spiesz się potem do szkoły. Czekające kobiety przyjęły to z uśmiechami, mężczyźni poważnie, ale bez agresji. Siostra w recepcji powiedziała, że jego papiery są już u doktora i żeby chwileczkę poczekał, bo w gabinecie jest pacjent. Usiadł, spojrzał na czubki butów wystające spod sutanny. Półmrok w poczekalni nie pozwalał na czytanie, więc położył swoją czarną torbę na wolnym krześle i zatopił się w myślach. Jak wygląda życie tych ludzi? Żyjąc wśród nich, nawet na to pytanie nie umiał odpowiedzieć. Ilekroć wchodził do ich mieszkań mieli zawsze włączony telewizor. Nie zawsze patrzyli na ekran, ale obecność włączonego telewizora wydawała się w ich życiu niezbywalna. W szkole wypytywał młodzież, która przyznawała, że spędza przed telewizorem nie mniej niż pięć godzin dziennie. Bożyszcze nowoczesności nieustannie wydzielalo z siebie czad debilizmu. Klasa pisząca do serwowanej od wieków gorzałki dla ludu, dodawała teraz płody swego intelektu. Czy siedząc w poczekalni czuli głód abstynencji? Młodzi zabijają ciszę i własne myśli muzyką z radia, co chwila spoglądają nerwowo na telefony komórkowe. Za rok lub dwa i młodzi i dorośli odzyskają w poczekalniach spokój i będą siedzieli ze wzrokiem wklejonym w ekran telefonu komórkowego, na którym będzie wreszcie jakiś ruch.

Kiedyś dobiegający z kieszeni ucznia dzwonek telefonu sprowokował go do prośby, aby zamknęli telefoniczne komórki i otworzyli swoje szare komórki na zbawienne prądy samodzielnego myślenia. Gwałtowny śmiech uczniów skłonił go do powtarzania tego wejścia w innych klasach, ale bez dźwięku telefonu dowcip nie działał. Sami uczniowie wyłączyli dźwięk dzwonek i tylko ustawicznie sprawdzali korespondencję.

Spojrzał z czułością na swoją torbę, w której drzemały trzy książki. Nie wiedzieć czemu przysły mu do głowy słowa z Pieśni Dawida:

Szczęśliwy, kto złożył nadzieję w Panu, a nie oglądał się na hardych, na zbaczających w kłamstwo. (Psalm 40)

Jak łatwo mój styl życia staje się jedyną prawdą. Inaczej myślący jest wrogiem i kłamcą. Wspólnota potrzebuje wroga. Ogolone łby w podkutych butach, z bełkotem rozkoszy gotowe są bronić jedynej prawdy. Przypomniał sobie wpis internauty:

Religia jest doskonałym środkiem antykoncepcyjnym. Niestety, działa tylko na umysły.

Dlaczego tak się zdenerwował na autora, dlaczego miał go ochotę zwymyślać? Zagrożenie dla czegoś, co uznał za sens istnienia? Filozofia komplikuje życie. Zbyt często, zbyt intensywnie wpatrujemy się w czubki butów wystające spod sutanny.

Z gabinetu wyszedł młody, opalony mężczyzna. Co mu jest, czy przyszedł tylko po zwolnienie? Paweł czytał gdzieś, że jesteśmy narodem, który najczęściej w Europie świętuje i najwięcej choruje. Czy to znaczy, że kasta lekarzy...?

-Niech ksiądz wejdzie – powiedziała kobieta siedząca najbliżej drzwi gabinetu. Uśmiechnął się do niej i kiwnął głową. Wziął z krzesła czarną teczkę i wszedł do gabinetu. Doktor Paluch gasił papierosa.

- A, witam, i jak tam, nadal ksiądz wierzy, że nasza wieś jest najlepszym miejscem pod słońcem?
- Nadal jestem przekonany, że jest na świecie wiele gorszych miejsc.
- Pewnie ksiądz ma rację, mamy tylko piekielko, a nie prawdziwe piekło. W czym problem, ciągle bezsenność?
- Problemy z gardłem, a w moim zawodzie to narzędzie pracy.
- - Zaraz zobaczymy, a wracając do naszej wsi, to był tu u mnie dziś właściciel kiosku, ósmy raz go okradli. Policja pokiwała głowami i poradziła, żeby założył lepsze zabezpieczenia.

Wszyscy wiedzą kto, ale zadzieranie z elementem kryminalnym nie jest bezpieczne. No, ale

ksiądz pewnie i tak wszystko wie z konfesjonału. Niech ksiądz usiądzie twarzą do okna i pokaże mi to gardło.

Wyszedł od lekarza z receptą na antybiotyki i w głębokim przekonaniu, że już dawno zaraził się głęboką niechęcią do bliźnich. Na to nie ma jednak lekarstwa, przynajmniej nie w aptece. Miał jeszcze kwadrans do lekcji, a nie chciał przychodzić zbyt wcześnie. Usiadł na ustawionej nad rzeką ławce, z której wandy wyrywali jedną listwę. Spojrzał w chmury. Zobaczył akt kobiety, leżącej na boku, zwróconej do niego plecami, z twarzą uniesioną ku górze i wyraźnym profilem. Takie mistrzostwo w przypadkowym rozłożeniu cieni i półcieni zakrawało na cud, albo osobliwy fenomen umysłu umiejącego wtłaczać postrzeganą rzeczywistość w czekające na nią schematy. Iluzja jest częścią rzeczywistego świata, wiara w UFO nie przeszkadza nam trafiać nogą na stopień, ani trafiać łyżką do ust.

Wstał z ławki i ruszył do szkoły. Z daleka zobaczył sylwetkę wiejskiego przygłupa. Znał go, czasem z nim rozmawiał, miał do siebie żal, że tak go nazywa. Zbynio miał jakieś czterdzieści pięć lat, był niski i zawsze przygarbiony, chodził niepewnie, jakby się obawiał, że za chwilę runie na ziemię, patrzył na świat z otwartą gębą, jakby wszędzie dostrzegał prawdziwe cuda. Teraz stał po drugiej stronie ulicy i patrzył z fascynacją na Pawła, jego przechyloną na bok głowa świadczyła o intensywnej obróbce postrzeganej rzeczywistości. Zbynio uśmiechnął się szeroko i zbyt głośno krzyknął dzień dobry.

Paweł w myślach planował lekcję o wartościach, o wartości ludzkiego życia. Przypomniawsobiesobie opis rodziny nomadów, w której matka podczas głodu przestała karmić najsłabsze dzieci. Przypomniawsobie jak tanie bywa ludzkie życie w czasach wojny i bezprawia. Przykazanie „nie zabijaj” jest oczywiste. Dalej zaczynają się komplikacje. Układanie norm jest łatwiejsze niż ich interpretacja w starciu z rzeczywistością.

Obejrzał się. Zbynio stał nadal na krawężniku i patrzył w jego kierunku. Co widział?

Przesuwającą się po ulicy sylwetkę w czarnej sutannie. Nie można wykluczyć, że miał mistyczne przeżycia. Paweł automatycznie odpowiedział na kolejne „niech będzie pochwalony”, uniósł głowę i zobaczył twarz młodej kobiety. Uświadomił sobie, że widział ją i to nie tylko na ulicy, czy w kościele. Widział ją we śnie, to ona była kobietą w oknie we śnie z muzykiem.

Pozdrawiając go pochyliła głowę w pokorze. Miał ochotę się obejrzeć, zobaczyć jak się prostuje. Czy miała oczy kobiet z średniowiecznych obrazów? Chyba nie, ale ubrana w czerwony gorset i sztywny czepek, mogłaby wędrować w czasie. Pod gorsetem była wiecznością, albo raczej wehikułem wieczności. Apage.

W szatni wisiały krzyżackie płaszcze. Nic więcej, co nie budziło zdziwienia, gdyż o tej porze roku nikt nie nosił wierzchnich okryć. Wystawiano „Czekając na Godota”. Zdaniem wójta, wystawianie tej sztuki w remizie było obrażą pamięci obrońców Westerplatte. Pozostawione na scenie instrumenty muzyczne strażackiej orkiestry stanowiły rekwizyty w wystawianej sztuce. Powieszona na szyi aktora tuba, sprawiała wrażenie dyb lub kamienia młyńskiego. Sztukę grali znani wszystkim pijaczkowie spod sklepu, a jedyną dekoracją była zawieszona na ścianie głowa dzika. Aktor stojący na scenie z wielką tubą na szyi od czasu do czasu w sztukę Becketta wplatał kawałki monologu Hamleta, zmieniając jednak pierwsze słowa już to na: „pić albo nie pić”, już to na „wyć albo nie wyć”. Drugi aktor przyglądał mu się wówczas wzrokiem zdumionego Zbysia. Publiczność siedziała przy długich rzędach stołów przykrytych zielonym suknem. Była woda mineralna i fistaszki. Stojące na stołach kupki papierowych talerzy mogły być zapowiedzią ciepłego posiłku. Nie było kieliszków. Publiczność co chwila oglądała się na drzwi wejściowe. Ewidentnie na kogoś czekano. Paweł szukał wzrokiem właścicieli krzyżackich płaszczy. Na sali byli jednak sami swoi. Płaszcze musiały być częścią spisku, rekwizytem wychodzącym widzom naprzeciw. Przy stołach było cicho, tylko wójt głośno protestował. Aktorzy przyjmowali jego

protesty z wdzięcznością, gdyż przerywały nazbyt długie ich zdaniem przerwy między kwestiami. Paweł pamiętał jak grali tę sztukę w liceum. Odmówił wówczas udziału w przedstawieniu, wykręcając się bólem gardła. Siedząc przy stole i jedząc fistaszki myślał, że również teraz nie chciałby grać w tej sztuce, gdyż nie byłby autentyczny. Obudziło go dziwne uczucie – wody mineralnej, która wylewała mu się szerokim strumieniem z ust. Odrzucił kołdrę, ale nadal leżał na poduszce z otwartymi oczyma. Zdawało mu się, że słyszy muzykę. Przypomniwał sobie słowa ojca: „...jest taka muzyka, którą można usłyszeć tylko w niektórych pubach Nowego Jorku. Nigdy jej nie słyszałem”.

Drogi Pawle,

Polecam Cię Bogu, chociaż nie wiem, co to słowo teraz to dla Ciebie oznacza. Wiele myślałem o naszej ostatniej rozmowie i obawiam się, że mało z tego myślenia wynikło. Zastanawiam się, czy nie miałbyś ochoty przyjechać do nas na tydzień lub dwa? Zbliżają się wakacje szkolne, więc pewnie będziesz miał troszkę mniej obowiązków w parafii. W naszym ośrodku mieszka teraz wraz ze mną trzynaście osób. Jak powiada jeden z mieszkańców (były student zarządzania) jesteśmy masonami, członkami Wielkiej Loży Kuchennej. Istotnie, nasze życie społeczne skupia się w kuchni, w pokojach każdy ma pełne prawo do prywatności, a podczas prac w gospodarstwie staramy się koncentrować uwagę na samej pracy. (Zdecydowana wola współdziałania na rzecz tego, aby to nasze gospodarstwo zapewniało nam środki do życia jest warunkiem przyjęcia do wspólnoty. Człowiek może mieć takie lub inne kryzysy, ale musi mieć poczucie odpowiedzialności za siebie i innych. Również goście są w okresie pobytu w ośrodku włączeni w prace w gospodarstwie.)

W naszej Wielkiej Loży Kuchennej oddajemy się głównie pochwie zwykłej, małej życzliwości, gdyż ta zasługuje na uwagę większą niż zgromadzenia biskupów i wielkie spory o ostateczne racje. Ćwiczymy się również w sztuce autoironii, gdyż ta pozwala na spojrzenie w lustro z krzywym uśmiechem.

W ogrodzie mamy stado szpaków, pliszki, czasem zawita wilga, wróbel uwił gniazdo pod dachem, psy drą koty z kotką, ale krzywdy sobie nie robią, nad rzeką widzimy mewy i czaple, czasem sarna wejdzie do sadu, stęskniona za goryczą wiśniowych liści.

Rozstawiliśmy również brzozowe pniaki, na których wieczorem daje się przysiąść i pogadać, albo tylko wspólnie popatrzeć w chmury. Fizyczne zmęczenie i satysfakcja z pracy przydają właściwą perspektywę abstrakcji.

Rozważ moją propozycję i daj znać czy i kiedy przyjedziesz.

Marek

Dwukrotnie przeczytał list i schował go do kuferka. Odpowiedź wymagała studiów nad kalendarzem i rozmowy z proboszczem. Podeszedł do okna i przez chwilę patrzył na ogród plebani – schludny i zadbany przez ogrodnika, oddzielony murem od rzeczywistego świata. Na wielkiej jabłoni dojrzewały zakazane owoce. Uśmiechnął się do własnych myśli; „dlaczego kradzież jabłek z księżowskiego sadu miała zawsze wysoki prestiż w chłopięcych umysłach?”

O śmierci Piotra Paweł dowiedział się od matki. Kiedy przyszedł, powiedziała, że policja chciała się z nim skontaktować, a kiedy zapytał czemu, powiedziała, że z pewnością chodzi o Piotra i dopiero wtedy zdziwiła się, że nie wie, bo przecież pisali o tym w gazetach i nawet mówili w telewizji. Więc dowiedział się, że ciało Piotra znaleziono w krzakach nad Wisłą, był zakłuty nożem, a jego odcięta głowa leżała kilka metrów dalej. Policjant przyszedł i wziął numer telefonu do parafii.

Paweł sięgnął po słuchawkę i zadzwonił na komisariat, gdzie mu powiedziano, żeby zadzwonił do Lipna, bo sprawę prowadzi policja z Bydgoszczy. W Lipnie potwierdzili, że sprawę prowadzi Bydgoszcz i dostał już właściwy numer telefonu. W Bydgoszczy, oficer prowadzący sprawę ucieszył się i powiedział, że próbował się z nim skontaktować i że chciałby się jak najszybciej z nim spotkać. Ostatecznie umówili się na następny dzień w dobrzyńskim komisariacie.

Kiedy spotkali się w pokoju komendanta, młodszy od Pawła mężczyzna wskazał krzesło i włączył magnetofon. Powiedział, że jest to przesłuchanie w związku z morderstwem Dąbrowskiego Piotra. Po sprawdzeniu danych personalnych oficer zapytał Pawła od jak dawna znał zmarłego. Paweł powiedział, że znał Piotra od pierwszej klasy szkoły podstawowej, że przyjaźnili się aż do matury, chociaż w ostatnim roku przed maturą ich drogi zaczęły się rozchodzić.

- Kiedy ksiądz ostatni raz widział zmarłego?
- Mniej więcej miesiąc temu, odwiedziłem go w jego mieszkaniu.
- Czy ksiądz wiedział, że zmarły miał powiązania z światem przestępczym?
- Wiedziałem, że niedawno wyszedł z więzienia.
- Jak często spotykaliście się po wyjściu zmarłego z więzienia?
- Tylko dwa razy, raz na ulicy, przypadkowo, drugi raz odwiedziłem go w jego mieszkaniu.
- Czy podczas tego spotkania zmarły mówił, że się kogoś lub czegoś obawia, czy mówił z kim się spotyka, czy może chciał się wyświadczyć?
- Mówił trochę o swoim pobycie w więzieniu i mówił, że jest alkoholikiem i że nie umie rozstać się z nałogiem.

Mężczyzna za biurkiem robił notatki, Paweł miał wrażenie, że unika kontaktu wzrokowego. Pokój, w którym rozmawiali był ciemny, wręcz mroczny i uświadomił sobie nagle, że w tym miejscu stała kiedyś dobrzyńska synagoga. Fakt bez znaczenia, a jednak ciekaw był, czy gdyby się cofnął w czasie, czy znajdowałby się teraz w jej wnętrzu? Zastanawiał się, czy był współwinnym śmierci Piotra, czy mógł wpłynąć na jego życie kiedyś, czy mógł mu pomóc miesiąc temu?

- Czy zmarły dzwonił, albo pisał do księdza jakieś listy?

- Nie, nie umieliśmy ze sobą rozmawiać i myślę, że nigdy nie potraktował poważnie mojej oferty pomocy.
- Czy zmarły miał pieniądze, albo czy mówił z czego żyje?
- Nie miał pieniędzy, pożyczył ode mnie dziesięć złotych. Wspomniał jednak, że czasem ma jakieś pieniądze, ale nie mówił skąd.
- Nie ma ksiądz żadnych podejrzeń na temat tego, kto mógłby go chcieć zabić?
- Nie.
- A zastanawiał się ksiądz nad pytaniem jak trafiliśmy do księdza, skąd wiedzieliśmy, że byliście w kontakcie?
- Nie, to jest małe miasteczko, wszyscy wszystko wiedzą, wszyscy wszystko widzą. Nie było w tym niczego dziwnego, szczególnie, że poszukiwaliście kontaktu ze mną przez moją matkę.
- Na stole w domu zmarłego była zaadresowana koperta do księdza, zaadresowana właśnie na adres księdza matki. Listu nie znaleźliśmy, czy domyśla się ksiądz co mogło być w tym liście?
- Nie, ale to może znaczyć, że szukał pomocy... że byłem jedynym człowiekiem, któremu gotów był zaufać...
- Istotnie, dlatego trochę liczyliśmy na jakieś informacje od księdza. Proszę przypomnieć sobie waszą ostatnią rozmowę, może pojawiła się tam jakakolwiek wzmianka o ludziach, z którymi się spotykał?

Paweł pokręcił głową. Uświadomił sobie, że morderca, czy mordercy odcięli głowę Piotra i cisnęli ją, lub kopnęli daleko od ciała. Osobista nienawiść, sygnał dla kogoś, kto nadal żyje, czy sadyzm mordercy mordującego dla przyjemności mordowania? Ponownie dobiegł go głos oficera policji – Czy ksiądz zna innych kryminalistów w tym mieście?

Paweł spojrzał na pytającego z irytacją i wzruszył ramionami – Znam tu wszystkich mężczyzn w

moim wieku, więc jeśli któryś z nich jest związany z światem przestępczym, to można powiedzieć, że tak.

- Jak ksiądz przyjechał do Dobrzynia, samochodem?
- Nie mam samochodu i nie mam prawa jazdy.
- Przepraszam, ale to są pytania, które muszę zadać. Gdzie ksiądz był w dniu zabójstwa?
- Nie wiem kiedy Piotr został zamordowany.
- We wtorek, prawdopodobnie około godziny dwudziestej pierwszej.
- Byłem na plebani. W Dobrzyniu byłem ostatnio jakieś dwa tygodnie temu.

Mężczyzna zgasił magnetofon, podniósł się z krzesła i wręczył Pawłowi swoją wizytówkę. – To w zasadzie wszystko – powiedział – gdyby ksiądz sobie coś przypomniał, czy też gdyby jakiegokolwiek informacje ważne dla śledztwa do księdza dotarły, proszę do mnie zadzwonić.

Wracając do domu Paweł uświadomił sobie, czego obawiał się najbardziej, zdjęć, kolorowych fotografii zwłok Piotra, jego obciętej głowy, jaskrawej zieleni kontrastującej z martwym ciałem. Miał wrażenie, że ta śmierć jest ostrzeżeniem, że ma odstraszać innych, ale od czego odstraszać? Czy Piotr złamał złodziejski kodeks i okradał złodziei, czy groził ujawnieniem czegoś policji? Jeśli to drugie, to jak się dowiedzieli o jego planach? Paweł zdawał sobie sprawę z tego, że nie rozwiąże tej zagadki i podejrzewał, że nie rozwiąże jej również policja. Fakt, że Piotr pisał do niego jakiś list wskazywał, że szukał pomocy. W czym? W bezpiecznym przekazaniu policji ważnej informacji? Pomyślał, że ta możliwość jest tak kusząca, bo jest jakąś formą pośmiertnej rehabilitacji Piotra.

Tej nocy nie zmrużył oka, powtarzał w myślach ich ostatnie spotkanie, przypominał sobie sceny z lat szkolnych. Kiedy przysypiał natychmiast budził go widok pokłutego nożem i pozbawionego głowy ciała. Pamiętał, że kiedy był ostatnio u matki, przemknęła mu przez głowę

myśl, żeby zajrzeć do Piotra. Pamiętał, czuł wręcz skrzywienie twarzy, którym skwitował myśl o kolejnej konfrontacji.

Przerażała go perspektywa wstania z łóżka i pójścia do szkoły. Ponowna ucieczka w chorobę? Zrobił to już raz, kiedy nie chciał celebrować ceremonii święcenia nowego samochodu gminy. Na tydzień przed końcem roku atmosfera w szkole była już zupełnie rozluźniona. Niektórzy nauczyciele zabierali uczniów na wycieczki nad jezioro, inni próbowali jeszcze powtarzać materiał lub puszczali wszystko na żywioł, pozwalając uczniom dyskutować o czym chcą. Po nieprzespanej nocy, wszedł do klasy czując zmęczenie i pustkę w głowie. Po raz pierwszy w życiu nie miał żadnego planu i nie wiedział czym wypełni najbliższe 45 minut.

-Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.- Klasa odpowiedziała. Paweł usiadł i sprawdził dziennik. Wstał ponownie i spojrzał w okno, szukając natchnienia.

- Kończycie tę szkołę i idziecie w świat - zaczął - może to najwłaściwszy moment, żeby pogadać o uczciwości. Czasem nazywamy ją sumieniem, głosem, który mówi: nie rób tego, czasem jest busolą wskazującą nam kierunek, w którym mamy iść, czasem nie umiemy jej nawet zdefiniować, czasem uświadamiamy sobie, że próbowaliśmy oszukać nasze własne poczucie uczciwości.

Patrzyło na niego trzydzieści par kompletnie znudzonych oczu. Pomyślał, że to bez sensu, że nie zdoła nawiązać z nimi żadnego kontaktu. Wyjął z torby blok papieru w kratkę i zapytał, czy ktoś ma nożyczki. Kilka dziewcząt podniosło ręce. Wydarł z bloku trzy kartki i poprosił o pocięcie ich na paski o dwucentymetrowej szerokości.

- Zrobimy przesłuchanie - powiedział – każde z was może mnie zapytać o co chce, piszecie swoje pytania na karteczkach, nie musicie tych kartek podpisywać, wrzucimy je do pudełka i ja będę na te pytania odpowiadał. Powtarzam, wolno pytać o wszystko. Spróbuję być uczciwy, kiedy jakieś pytanie będzie nazbyt kłopotliwe, to wam po prostu powiem, że nie

mogę, czy że nie chcę na to pytanie odpowiedzieć.

Teraz patrzyli na niego niepewnie, ale widział, że zdołał wywołać jakąś reakcję w ich mózgach.

Pierwsze puste kartki zaczęły wędrować między ławkami. Paweł wziął z okna pudełko po kredzie i ostrożnie wysypał z niego do kosza resztki pyłu. Przyglądał się klasie i zastanawiał się czym się skończy ten eksperyment. Podeszedł do okna i patrzył na ścianę lasu. „Czy Piotr zapłacił życiem za próbę powrotu do uczciwości, czy wręcz przeciwnie? A może nie jest to wszystko takie proste?”

Odwrócił się. Kilka osób pisało, inne wpatrywały się w puste kartki. Wrócił przed tablicę.

- Nie spieszcie się - powiedział – ten eksperyment wymaga również z waszej strony odwagi i uczciwości. Dam wam jeszcze pięć minut. Potem złożcie swoje kartki na czworo, zbierzemy je, Wiktor i Radek będą prowadzić przesłuchanie. Ja będę siedział przed tablicą. Wiktor i Radek będą siedzieli przy stole, będą losować pytania i głośno je czytać.
- Dlaczego ja – zapytał Radek, najwyraźniej wystraszony perspektywą głośnego czytania pytań kolegów.
- Przypadek, chciałem, żeby był jeden chłopak i jedna dziewczyna. Przypadek odgrywa w życiu ogromną rolę...

Paweł wiedział, że jeśli pozwoli uczniowi się wycofać, czeka go cała seria odmów, jeśli go zmusi, Radek będzie tylko niechętnym statystą. Błędne koło, z którym każdy nauczyciel ma ciągle do czynienia, kiedy potrzebuje aktywnej pomocy uczniów. Patrzył na nadąsaną twarz chłopca. Uświadomił sobie, że Piotr zgłosiłby się na ochotnika, a on sam próbowałby się wykręcić. – W twoim wieku pewnie zachowałbym się podobnie, próbowałbym się wykręcić, schować, za plecami innych. Nigdy nie grzeszyłem odwagą. Mam do ciebie prośbę, nie odmawiaj.

Radek zacisnął wargi. Należał do tych, którzy nie wyróżniają się ani w sporcie, ani w nauce.

Nie dał wyraźnej odpowiedzi, ale jego opór zniknął. Wiktoria zaczęła zbierać kartki do pudełka.

Paweł usiadł na krześle pod tablicą. Chłopiec stał niepewnie na środku klasy, ale po chwili przyniósł dwa krzesła i usiadł przy stole. Wika, drobna, dziewczyna z ciemnymi włosami, w szerokich, wyszywanych džinsach energicznie potrząsała pudełkiem. Zebrała karteczki z ostatniego rzędu i podeszła do stołu. Usiadła, podsunęła pudełko Radkowi, żeby wyciągnął pierwsze pytanie. Radek wyciągnął złożoną karteczkę i podał ją koleżance. Rozłożyła kartkę i jej rozbawiona twarz znieruchomiała. Paweł widział, że nie powinien dłużej czekać. Podeszedł i zabrał jej kartkę. Spojrzał, powoli wrócił na swoje krzesło zastanawiając się jak to rozegrać.

- Ja to pierdolę – przeczytał głośno, domyślając się czyja to kartka. Klasa zamarła. Paweł przyglądał się karteczce z uwagą, a potem powiedział – Autor zdaje się pytać, czy są takie dni, kiedy odczuwam zniechęcenie. – Uczniowie zareagowali nerwowym śmiechem. Odczekał obserwując kątem oka swojego imiennika, siedzącego samotnie w ostatniej ławce. Zastanawiał się, czy mówić dalej do niego, czy zignorować go i mówić do reszty. Kartki miały być anonimowe, postanowił, że lepiej udawać, że nie wie kto to napisał.
- Tak, ale szukam innych środków wyrazu dla mojego zniechęcenia – Klasa znów zareagowała śmiechem. Spojrzał na Wiktorię, która sięgnęła po kolejną kartkę.
- Pytanie numer dwa – powiedziała rozwijając karteczkę – puste.
- Czy dlatego puste – zapytał Paweł – że autor, czy autorka nie miał żadnego pytania, czy dlatego, że pytanie było tak trudne, że nie odważył się, czy nie odważyła się go napisać? – Jedyną odpowiedzią była cisza, więc poprosił o kolejne pytanie. Wiktoria zamknęła oczy i długo wybierała z pudełka kolejną kartkę. Rozwinęła ją i podała do przeczytania Radkowi. Chłopiec spojrział na kartkę i oddał jej ponownie.
- Czy ksiądz był kiedyś zakochany? – przeczytała Wiktoria.
- Ksiądz, czy ja – zapytał Paweł – bo zanim zostałem księdzem byłem takim samym

nastolatkiem jak wy i nawet jeśli nie zawsze pamiętam jak to jest, to doskonale pamiętam moją pierwszą miłość. Oczywiście, że byłem zakochany, po same uszy. Ta moja pierwsza miłość gdzieś się zgubiła jak poszedłem do liceum. Potem byłem zakochany kiedy już zdecydowałem się, że idę do seminarium i musiałem wybrać...a potem, potem już nie byłem zakochany, ale było kilka trudnych chwil. Ksiądz dostrzega w kobietach kobiety, jest normalnym człowiekiem...

Spojrzał na Wiktorię i kiwnął głową. Wyciągnęła następną kartkę, była znów pusta. Kolejna kartka: „Czy ksiądz kiedyś kochał jakąś kobietę?” Paweł rozłożył bezradnie ręce, a Wiktoria sięgnęła po następne pytanie. Spojrzała na kartkę i Paweł znów zauważył zaniepokojenie na jej twarzy.

- Czy ksiądz wierzy w cuda?

Domyślał się, że to pytanie się pojawi. Zastanawiał się jak dobrać słowa, żeby zrozumieli to, co chce im przekazać. Przez chwilę koncentrował uwagę jak przed skokiem z trampoliny.

- Czy wierzycie w to, że jesteśmy otoczeni przez żywe istoty, których nie możemy zobaczyć gołym okiem - zawiesił głos – otaczają nas miliardy żywych istot. Widzę po waszych twarzach, że niektórzy się już domyślają; nie mówię o żadnych duchach, tylko o bakteriach i wirusach. Jeśli mamy dostatecznie silny mikroskop możemy bakterię zobaczyć, naprawdę potężny mikroskop pozwala również zobaczyć wirusa. Ducha nie można zobaczyć, ale duchy bardziej nas podniecają. Po prostu lubimy wierzyć w duchy, lubimy się ich bać. Nasze umysły są znacznie lepiej przystosowane do wiary w duchy, niż do wiary w jakieś niewidzialne bakterie. Natura ma swoje prawa i czasem daje się te prawa pokonać. Nie złamać, praw natury nie można złamać. Człowiek zawsze marzył o lataniu. Natura nie dała nam skrzydeł, a jednak latamy. Człowiek marzył o nieważkości. Wiemy, że to możliwe, wystarczy znaleźć się poza sferą ziemskiego przyciągania. Cud, tak jak go rozumie większość ludzi, to zawieszenie praw natury.

Oto dzieje się coś, co nie może się dziać, co jest wbrew naturze. Wyjaśnienia są wówczas dwa, albo nam się wydaje, jesteśmy ofiarami cudzych lub własnych omamów, albo jesteśmy świadkami rzeczywistego zdarzenia, które daje się wyjaśnić, ale nie dostrzegamy mechaniki tego zdarzenia, albo nie mamy wiedzy pozwalającej zrozumieć tę mechanikę. Kopernik wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię. Dokonał prawdziwego cudu. Zmusił nasze umysły do zakwestionowania złudzenia jakim jest wędrówka słońca po niebie i do uznania prawdy, która wydaje się sprzeczna z tym co widzimy. Słyszeliście o tym od dziecka i was ta prawda wcale nie dziwi. Potem widząc zdjęcia ziemi z kosmosu widzieliście oczywiste dowody prawdziwości teorii Kopernika. Pewnie widzieliście w telewizji zdjęcia zrobionej przez człowieka sondy i pojazdu, który wędruje po powierzchni Marsa. W czasach Kopernika, jego teoria była herezją przeczącą zdrowemu rozsądkowi. Wierzano w cuda, ale w prawdę było znacznie trudniej uwierzyć. Nasze zmysły mówią nam, że ziemia jest podobna do naleśnika, więc jak ktoś mówi, że jest podobna do jabłka, to wydaje nam się, że zwariował. Tak więc wierzę w cuda, codziennie rano, kiedy ziemia ponownie wtacza się naszą stroną pod słońce, dziękuję Bogu, że w nocy nie spadłem w przestrzeń kosmiczną. – Tu i ówdzie twarze uczniów rozjaśniły się w porozumiewawczym, kpiącym uśmiechu. – Wierzę w cud jakim jest życie na ziemi, w cuda natury; nie wierzę w nadzwyczajne wydarzenia, które są sprzeczne z prawami natury i których nie da się w żaden sposób zbadać, ani nawet potwierdzić.

W kącie sali chłopiec o tym samym imieniu demonstracyjnie patrzył w okno, reszta klasy słuchała Pawła w milczeniu. Zastanawiał się, ile z tego rozumieli? Czy mówił nad ich głowami? Czy powinien postawić kropkę nad i? Przez długą chwilę milczał. Miał nadzieję, że ktoś zada dodatkowe pytanie. Nikt się nie odezwał. Wiktoria sięgnęła do pudełka i znów podała kartkę Radkowi, który tym razem odważył się przeczytać głośno kolejne pytanie.

- Czy ksiądz chciałby mieć dzieci?

Paweł spojrzał na wystające spod sutanny czubki swoich butów. Czuł narastające zmęczenie po dwóch nieprzespanych nocach. Nie umiał odsunąć od siebie myśli o śmierci Piotra. To pytanie było zbyt osobiste, zbyt trudne. Nie miał ochoty im mówić jak jest ważne. Czuł, że wypuścił dzina z butelki i nie umie go z powrotem do niej wepchnąć. Podniósł głowę i powiedział, że tak. Wiktoria przerwała ponowną chwilę ciszę kolejnym pytaniem: Dlaczego dziewczyny nie mogą być ministrantami?

- Tradycja – odpowiedział – kiedyś wierzono, że kobieta jest mniej warta, głupsza od mężczyzny. Kobiety nie miały prawa głosu, dziewczęta nie chodziły do szkół, były ludźmi gorszej kategorii. – Paweł zdawał sobie sprawę z tego, że jego głos brzmi drętwą. Nerwowo rzucił okiem na zegar. Nie miał z nimi kontaktu, eksperyment okazał się niepowodzeniem. – W niektórych krajach kobiety są księżmi a nawet biskupami – powiedział i usłyszał jak któryś z chłopców udaje, że wymiotuje – W Polsce – powiedział – księża też mają różne opinie i słyszałem już o dziewczętach ministrantach. Uczciwie mówiąc, ciekaw jestem jakie jest wasze zdanie na ten temat?

Nie mieli swojego zdania, albo nikt nie odważył się powiedzieć go głośno, albo też cała sprawa nie bardzo ich interesowała. Znow zapadło milczenie i tym razem Radek odważył się sięgnąć do pudełka. Rozwinął kartkę i uśmiechnął się i przeczytał pytanie – Czy ksiądz wierzy w kosmitów?

Paweł zwrócił się do Radka, potrzebował wzrokowego kontaktu z jednym słuchaczem.

– Oczywiście, ale to nie jest kwestia wiary, to są twarde fakty. Codziennie spotykam się z kosmitami, rozmawiam z nimi, nie wyobrażam sobie życia bez kosmitów. – Tym razem klasa ożywiła się, uczniowie patrzyli na niego z oczekiwaniem – Ja jestem kosmitą – powiedział widząc rozbawioną minę siedzącego koło niego chłopca – Jesteśmy mieszkańcami kosmosu, prawdopodobnie jedynymi inteligentnymi mieszkańcami kosmosu. Na księżycu nie było pana

Twardowskiego, na Marsie nie ma życia, uczeni zagląдают coraz dalej i dalej, wsłuchują się w napływające z przestrzeni kosmicznej fale radiowe i wszystko wskazuje na to, że jesteśmy samotni. Sześć miliardów samotnych kosmitów w całym wszechświecie.

- Nie wierzy ksiądz w UFO? – zapytał Radek.
- Nie wierzę w UFO – odpowiedział – Ludzie zaczęli widzieć UfO dopiero kiedy sami zaczęli myśleć o podróżach w kosmos, kiedy zaakceptowali, że Ziemia jest częścią wszechświata, więc to znowu wina Kopernika, bo przedtem mieliśmy ciekawe spotkania z aniołami, diabłami, z duchami i czarownicami, teraz wierzymy w UFO i innych niż my sami mieszkańców kosmosu. Ci wymyśleni przez nas kosmici są podobni do nas, tylko troszkę mniejsi, porozumiewają się przy pomocy telepatii, czyli mają doskonalsze telefony komórkowe, ich pojazdy kosmiczne, to uduziwniona wersja naszych rakiet. Przestaliśmy wierzyć w latające smoki, zaczęliśmy wierzyć w UFO, w coś trzeba wierzyć. Jesteśmy kosmitami z wyobraźnią.

Paweł wstał i wyjął z pudełka pozostałe kartki. – Na pozostałe pytania odpowiem innym razem, albo odpowiem autorom bezpośrednio przy pomocy telepatii.

Uczniowie zaczęli wychodzić z klasy na przerwę. Paweł schował pozostałe pytania do torby, wziął dziennik ze stołu i ruszył w kierunku drzwi. Jego imiennik szedł powoli między ławkami, Kiedy się zrównali powiedział przez zęby: Za to co zrobiłeś dostaniesz po ryju.

- Jak ty się zachowujesz! – Paweł uświadomił sobie, że krzyczy. Zobaczył na twarzy wyrostka bezgraniczną nienawiść. Chłopak z pół obrotu przewrócił kopniakiem najbliższą ławkę i odwrócił się do drzwi - Chuj ci w dupę ty kosmito – powiedział przez ramię. Paweł zdawał sobie sprawę, że próba zatrzymania go musiała by się skończyć szarpaniną.

Dyrektor Pawłowski nie był przekonany, że ta sprawa powinna mieć ciąg dalszy. Jego

zdaniem incydent nie kwalifikował się do tego, aby o nim poinformować policję, uczeń miał już obniżoną ocenę ze sprawowania, rozmowa z uczniem nie miała większego sensu, ze względu na jego obniżoną sprawność intelektualną i społeczną osobowość. Ojciec alkoholik i kryminalista, matka bardzo agresywna i w najmniejszym stopniu nieskłonna do współpracy. - Ten uczeń – mówił dyrektor - będzie w naszej szkole jeszcze tylko przez kilka dni i potem, na szczęście, rozstajemy się z nim na zawsze. Niech ksiądz mi wierzy, żadna rozmowa go już nie wychowa.

Paweł by wściekły. Był przekonany, że puszczanie takich rzeczy płazem umacnia tylko u młodocianych przestępców poczucie bezkarności. Postanowił samodzielnie zgłosić groźbę pobicia na policji, a przed tym pogadać z Janką, która przez trzy lata była wychowawcą tej klasy. Kiedy poinformował o swoich zamiarach, dyrektor nie ukrywał swojego niezadowolenia.

- Widzi ksiądz, informujemy policję tylko wtedy, kiedy dochodzi do pobicia, kradzieży, poważnych aktów wandalizmu. W przeciwnym przypadku policja musiała by być w szkole przez cały czas. Zresztą, ta młodzież i tak policji się nie boi. Więc efekt jest odwrotny od zamierzonego. Raz jeszcze dowiadują się, że nikt im nic nie może zrobić. Musimy liczyć na własne siły i umiejętności. Oczywiście, jak ksiądz chce te sprawę zgłosić, to ja nie mogę księdzu tego zakazać.

Zdaniem Janki dyrektor miał rację. Karta praw ucznia stoi głównie na straży praw tych uczniów, którzy odbierają wszystkie prawa innym. Piekielny Pawełek, przez trzy lata uniemożliwiał naukę całej klasie i nie było żadnej siły, na to, żeby osłonić przed nim pozostałe dzieci. Ludzie, którzy stworzyli ten system, nie mają zielonego pojęcia o prawdziwej szkole. Ten chłopak ma umysł dziesięciolatka, i nie ma w nim nic, prócz nienawiści. Oczywiście - mówiła – możemy się litować nad jego koszmarnym dzieciństwem, a możemy sobie uświadomić, żeśmy nie zrobili nic, żeby złagodzić jego skutki. Prawdopodobnie powinien być odebrany rodzicom natychmiast po urodzeniu. Ja nie wiem, co ksiądz myśli o dziedziczności, moim zdaniem na

niską inteligencję i odziedziczone skłonności nałożyły się wzory wyniesione z domu, prawo pięści i lekceważenie każdego, kto nie odpowiada pięścią. Ten Piekielny Pawełek miał dwanaście lat, kiedy go poznałam, i niech mi ksiądz wierzy, każde ciepłe słowo to było dla niego odsłanianie miękkiego brzucha, w który można kopnąć.

- A rodzice – zapytał Paweł.
- - Matka uważa, że szykanujemy jej dziecko. Twierdzi, że złośliwie dajemy złe oceny, kłamiemy, zwałając na niego winę, kiedy coś znikło, kłamiemy, mówiąc, że znowu kogoś pobił... Czasem myślałam, że coś złego jest ze mną, że z niektórymi rodzicami nie umiem rozmawiać. Czasem myślę, że wszyscy zgubiliśmy się i stworzyliśmy system oparty na złych założeniach. Czy ksiądz wierzy, że każdy człowiek jest z natury dobry?

Paweł czuł narastające zmęczenie. Umawiając się na to spotkanie planował wizytę u rodziców ucznia. Przyglądał się naznaczonej rezygnacją twarzy młodej kobiety. – To nie jest dobry dzień na takie pytanie – odpowiedział. – Podejrzewam, że trzeba wiarę podzielić na to, w co chcemy wierzyć i na to, w co można wierzyć. Nie zgadzam się z zasadą ząb za ząb, zgadzam się jednak, że respekt dla prawa trzeba czasem wymuszać siłą. Czy każdy człowiek jest z natury dobry? Pewnie nie, nawet z pewnością nie.

Wstał, pomyślał o czterech ścianach własnego pokoju, o ucieczce od świata w nirwanę snu. – Mam nadzieję – powiedział zegnając się z Janką – że w pani następnej klasie nie będzie żadnego Piekelnego Pawełka.

- Nie jest tak źle – odpowiedziała – chyba bardziej mi żal innych dzieciaków niż siebie. Świata nie zmienimy, trzeba to wszystko jakoś ciągnąć.

Kiedy szli korytarzem do wyjścia zapytał ją, czy się domyśla, co w tym młodym człowieku wyzwoliło taką niesłychaną agresję? Zatrzymała się pod tablicą informującą uczniów o różnych możliwościach wyboru szkół.

- Widzi ksiądz – zaczęła niepewnie – do czytania umysłów innych ludzi mam tylko własny umysł, a czasem te urządzenia są kompletnie niekompatybilne. Mogę się domyślać – uśmiechnęła się ironicznie – że ksiądz naruszył jego godność...
- Naruszyłem jego godność...? – powtórzył Paweł pytająco.
- No tak, bo kiedy napisał obraźliwe słowo na kartce, to spodziewał się, że wszyscy się będą z księdza śmiali, tymczasem śmiali się z niego, a tego Pawełek nie wybacz.

Paweł automatycznie przesunął wzrokiem po wiszącej nad głową Janki tablicy. Nie było tam propozycji, które mogłyby zainteresować Piekielnego Pawełka.

Na plebani poinformował proboszcza, że źle się czuje. Jak zwykle w takiej sytuacji proboszcz zaoferował aspirynę i cebion ze swojej apteczki, żartując równocześnie, że kontakt z tłumem dzieciaków w szkole nikomu nie może wyjść na zdrowie.

Paweł podziękował i wycofując się do swojego pokoju pomyślał, że ten człowiek również wolałby mieć wikarego, z którym łączyłaby go przyjaźń. Zamknął drzwi i usiadł na łóżku. Uświadomił sobie widok na Wisłę z okna mieszkania Piotra, jego stół, pomyślał o zaadresowanej kopercie i liście, którego policja nie znalazła. Zdjął sutannę i odwiesił ją do szafy. Miał ochotę na długi, gorący prysznic. Świat wymagał ablucji, rytualnego oczyszczenia z brudu, który oblepiał duszę i ciało. Miał ochotę zmienić również pościel, żałował, że nie ma prawa jazdy i samochodu, bo najchętniej uciekłby w przebraniu i zatrzymał się daleko stąd, w hotelu, gdzie nikt go nie zna.

Kiedy wreszcie zasnął, śniło mu się, że jadą rowerami do Brudzenia. Piotr silniejszy, bardziej wysportowany, Paweł wyższy, z głową w chmurach. Jadą jeden za drugim, Piotr pierwszy, Paweł widzi jego pochylone plecy, wie, że Piotr był w więzieniu, że wrócił, że go

zabili. Walczą z wiatrem wiejącym z ukosa od Wisły, Paweł słyszy śpiew skowronka i próbuje go wypatrzeć na tle bezchmurnego nieba. Naciska na pedały i zastanawia się, czy jego imię ma związek z prawnikiem z Brudzenia. Ojciec uważał, że Paweł Włodkowic był olbrzymem, ale Włodkowic jest tylko martwym patronem ulic, o którym ich mieszkańcy nigdy nie słyszeli. Wanda była legendą z krwi i kości, Wanda wiecznie żywa i Piekielny Pawełek, który mógł mieszkać przy ulicy Włodkowica, ale teraz, kiedy wjechali pod osłonę lasu, stał przy drodze z koszykiem jagód. Kiedy się zrównali, Piekielny Pawełek patrząc na Pawła z nienawiścią, szybkim ruchem przejechał palcem po szyi w jednoznaczny geście, że zamierza poderżnąć mu gardło.

Wracał myślami do propozycji Marka. Jego ośrodek wydawał mu się sanktuarium pozwalającym na wyjście z czasu teraźniejszego. Czas teraźniejszy odrzucony. Posługujemy się tym czasem zapominając najczęściej, że zawsze może być gorzej. Paweł pamiętał, że może być gorzej, a jednak miał wrażenie, że dotarł do krainy doktora Palucha, do krainy, w której czas teraźniejszy odczuwany jest jak niekończąca się dolegliwość.

W Dobrzyniu nikt nic nie wiedział o pogrzebie Piotra, wyglądało również na to, że nie było nikogo, kto mógłby zabrać jego zwłoki z Zakładu Medycyny Sądowej. Jego rodzice nie żyli, nikt nie miał pojęcia dokąd wyjechali dwaj bracia. Również gmina poszukiwała rodziny, żeby móc opróżnić mieszkanie. Już ustawiła się kolejka chętnych i na mieście zaczęły się plotki na temat tego, kto komu zapłacił. Zdaniem matki, jeśli rodzina się nie zgłosi, mieszkanie oczyści firma. Paweł nie spotkał się jeszcze z takimi przypadkami. Na wsi związki rodzinne były nadal siecią silnie oplatającą każdego. Domyślał się, że już w małym Dobrzyniu zaczyna się przemiana świata w społeczeństwo bez więzi.

Powinieneś wyjechać – mówiła matka – powinieneś wyjechać i odpocząć. Trzeba

wyjechać i odetchnąć, bo tu nie można oddychać. Wiesz co ja ci powiem? Piotra nie zabili żadni wielcy gangsterzy, tylko gówniarze, którzy się nudzą i marzą, żeby być gangsterami. Chcieli zobaczyć śmierć, chcieli się przed sobą popisać, pokazać, że stać ich na mord, na brutalność, na wszystko. Dla nich zło jest powodem dumy, oni się go wcale nie wstydzą. Tego obcinania głów nauczyli się z telewizji i chcieli zobaczyć jak to jest. Ja ci powiem – mówiła głaszcząc Sabinę - ich cieszy każde zło, a ponieważ są bezkarni i mają pełno szmalu, to stają się bożyszcami tych dzieciaków, które w domu uczyli inaczej. Panienki wskakują do kradzionych samochodów szybciej niż do takich kupionych za swoje, i nie tylko dlatego, że za kierownicą kradzionego siedzi młodszy. Uciekają do lepszego świata, a dla nich lepszy świat to szmal i zabawa, bo co innego?

Paweł podszedł do okna, za którym rozciągała się idylla niekończącej się zieleni, przeciętej szerokim pasmem wody. Sabina zeskoczyła z kolan matki i wskoczyła na okno. Pomyślał, że są bliźni, po których bliźny nie chcą się zbliżniać. Nie umiemy się odnaleźć, nie umiemy współdziałać. Dlaczego ci, co chcą ukraść samochód dogadują się w minutę, a ci co chcą założyć trawnik, nie mogą dogadać się przez lata? Pochylił się nad Sabina gładząc jej futro, wyprężyła się pod jego dłonią, a potem przewróciła się do góry brzuchem i objęła łapkami jego rękę. O ileż łatwiej rozmawiać z kotami. Szmal i zabawa – powtórzył w myślach słowa matki – Zabawa nie jest złem, ale nikt ich nie nauczył innych zabaw i radości z innych zabaw. W ramie okna nadal tkwił gwóźdź, na którym kiedyś wisiała słonina dla sikorek. Dlaczego porzuciłem karmienie sikorek, na rzecz pustych słów? Wychodzimy na ołtarze, żeby nas lepiej było widać? Zacietrzewieni w wierze, tokując przestajemy słyszeć. Sabina polowała na jego kciuk. Pomyślał, że w naturze zabawa jest nieustannym ćwiczeniem najważniejszych sprawności, młode drapieżniki baraszkując ze sobą, uczą się mordować. Przez tysiąclecia młodzi chłopcy stawali się mężczyznami rozbijając głowy kolegów z sąsiedniej wsi i w nagrodę mogli pójść do namiotu z

najpiękniejszą dziewczyną. Za oknem chmara szpaków spadła na sad jak szarańcza.

Zauważył, że wchodząc do pokoju zamyka drzwi i przekręca klucz w zamku. Nie robił tego wcześniej i z pewnością nie czuł lęku. Czy była to mistyczna ceremonia zamykania się przed światem? Przejście z teatru do azylu, w którym mógł ponownie być sobą?

Azyl, miejsce, gdzie nasze myśli mogą chodzić nago i gdzie nie płoszą ich nagłe pytania. Gdzie był azyl ojca, gdzie wisiał kawałek brzozy kory? Paweł uświadomił sobie, że swoje książki trzyma na półkach w zamkniętej szafie. Czy chroni je przed ciekawskim wzrokiem gości? Tęskniąc do innych budujemy prywatne kaplice dla prywatnych myśli. Psy na łańcuchach zwijają się w budzie i zamykają oczy. Czy uciekają w wolność wyobraźni? Co pamięta zwierzę, bo przecież czasem pamięta nawet po latach? Jak pamięta? Przypomniawszy sobie jak kiedyś z Piotrem obserwowali śpiącego psa, byli pewni, że śni mu się pościg za zającem, wydawał z siebie ciche, niemal błagalne piski i gwałtownie przebiegał łapami. O czym śnią wiejskie psy na łańcuchach? O czym marzył ojciec wychodząc z poczty i siadając na rower? Paweł sięgnął po stojący pod łóżkiem kuferek, wyjął ojca zeszyt i otworzył go w przypadkowym miejscu.

Jeszcze Polska, jeszcze raz Polska. Co zrobimy z odzyskaną wolnością? Chwilowo przykościelni spierają się, czy nadal prosić Boga, żeby zwrócił ojczyznę wolną, czy żeby ją już teraz wolną zachował. Pan Bóg czeka na dalsze instrukcje. Zatroškani chcą, żebyśmy byli podobni do największej demokracji świata, czyli do Indii, Kaliszan nie widać, ci, którzy wczoraj handlowali dolarami pod kinem, budują podstawy ojczyzny wolnej. Zatroškani patrzą na nich z miłością i nadzieją. Ciekawa spółka z ograniczoną odpowiedzialnością intelektualną i moralną. Moja poczta z kraja. Listonosze założyli „Solidarność”, lud garnie się do władzy. Wcześniej kto mógł przechodził przez Wisłę i Wartę, żeby sobie pobyć Polakiem w bardziej luksusowych warunkach, teraz każdy szarpie świętości w swoją stronę, żeby nie zostać bez zysku. Wanda co

Niemca nie chciała kusi wielkim dekoltem, pewnie założy agencję towarzyską, a potem wprowadzi ją do Sejmu. Z całej narodowej schedy mamy żywą Wandę, relikwie męczenników, którzy pięknie wzywali do boju, ale których nikt nie nauczył matematyki oraz Staszica, Kościuszkę, Włódkowica ukrzyżowanych na rogach ulic ku dezorientacji szerokiej publiczności. Pewnie i nasz Kochański wróci na tapetę, pewnie jako jezuita, bo to łatwiejsze niż całki i różniczki.

Paweł mozolnie odczytywał słowa. Zamknął zeszyt i włożył go ponownie do kuferka. Zastanawiał się, dlaczego ojciec tak często powracał do Wandy, dlaczego ta legenda tak go irytowała? Czy podejrzewał, że tu ukrywa się klucz do naszej niemożności, w lękach i frustracjach? W marzeniach o mercedesie i strachu, że nam odbiorą cnotę? Czy Wanda nas dzieli, czy łączy? Przyjdą obcy i zabiorą nam duszę, ukradną nasze dzieci i będą je uczyć matematyki. Wanda nie chce, syrenim śpiewem wzywa do świętej wojny, uczy podejrzliwości do obcych, uczy podejrzliwości do swoich. Dżihad, kapłanka Peruna broni naszej chrześcijańskiej duszy.

Stał przy oknie obserwując chmury. Usłużny umysł podsuwał mu gotowe interpretacje kształtów. Bez trudu znalazł twarz starca patrzącego w stronę plebani.

Koniec szkoły. Proboszcz zgodził się na jego tygodniowy urlop i Paweł, w cywilnym ubraniu i ze sportową torbą na ramieniu, wsiadł do autobusu. Kiedy w Płocku zmienił autobus i przestał być dla wszystkich rozpoznawalny poczuł, że zmienił rzeczywistość. Z zainteresowaniem wyglądał przez okno, mając wrażenie, że świat jest tu czystszy i bardziej uporządkowany. Nie zabrał ze sobą zeszytu ojca, wrzucił do torby kilka książek, które zbyt długo czekały na swoją kolejkę. Patrząc z okna autobusu pomyślał, że nie ma ochoty na lektury, że chciałby położyć się na świeżo ściętej trawie i patrzeć w chmury. Zatrzymać myśli, zaczekać na ptaki. Pod wieczór zapewne na niebie widać będzie jaskółki. Szybki ruch skrzydeł i moment lotu

na szeroko rozpostartych skrzydłach. Co przerwie ciszę? Dalekie szczekanie psa? Pewnie dźwięk nazbyt głośno nastawionego radia, albo praca silnika. Jechali przez las, mignęła reklama zapraszająca na wojskową grochówkę pod namiotem. Kawałek dalej dwie dziewczyny w krótkich spódniczkach czekały na klientów. Jedna z nich z szerokim uśmiechem machała ręką, zapewne do kierowcy jadącego za autobusem samochodu. ‘Przydrożna miłość bliźniego po cenach umownych.’ Paweł próbował domyśleć się kim była ta dziewczyna i jak naprawdę wyglądało jej życie. Pomyślał, że ludzki umysł nie potrafi uciec od zagadek, od prób odgadywania prawdy o świecie widzianym z okna pędzącego autobusu.

Marek czekał ze swoją skodą na przystanku. Był w czarnych spodniach i w koszuli z koloratką. Przywitał go bez uśmiechu, powiedział tylko, że ma kryzys i że muszą się spieszyć. W samochodzie, na tylnym siedzeniu siedziała młoda dziewczyna ze spuchniętą od płaczu twarzą. Marek trzasnął drzwiami i włączył silnik. Kiedy tylko ruszyli dziewczyna zaczęła głośno płakać.

- Przecież nie chciałam...

Marek odwrócił się od kierownicy – Z naćpaną nie rozmawiam, powiedziałem ci już, będziemy rozmawiać jak się wyśpisz i jak będziesz wiedziała co mówisz... – Jechali wąską, asfaltową drogą przez las. Paweł zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien przerywać milczenia, to milczenie było częścią koszmarnej, może beznadziejnej walki. Pomyślał, że powinien zostać niemym statystą, chyba powinien.

Ośrodek był daleko za wsią, pod lasem. Marek kilka lat wcześniej kupił opuszczone gospodarstwo za swoje pieniądze, jak mówił, za psi grosz. Kupił zniszczone budynki, zachwaszczone pola, gospodarstwo bez maszyn, ze stertą zardzewiałych narzędzi i bez żadnej wiedzy o rolnictwie. Wiedział, że uprawianie ziemi jest trudniejsze niż się to wydaje redaktorom stołecznych gazet, ale ta wiedza nie przekładała się na umiejętności praktyczne. Jeszcze podczas

pierwszego spotkania Marek opowiadał o swoich bojach o uratowanie starego sadu za domem. Wynajął lokalnego ogrodnika, który jednak okazał się znacznie lepszym antysemitą niż ogrodnikiem i wyrzucił go po tygodniu, nie mogąc dłużej słuchać obłąkanych historii.

Droga od przystanku do ośrodka trwała nie dłużej niż kilka, może kilkanaście minut, ale milczący za kierownicą Marek i chlapiąca na tylnym siedzeniu dziewczyna tworzyli atmosferę wydłużającą każdą minutę w nieskończoność. Paweł odetchnął z ulgą, kiedy zjechali z drogi na podwórko gospodarstwa.

Marek zatrzymał samochód przez drzwiami dużego wiejskiego domu, wysiadł, podał z bagażnika Pawłowi jego torbę i powiedział, żeby się rozejrzał, że on niedługo wróci, ale najpierw musi się uporać z tym nieszczęściem, wskazał głową na dziewczynę.

Zastanawiał się, czy czekać na dworze, czy zacząć zwiedzanie domu? Zobaczył stadko kóz na ogrodzonej łące. Postawił torbę na ziemi i postanowił, że najpierw przedstawi się kozom. Za plecami nadal słyszał głos Marka – No i na co czekasz w tym samochodzie, na Wielkanoc, czy chcesz, żebym cię od razu odwiózł do rodziców? - Domyślał się reakcji dziewczyny po kolejnym wybuchu Marka – A co ty myślałaś, że będę cię po główce głaskał? Oczywiście, że jestem na ciebie wściekły. Wyłaż z samochodu, marsz pod prysznic i spać. Powiedziałem ci już, wszystkie rozmowy odkładamy do jutra...

Dotarł do siatki i skupił uwagę na dwóch kozłętach. Małe ssaki budzą w nas instynkty opiekuńcze. Dar nierówno rozdzielony, ale wystarczająco powszechny, żebyśmy w dobie nieszczęścia ratowali sieroty i żebyśmy umieli przygarnąć bezdomne zwierzę. Natura nie jest wyłącznie diabelską księgą. Paweł poczuł przy nodze obecność psa. Nie słyszał kiedy podbiegł i teraz spojrzał na niego podejrzliwie. Duży pies, przypominający trochę brązowego labradora, nie okazywał żadnej wrogości. Przeciwnie, coraz bardziej energiczny ruch ogonem wskazywał, że występuje w roli gospodarza witającego nowego gościa. Za plecami usłyszał kroki na wysypanej

żwirem ścieżce. Obejrzał się, zobaczył młodego blondyna z okrągłą, uśmiechniętą twarzą. Mężczyzna, a właściwie ciągle jeszcze chłopiec, wyciągnął rękę – No i jak się panu u nas podoba?

- Kozy dorodne, pies przyjazny, otoczenie sympatyczne – zameldował Paweł.

Mężczyzna roześmiał się – Wojtek jestem, stały mieszkaniec tego przybytku. Domyślam się kim pan jest, bo Marek mówił, że pan przyjedzie.

- Rzeczywiście jestem tym, o kim Marek mówił, chyba, że mówił o kimś innym – przedstawił się Paweł.

- Ksiądz Paweł, pan Paweł, czy tylko Paweł?

- Tylko Paweł.

- To dobrze, bo my tu obywamy się bez ceremonii. – Blondyn patrzył na niego z lekko przechyloną głową, a w jego oczach migotały iskry dobrotliwej kpiny.

- Na długo przyjechałeś?

- Na tydzień – odpowiedział Paweł.

- ... i od czego się odzwyczajasz?

- ... od siebie...

- Są takie używki, od których nie daje się odzwyczaić, ale Marek dużo potrafi. Chodź, pokażę ci nasze gospodarstwo. - Zatoczył dokoła ręką – Jak okiem sięgnąć wszystko nasze, czternaście hektarów ziemi, a umiejętności na pół morgi. Tam w tunelu, chorują nasze pomidory. Próbuje je z tego wyciągnąć, ale co doradca to inna diagnoza i propozycja innego środka. Tu, ogródek cystersów, czyli przyprawy wszelakie, z których udał się tylko koperek, chyba, że to coś to nie lebioda tylko tymianek, albo majeranek, albo inna zaraza. Tam – pokazał na pole za ogrodzeniem dla kóz - mamy ziemniaki, walczymy ze stonką i nawet nam się to chwilowo udaje. Część pól dzierżawimy i Marek absolutnie domaga się

bardziej racjonalnego wykorzystania naszych włości. Poszukujemy narkomana z rozległą wiedzą rolniczą, tymczasem pojawia się albo socjolog, albo inna panienka z dobrego domu.

- A ty kim jesteś? – zapytał Paweł.

Wojtek zatrzymał się na ścieżce udając głębokie zamyślenie. – Kim jestem – uśmiechnął się – obawiam się, że niezłym kabotyńcem, który z braku publiczności potrafi grać nawet przed samym sobą, nieudacznikiem, marnotrawnym synem, błaznem i utrapieniem Marka...

- A bardziej konkretnie....?

- Bardziej konkretnie to chciałem być aktorem i niestety przyjęli mnie na studia, żeby się sam mógł przekonać, że powinienem wybrać inny zawód. Następnie studiowałem zarządzanie i jestem licencjonowanym zarządcą. Następnie, a właściwie znacznie wcześniej, wszedłem na złą drogę, która była długa i kręta, a na jej końcu wyłoniła się sielanka wiejskiego domu i perspektywa dojenia kóz, które to zajęcie czasem mnie bawi, nawet jeśli nie ze względu na samą czynność, to ze względu na możliwość udzielania wymijającej odpowiedzi na pytanie czym się zajmuję...

Pies skorzystał z okazji, że zatrzymali się na ścieżce i ponownie zaczął domagać się pieczyt.

Paweł zapytał jak ma na imię.

- A – odpowiedział Wojtek – ja mówię na niego Fernandzio, ponieważ jest wcieleniem psiej łagodności. Pojawił się któregoś dnia i postanowił z nami zostać. Moim zdaniem zakochał się w którejś z kóz, ale mnie tu nikt nie traktuje poważnie. Marek z jakiegoś dziwnego powodu nazywa go Diego, a ponieważ jest księdzem-dyktatorem, więc ta jego zachcianka powoli zaczyna się przyjmować. Chodź pokażę ci jeszcze stajnię Augiasza i nasz prywatny las. Ja twierdzę, że powinniśmy zrezygnować z działalności rolniczej i zorganizować tu park Kubusia Puchatka. Jedyne problem, że nie zawsze nadajemy się na opiekunów maluczkich.

Za budynkami gospodarczymi Paweł zauważył dwie młode kobiety pielące grządki.

Wojtek podchwycił jego wzrok i natychmiast wyjaśnił: W polu widzenia mamy Pszczółkę Maję i Dopust Boży. Pszczółka Maja jest niezwykle pracowita i nikt nie wie jak zboczyła z drogi cnoty. Dopust Boży stracił cnotę dla towarzystwa i za nadgorliwe poszukiwanie towarzystwa zostanie kiedyś uduszony.

- Pszczółka Maja po lewej – upewnił się Paweł.
- Oczywiście, trudno się tu pomylić, bo u Pszczółki Maji obserwator zauważa szybkie i sprawne ruchy rąk, zaś Dopust Boży stara się ograniczać swoją aktywność do ruchów językiem. Dopust Boży nie jest wyjątkiem i potwierdza moją regułę, że należy unikać adeptów nauk hemoroidalnych...
- Czyli – zapytał Paweł z rozbawieniem zauważając, że Wojtek porzucił rolę przewodnika po gospodarstwie i zaczął go oprowadzać po świecie swoich idei.
- Chodzi tu o socjologię i psychologię, czyli szamanologię stosowaną. Wykłady uczonych socjologów i psychologów dostarczają umiejętności w dziedzinie głoszenia truizmów i wróżenia z fusów. Trzydzieści do czterdziestu procent mojej wiedzy licencjonowanego zarządcy stanowią umiejętności przekazane mi przez adeptów nauk hemoroidalnych. Oczywiście moje głębokie uprzedzenia do owych nauk mają znacznie poważniejsze podstawy; mój ojciec jest wziętym socjologiem i utrzymuje rodzinę na przyzwoitym poziomie wygłaszając banały z katedry i przed kamerami. Osobiście wolę kozy doić niż udawać odurzoną oparami Pytię. Wczoraj w dzienniku telewizyjnym było pięciu socjologów (trzech samców i dwie samice), tatusia poznałem po koszuli, bo niczym innym się nie wyróżniał. Mnie wcale nie dziwi, że dziennikarze tak kochają socjologów, to pokrewny gatunek, też im w dzieciństwie dawali więcej protein niż wiedzy, ale mają większą oglądalność przy jeszcze mniejszym współczynniku inteligencji. – Zatrzymali się przed budynkiem i Wojtek z teatralnym gestem otworzył wrota. - To jest nasza stajnia Augiasza,

czyli obiekt, który, jeśli zechcesz, możesz pomóc mi oczyścić, bo zdaniem księdza-dyktatora tylko oczyszczenie tej stajni jest zajęciem, które może zaspokoić moje ambicje. Już mi zapowiedział, że słynny pomysł z wodą mogę wykorzystać dopiero w końcowej fazie sprzątnia. Ciekaw jestem po co mu stajnia? Czy jest możliwe, że planuje zorganizowanie przytułku również dla innych ssaków?

- O wilku mowa... – odpowiedział Paweł, gdyż na podwórku pojawił się Marek. Z daleka rozłożył ręce, przepraszając tym gestem za zamieszanie. Zdążył przebrać się w dżinsy i koszulę z otwartym kołnierzykiem.
- Widzę, że cię już Wojtek upolował - powiedział - Uważaj bo to manipulator, ani się obejrzyś jak będziesz mu dawał jabłko, żeby ci pozwolił zrobić za siebie jego robotę.
- Ksiądz-dyktator raczy mnie szkalować – zachnął się Wojtek.
- Czy chcesz powiedzieć, że pokazujesz tę stajnię jako zabytek wiejskiej architektury?
- Nie, skąd, opowiadam o terapii przez pracę i o dobroci księdza-dyktatora, który powierzył mi zaszczyt oczyszczenia stajni Augiasza...
- Jeśli dobrze pamiętam to miało być zrobione tydzień temu...

Twarz Wojtka znieruchomiała. Ponownie spojrzał na Pawła z uśmiechem, i bez słowa wszedł do stajni. Marek odwrócił się do Pawła – Chodź, musisz się rozpakować – powiedział. Kiedy odeszli kilka kroków od stajni Marek obejrzał się ponownie – Wojtek tydzień temu dowiedział się, że ma wirusa HIV. Ukrył się za fasadą słów i nie chce o tym mówić. Może to i dobrze – dodał wchodząc do domu i przechodząc do roli przewodnika – Po lewej kuchnia, a po prawej salon. Z salonu moglibyśmy zrezygnować, bo nasze życie społeczne toczy się w kuchni. Część osób ma własne telewizory w pokojach, więc wspólnie ogląda się głównie mecze. Kuchnia – weszli do pomieszczenia, w którym pod oknem stał wielki stół z drewnianych bali z dwoma ławami – lodówka jest komunistyczna, kiedy coś zaczyna się kończyć wpisujemy rzecz na listę zakupów

na tablicy. Cukier, kawa, mąka i inne towary nie wymagające chłodzenia są w spiżarni, talerze i kubki w szafce, sztucce w szufladzie. Kiedy jesz sam, zmywasz po sobie natychmiast, wycierasz naczynia i odstawiasz do szafy. Jeśli idzie o wspólne posiłki, to mamy dyżury gotowania i zmywania, a gościom, jeśli nie deklarują specjalnych kucharskich talentów, zazwyczaj przypada rola kelnerów i pomywaczy. Mój gabinet i sypialnia jest na dole, na dole mamy również pokój gościny. Pozostali mieszkańcy mają swoje pokoje na górze. Wszystkie pokoje mają toalety i prysznice, więc jak ktoś po pracy chce się zamknąć przed światem to może...

Paweł zastanawiał się jak się żyje w takim kołchozie, czy kibucu, czy umiałby się odnaleźć w ciągłym tłoku, w stadzie, w warunkach w jakich ludzie żyli przez tysiąclecia, ale z wszystkimi wygodami nowoczesności i z możliwością odpoczynku od innych przynajmniej przez kilka godzin na dobę. Marek otworzył drzwi do pokoju, który przez tydzień miał być jego sypialnią – Rozpakuj się, potem zajrzyj do mnie, do gabinetu – powiedział.

Postawił torbę na ziemi i podszedł do okna. Wychodziło na staw, po którym pływały kaczki, dalej był młody sad. Zaczął oglądziny pokoju. Meble sprawiały wrażenie kupowanej na pchlim targu zbieraniny. Zapewne tak właśnie było, bo i skąd Marek miał brać pieniądze na wyposażenie ośrodka? Jeśli chciał być niezależny musiał darczyńców unikać jak ognia, a zgoda na zależność najwyraźniej nie leżała w jego naturze. Na stoliku zauważył plastikową kieszonkę z wielkim napisem: „Witaj na pokładzie, przeczytaj informacje po drugiej stronie.” Odwrócił kartkę i zaczął czytać: „Witaj. Twoja pościel jest w szafie. Wyjeżdżając zdejmij ją i odnieś do pralni (czyli do piwnicy) tam znajdziesz stosowny pojemnik na brudną pościel.

Nasze życie wygląda następująco: od poniedziałku do soboty siadamy do śniadania o godzinie siódmej. (W niedziele śpimy o godzinę dłużej.)

7.00 – 7.30 jemy, rozmawiamy lub milczymy.

7.30 – 7.45 meeting, czyli narada produkcyjna pod hasłem: co musi być zrobione, co może być

zrobione, kto do kogo i o co ma pretensje.

7.45 – 7.55 palacze wychodzą do altany na papierosa, niepalący mogą pomóc dyżurnym przy sprzątaniu kuchni.

7.55 wymarsz do pracy.

11.00 drugie śniadanie i natychmiastowy powrót do przerwanych zajęć.

15.00 obiad, przerwa do 16.00 i powrót do pracy w polu lub w obejściu.

17.00 teoretycznie koniec pracy (w okresie letnim nikt takiego zjawiska nie zauważył).

Kolacja dla spragnionych wspólnego towarzystwa zwyczajowo około 21.00, należy nasłuchiwać gongu.

Uwaga: gospodarstwo jest jak okręt, czyli dyrektor jest jak kapitan, a kapitan, jak wiadomo, może zmienić twoje plany w dowolnym momencie. Możesz się buntować, ale warto pamiętać, że buntowników albo wysadza się w najbliższym porcie, albo na bezludnej wyspie. (Nie licz na specjalne prawa gościa.)

Śpij dobrze, twoje siły, twoje umiejętności, a nawet twoja inteligencja może być potrzebna społeczeństwu.

Sporządzony przez niżej podpisanego regulamin został bez entuzjazmu zaakceptowany przez dyrektora ośrodka.”

Podpis był nieczytelny, ale Paweł był pewien, że poznał już autora tego dzieła. Spojrzał na zegarek, dochodziła dwunasta. Herkules czyścił stajnię Augiasza i oczekiwał pomocy. Rozpakował torbę, powiesił sutannę i drugie spodnie, koszule i bieliznę wrzucił do szuflady. Jedyny problem polegał na tym, że jeśli nie chciał wracać do czerni, to dzinsy musiały być jego ubiorem roboczym i wyjściowym. Wzruszył ramionami i pomyślał, że najwyżej kupi sobie jeszcze jedną parę.

Marka nie było w gabinecie, więc poszedł prosto do stajni, przed którą zaczęła rosnać sterta wynoszonych przez Wojtkę rzeczy. Budynek był stosunkowo niewielki, podzielony na trzy części. Zapewne w tradycyjnym chłopskim gospodarstwie był stajnią, oborą i chlewem. Koń, dwie krowy, jedna lub dwie świnie. Gdzie się podzieli dawni mieszkańcy tego gospodarstwa? Starzy umarli, młodzi zdołali się wyrwać do miasta i teraz w lęku przed posądzeniem o słomę w butach wyśmiewają kolejnych przybyszy ze wsi... Wojtek wyłonił się ze stajni, dźwigając wielki karton. Rozpromienił się na widok Pawła.

- Patrzysz na górę skarbów? Miałem w dzieciństwie taką zabawkę, siedem okrągłych klocków i plansza z trzema polami. Należało przenieść wieżę z pierwszego pola na trzecie, nie kładąc nigdy większego klocka na mniejszy. Dziecinnie proste. Nadal w to gram. Najpierw te rzeczy przenieśliśmy z domu i z piwnicy, a teraz trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, gdzie będzie trzecie i ostateczne pole spoczynku tych rupieci. Ułożymy to wszystko przed stajnią, a potem powołamy spec-komisję do zbadania zawartości kupy.

W celi śmierci czasami przez całe lata oczekuje się na wykonanie wyroku. Jednych ogarnia apatia, wpadają w depresję i trwają w odrętwieniu. Inni przeciwnie, chcą wykorzystać darowany czas i zrobić jak najwięcej, jeszcze inni starają się nadać swojemu życiu pozory normalności. Czy wyrok nas zmienia, czy tylko wzmacnia skłonności, które mieliśmy wcześniej? Paweł wziął do ręki kawałek starej upręży i powiesił ją na wbitym w ścianę gwoździu. Jego rozmówca natychmiast zauważył zmianę w jego zachowaniu.

- Co, Marek ci powiedział?

Paweł kiwnął głową. Szukał słów, nie bardzo wiedział, co można w takiej sytuacji powiedzieć. Wojtek otworzył karton i przyglądał się jego zawartości. – Wiesz co mnie najbardziej martwi – powiedział cicho – że nie wiem jak długo mam to świństwo i kogo mogłem w międzyczasie

zarazić. Ciągłe się zastanawiam, czy wszystko pamiętam, czy wszystkich zawiadomiłem. To się tak łatwo nie przenosi. Wspólna igła jest najbardziej niebezpieczna, seks, z tym jest różnie...jak człowiek wie, może być ostrożny. – Podniósł głowę, wrzucił do pudła starą oprawkę od żarówki, wrzucił ramionami i ponownie się uśmiechnął. – Jest jak jest, lepiej wiedzieć niż nie wiedzieć. Pomożesz mi powynosić to wszystko?

Hasło było wyraźne, temat zamknięty, nie ma sensu do niego wracać. W co on wierzy? Czy szuka pomocy w Bogu? Najwyraźniej nie czeka na zapewnienia o wiecznym życiu i szczęśliwych łowach. Dlaczego jedni tak bardzo potrzebują tych zapewnień, a dla innych są one tylko irytujące? Komu potrzebny jest Bóg? Czy naprawdę wszystkim? Ojciec go nie szukał, do końca unikał rozmów o religii. Wierzył, że istniejemy tylko tu i teraz, a sensem życia jest to czym je wypełnimy. Ciągłe igramy ze śmiercią, bo zwykle nawet nie wiemy o obecności śmiertelnego wirusa, czy o zbliżaniu się pijanego kierowcy, czy o zmęczeniu serca, które nagle odmawia dalszej pracy. Życiem i śmiercią rządzi przypadek, i jest tylko jedno pytanie: jak wykorzystałeś przypadki, w które los cię wplątał? Wojtek gospodarskim okiem oglądał sprzątane pomieszczenie, obstukiwał kawałkiem metalowej rury tynki, przyglądał się cegłom i łączącej je zaprawie.

- Mury zdrowe, pewnie niektóre krokwie na poddaszu trzeba będzie wymienić i może jeszcze stać trzysta lat. Ciekawe co tu będzie? Można tu zrobić ponownie pomieszczenie dla zwierząt, albo aneks dla gości. Zwalić ten azbest, dach pokryć strzechą, a na poddaszu Marek miałby piękną kaplicę. Wiesz, uwielbiam atmosferę małych wiejskich kościółków, które pamiętają śluby naszych prababek i chrzty dziadków. Komuniści zniszczyli większość małych, drewnianych kościółków i kazali ludziom budować ogromne betonowe świątynie.
- Komuniści? – Paweł postawił na podłodze starą beczkę, czekając na dalsze wyjaśnienie.

Wojtka najwyraźniej bawiła udana prowokacja, bo również postawił trzymany w rękach kawałek rynny i wykrzywił twarz w tajemniczym uśmiechu.

- No wiesz – powiedział – to wcale nie jest aż takie dzikie stwierdzenie jak się wydaje. Czytałem, że w czasie stanu wojennego władze bardzo chętnie dawały zezwolenia na budowę kościołów, żeby odciągnąć ludzi od innych aktywności. Pewnie, że do tanga trzeba pary – dodał, podnosząc ponownie rynnę – tak, czy inaczej, te kościółki, w których chrzczono naszych dziadków rozpadły się pod wpływem tajemnych żądz i ludzkiej chciwości i zostały zastąpione betonowymi stodołami, aż wreszcie wybuchła wolność i mogliśmy sobie wybudować Licheń.

Paweł wytoczył beczkę przed stajnię, do której ścieżką zbliżała się kobieta, którą Wojtek nazwał wcześniej Pszczółką Mają. Powiedział jej „dzień dobry”, a ona wyciągnęła do niego rękę przyglądając mu się z zainteresowaniem.

- Mam brudne ręce – powiedział zażenowany.
- - Ja też – roześmiała się trzymając nadal w powietrzu wyciągniętą rękę. Podał jej dłoń i poczuł silny, zdecydowany uścisk. Powiedziała, że ma na imię Katarzyna i spojrzała w kierunku wychodzącego ze stajni Wojtka – Ten pewnie już coś na mnie nagadał.
- Same superlatywy – odpowiedział Wojtek odstawiając na stertę rynnę i kawał blachy – powiedziałem księdzu, że jesteś wcieleniem pracowitości i że nie wiem jak straciłaś cnotę, czyli prawdę i tylko prawdę.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się do Pawła – Jest pan księdzem?

Paweł kiwnął głową. Zastanawiał się, czy natychmiastowa propozycja przejścia na ty nie zostanie źle odczytana i postanowił, że zaproponuje to zbiorowo, przy obiedzie. Kobieta nadal przyglądała mu się z zainteresowaniem, najwyraźniej oczekując, że powie coś więcej. – W cywilu tylko Paweł – burknął. Odwróciła się do Wojtka. - Sprzątacie stajnie – zapytała.

- Na żądanie księdza-dyktatora – odpowiedział - Mam dla ciebie propozycję posortowania tych śmieci, zanim Dopust Boży przyjdzie i zacznie studiować artefakty. Myślę, że wartość użytkową może mieć ta beczka, jeśli przypadkiem pojawi nam się tu jakiś zdeprawowany Diogenes; może uda się naprawić ten stół, nasz pokładowy artysta pewnie porwie starą lalkę, wstawi ją do wazonu i wzbogacimy się o kolejne dzieło sztuki, resztę można wystawić za bramę i mieć nadzieję, że śmieciarze w czwartek zabiorą.

Katarzyna podniosła z ziemi zardzewiałą podkowę i powiedziała, że ją prywatyzuje na przycisk do papierów. Paweł pomyślał, że gdyby znalazł tę podkowę w innym miejscu, podejrzewałby, że należała do kucyka. Przez stulecia tutejsi chłopcy używali motyk, bo na woły nie mieli pieniędzy, a kiedy wreszcie w chłopskim gospodarstwie pojawił się koń to z pewnością nie był to perszeron. Dziedzic z plebanem pilnowali starannie, żeby chłop przypadkiem nie miał jakiegoś zysku i obaj pokazywali na Żyda, pewnie nawet głęboko wierząc, że to nie oni kradną. Przypomniawszy sobie krzykliwy tytuł artykułu w ostatnim numerze popularnego tygodnika: „Gdzie się podziało mięso?” Autorka była szczerze przerażona tym, że obrzydliwi chłopcy się bogacą, bo paskudni Niemcy wykupują nasze mięso, płacąc w dodatku ceny, które by nam nawet do głowy nie przyszły. Kolejny mentalności, w które wpadają kolejne pokolenia wędrowców.

Patrzył na młodą kobietę przeglądającą zawartość pudła ze starymi kablami, wtyczkami i przedmiotami, których przeznaczenia nie umiał odgadnąć. Co znajdzie firma sprzątająca mieszkanie Piotra? Czy ukrywają się tam jeszcze jakieś tajemnice? Policja musiała zrobić bardzo dokładną rewizję. Czasem jednak nie domyślamy się nawet, że trzymamy w ręku przedmiot, który może być kluczem do tajemnicy. Rzeczywistość wymyka się naszej uwadze, zostajemy z cieniami na ścianie pieczary.

Ponownie wszedł do stajni, z której wszystko było już wyniesione i która wymagała teraz oczyszczenia z brudu. Przypomniawszy sobie, że wynieśli stąd również starą szufłę do węgla i stertę

grubych, plastikowych worków po nawozach. Kiedy wyszedł ponownie przed budynek zatrzymał go widok Katarzyny siedzącej w kucki przed pudłem starych zabawek. Wyglądała jak mała dziewczynka. Podrzuciła głowę i spojrzała na Pawła – Pamiętasz swoje ulubione zabawki ? – zapytała. Paweł położył rękę na trzonku stojącej pod ścianą szuflki. Przypomnił sobie blaszane pudełko po paście do butów, z którego przy pomocy nitki i dwóch guzików zrobili sobie z Piotrem rodzaj telefonu. Jego umysł odtworzył cichy i zniekształcony przez urządzenie głos chłopca: Słyszysz mnie? Odpowiedział, że pamięta i odwrócił się, szukając wzrokiem plastikowych worków. Pomyślał, że nie ma niczego dziwnego w naszej skłonności do mistyki. Tajemnicą jest sposób działania naszego umysłu. Chemia komórek i elektronika neuronów. Wyciągnął worek z zielonym napisem: Polifoska, co natychmiast wywołało reakcję Wojtka.

- Uważaj, żeby cię Dopust Boży nie zauważył z tym workiem, bo usłyszymy wykład socjologa o ekologii. W teoriach nauk ścisłych siła ładunku emocjonalnego jest odwrotnie proporcjonalna do zawartej w nich wiedzy. Domyślasz się jakie emocje potrafi wywołać worek, na którym socjolog widzi słowo nawóz...
- Wojtek – w głosie Katarzyny słychać było irytację.
- Co, myślisz, że przesadzam – zaperzył się Wojtek – Powiedziałem kiedyś Marioli, że to dzięki chemii w rolnictwie teoria Malthusa nie sprawdziła się, ale szamanka uznała takie poglądy za wysoce kontrowersyjne. Daj mi jeden dobry powód dlaczego mamy być tolerancyjni wobec półgłówków. Pamiętaj, że wychowałem się w domu, w którym przedstawicieli nauk ścisłych uważano za półinteligentów. Jak będziesz chciała pogadać poważnie, to możemy to zrobić wieczorem, bo teraz trzeba dokończyć sprzątanie tej cholernej stajni.

Katarzyna wstała. Trzymała w ręku blaszaną lokomotywę. Podeszła do okna i postawiła ją na parapecie. – Wiesz, że nie chodzi o to co mówisz – powiedziała – tylko jak to mówisz. Ziejesz

jadem, jakby ci biedni socjolodzy byli odpowiedzialni za wszystkie twoje nieszczęścia.

Paweł pomyślał, że między tą dwójką jest jakieś napięcie. Zastanawiał się, czy wiązało ich coś więcej niż tylko wspólne mieszkanie w ośrodku, a jeśli tak, to przyjaźń czy miłość, jak wygląda miłość na tonącym okręcie? Wziął szuflę i wszedł do pomieszczenia, w którym na podłodze leżała gruba warstwa brudu i błota. Zaczął ją zbierać z betonu, ostrożnie, żeby nie podnosić kurzu, przed oczyma miał obraz stojącego kilkanaście metrów dalej chłopca z blaszanym pudełkiem w ręku. W prawym uchu wielokrotnie powracał cichy szept: słyszysz mnie?

Z pobytu w ośrodku Paweł przede wszystkim pamiętał rozmowy z Markiem. Krótkie i zwykle przerywane nagłą obecnością innych. Na dzień przed wyjazdem Marek przekazał mu informację o przebudowie stajni na dalsze pomieszczenia mieszkalne i o tym, że znajdzie się tu również miejsce dla niego, gdyby chciał przyjechać na rok czy dwa i włączyć się do pracy.

- Nawet bez sutanny? – zapytał Paweł.

Marek wzruszył ramionami – Nie suknia zdoła człowieka – powiedział żartobliwie, chociaż pewnie zdawał sobie sprawę z tego, że to pytanie ukrywało obawy przed komplikacjami ze strony hierarchii, która łatwiej tolerowała księżowskie flirty z faszyzmem niż liberalizm.

Przy wyjeździe Marek ponownie zapewnił, że w ośrodku zawsze znajdzie się dla Pawła jakieś miejsce i dużo pracy. O samej pracy rozmawiali więcej. Marek mówił, że częściej w niej człowiek przegrywa niż wygrywa, a sukcesem jest to, że to wszystko trwa. Przez dwa lata było tylko jedno samobójstwo, dwa przypadki ucieczki do wcześniejszego życia, nikt nie zdołał stanąć zupełnie samodzielnie na nogach. Od czasu do czasu ktoś dostaje amoku, a potem wraca, żeby ponownie próbować odwyku. „Jeśli chciałeś zobaczyć wspólnotę, to to jest wspólnota, jeśli myślałeś, że wspólnota to dużo więcej, to byłeś w błędzie. Czasem człowiek marzy o urlopie, na

co dzień nie ma jednak wątpliwości gdzie jest jego dom.”

Inne sprawy były bardziej przyziemne, Paulina, dziewiętnastolatka, którą Paweł zobaczył po raz pierwszy na przystanku autobusowym w samochodzie Marka, była w ciąży. Dziecko, będzie zdrowe, albo nie, ale ma większe szanse na uszkodzenia niż inne, za to niewielkie szanse na prawdziwą rodzinę. Paulina – mówił Marek – ma umysł czternastolatki i mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek bardziej dojrzała. Rodzice pewnie jej z dzieckiem nie wezmą, więc albo odda to dziecko do adopcji, albo ośrodek będzie miał niemowlę, co wcale nie byłoby najgorszym rozwiązaniem.

Siedzieli na brzozowych pniach w ogrodzie, pies domagał się pieścizot, jaskółki goniły się po wieczornym niebie. Informację o ciąży Pauliny Marek umieścił między zastanawianiem się nad kosztami materiałów budowlanych i złością, że ktoś ukradł rolkę siatki. Patrząc później z okna plebani na schludny ogród proboszcza Paweł miał wrażenie, że wspólnota może być łatwiejsza od samotności.

Po powrocie Paweł zastał u matki list od wuja Michała. List był chłodny i Paweł zastanawiał się, czy było to wynikiem pośpiechu, czy też ten chłód zwiastował chęć ponownego zerwania kontaktu z rodziną w Polsce? Michał pisał:

Drogi Pawle,

Twój list przyszedł tuż przed naszym wyjazdem do Chin, więc odpisuję dość pospiesznie. Pytasz o Twoją żydowską prababkę Helenę Goldstein, matkę mojej matki, a twojej babki Krystyny. Jej rodzina pochodziła z Inowrocławia lub okolic. Bardzo mało o niej wiadomo. Jej mąż był kuśnierzem, względnie zamożnym, mieli kościelny ślub, więc Helena musiała być ochrzczona. Naszą uwagę zwrócił jej wygląd na fotografiach. Jej panieńskie nazwisko było tajemnicą i w końcu powiedziała nam o nim matka. Babka Helena przeżyła całą wojnę w Lipnie, podejrzewam,

że wielu ludzi znało jej tajemnicę, ale jej wszelkie dokumenty zostały zniszczone, prawdopodobnie celowo. Zmarła w 1952 roku. Niestety to wszystko co mogę ci na ten temat napisać.

Nasza matka, a twoja babka była z niemieckiej rodziny z Lipna. Jej rodzina była wyznania luterńskiego. Jej ojciec wystąpił ze stowarzyszenia Niemców w momencie, kiedy niemiecka armia wkroczyła do Polski. Mam nadzieję, że będzie jeszcze okazja, żeby ci o mojej matce więcej opowiedzieć, była naprawdę wspaniałym człowiekiem.

Pytasz o nas, moja żona i moja córka poświęciły się matematyce. Nasza córka Lan, od dwóch lat wykłada na uniwersytecie w Chinach. (Miała krótki okres fascynacji Polską, ale potem uznała, że ją to zupełnie nie interesuje.) My również często jeździmy do Chin i to nie tylko na spotkania z Lan, ale dlatego, że zaangażowaliśmy się we współpracę z jednym z chińskich uniwersytetów.

Tu, w Stanach spotykam czasem ludzi przyjeżdżających z Polski i zazwyczaj te spotkania leczą mnie z wszelkiej nostalgii. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że przeniesiemy się na stałe do Chin, chińska pierestrojka jest znacznie ciekawsza niż polska głośność. Chińczycy chcą się uczyć i się uczą, Polacy chcą tylko mieć i chcieliby uczyć innych. Różnica zasadnicza.

Wysyłam ci naszą rodzinną fotkę. (Jak widzisz, Lan odziedziczyła urodę po matce. W Chinach wróciła również do nazwiska panińskiego swojej matki.)

Wracamy we wrześniu, odezwę się po powrocie.

Uściski

Michał

Matka ponownie patrzyła podejrzliwie na list z Ameryki. Wuj Michał nie uważał za stosowne o nią zapytać, ani choćby grzecznościowo jej pozdrowić.

- I co u nich słyszać – zapytała, żeby przerwać milczenie.

Odpowiedział, że zamierzają przeprowadzić się do Chin. Wydęła pogardliwie wargi.

- Pewnie tam więcej płacą – powiedziała – oni w tej Ameryce myślą tylko o pieniądzach.

Paweł zastanawiał się później nad powodem swojej złości i nad swoją dziwną odpowiedzią.

- Nie – powiedział wstając z sofy – Kościuszko przekazał im wcześniej nasze chrześcijańskie wartości.

Spojrzała na niego zdziwiona zarówno tym co powiedział, jak i ładunkiem złości w jego głosie.

Wstał i pocałował ją w policzek, przepraszając za wybuch gniewu, którego nie mogła zrozumieć, a on sam nie miał ochoty wyjaśniać, że rozdrażniło go zignorowanie jej przez Michała, i to, że broniła się przed upokorzeniem głupim stereotypem o Amerykanach, przejętym od prymitywnych żurnalistów, ani dlaczego odpowiedział na ten stereotyp irytacją, jaką wzbudzały w nim opowieści, że mamy jakieś wartości do zaoferowania innym. Podniosła rękę, odgarnęła kosmyk włosów z czoła i uśmiechnęła się, dając mu do zrozumienia, że wie, że rozumie tę wielopiętrową konstrukcję nagromadzonego absurdu.

Patrzył przez okno na zachodzące słońce, na zmieniające się barwy nieba, na Wisłę, która w tym miejscu płynęła z wschodu na zachód, więc jej drugi brzeg był południowym brzegiem, co z jakiegoś powodu wywoływało w nim zdumienie i sprzeciw. Patrząc na południowy brzeg Wisły zastanawiał się nad pytaniem ojca, dlaczego nie staliśmy się integralną częścią Północnej Europy? Pomyślał, że nie ważne dlaczego, że ważne jest to, jak się wydostać z kolein mentalności, którymi toczą się wozy kolejnych pokoleń wędrowców.

Odwrócił się od okna i po raz kolejny zaczął przeglądać półkę z książkami ojca. Zatrzymał wzrok na złożonym tytule: „Przewrót umysłowy w Polsce”. Wyjął ją z półki i zaczął kartkować. Jego uwagę zwróciły liczne podkreślenia i uwagi na marginesach. Na jednej ze stron zobaczył trzykrotny wykrzyknik na marginesie przy słowach: : „Dla Staszica termin „Bóg”, „Najwyższe jestestwo”, „Opatrzność”, był takim wyrażeniem tajemnicy w naturze, jak X niewiadomej w matematyce.” Obok uwaga pisana ręką ojca: „ W Lipnie i w każdej innej polskiej

dziurze jest oczywiście ulica Staszica, zostają pomniki, nazwy ulic, duma z myślicieli, których myśli nikt nie czyta. Przewrót umysłowy w Polsce obejmował kilka tysięcy osób i nie miały one żadnego wpływu na dalszą edukację narodu. Pod strzechy trafiło słowo boże i komiksy.”

Odkładając książkę na półkę Paweł zauważył dziurę po gwoździu w ścianie. Domyślił się, że tu właśnie wisiał kawałek brzozy kory, że to był jedyny prywatny skrawek świata jaki ojciec mógł dla siebie wygospodarować.

Wracając czytał w autobusie gazetę. Wybitny intelektualista protestował przeciwko przeciążaniu polskiej młodzieży nauką matematyki. Przypomnił sobie zdanie z listu Michała: *„Miała krótki okres fascynacji Polską, ale potem uznała, że ją to zupełnie nie interesuje.”* Czy umiałby rozmawiać z Lan? Jak opowiadałaby o swoich doświadczeniach z Chin, o doświadczeniach Chinki, urodzonej i wychowanej w Ameryce, córki Polaka? Wyjął z torby fotografię i przyglądał się twarzy młodej, uśmiechniętej kobiety ze skośnymi oczyma. Jak wyglądałoby ich spotkanie? Czy miałaby na nie ochotę, czy też uznałaby, że spotkanie z polskim księdzem zupełnie jej nie interesuje? Rozejrzał się. Wokół niego siedzieli ludzie przeciążeni wiedzą matematyczną wyniesioną z polskich szkół. Przypomnił sobie słowa Wojtki, który mówił, że polhum, jak nazywał polski humanizm, czuje się najlepiej bez kontaktu z naukami ścisłymi. Dobra uczelnia – mówił siorbiąc zupę – powinna mieć tylko wydział teologiczny, socjologię i psychologię, a z nauk stosowanych zarządzanie i marketing...Mariola odłożyła wtedy łyżkę i wstała od stołu.

Autobus jechał wśród płaskich pól. Paweł zauważył pierwszy w tym roku kombajn zbierający zboże. Powrócił wzrokiem do gazety, która informowała o kolejnych aferach.

Od dawna nie miał erotycznych snów. Zasypiał myśląc o kuzynce Lan, która na uniwersytecie w Chinach wykłada matematykę. Widział jak Lan wchodzi do auli pełnej

studentów, nie słyszał dźwięku jej słów. Musiał siedzieć na sali, bo widział ją i tablicę zapisaną wzorami, których nie pojmował. Stała na środku sali w niebieskiej sukience w białe kwiaty. Patrzył na jej usta, próbując odczytać sens słów z ruchu warg, ale ruch jej warg był irytująco obcy. Widział, że mówi z pasją. Na twarzy siedzącej obok niego chińskiej studentki od czasu do czasu pojawiał się uśmiech, który był wyrazem nie tylko rozbawienia, ale i podziwu. Nikt nie zwracał na niego uwagi, również Lan nie patrzyła w jego kierunku. Uświadomił sobie, że jest nagi, i że ma wzwód. Nikt go nie dostrzegał, wszyscy skupieni byli na Lan i na cyfrach zapisanych na tablicy. Siedząca obok niego młoda kobieta spojrzała z odrazą na jego genitalia, a potem zaczęła je rysować w zeszycie. Obok nich pisała wzory kończące się nieodmiennie znakiem nieskończoności. Lan podeszła, przyglądała się przez chwilę rysunkowi i towarzyszącym mu notatkom. W jednym z wzorów przekreśliła ukośnikiem znak równości. Był teraz w centrum zainteresowania całej sali. Lan pochyliła się i wzięła do ręki jego jądra. Wyjaśniała coś studentom, co sala skwitowała śmiechem. Cofnęła rękę, odwróciła się i wróciła do tablicy. Obudził się w ciemnościach, nadal miał wzwód i uczucie mdłości.

Idąc pod wieczór przez wieś spotkał Piekarskiego, hodowcę wiśni, który rzadko zaglądał do kościoła. Paweł kojarzył jego twarz, ale z trudem przypomniał sobie jego nazwisko. Mężczyzna szedł po chodniku z białym wiadrem po farbie. Przechodząc postawił je nagle przed Pawłem.

- Niech ksiądz popatrzy – powiedział.

W pokrywie wiadra był wycięty otwór, było pełne dojrzałych owoców.

- Przed chwilą zabrałem to pijakom, którzy wychodzili z mojego sadu. – Pokazał ręką na wiadro - Poprzednim razem była cała rodzina z dwójką dzieci. Dzieci stały na czujce i rozglądały się czy nikt nie nadchodzi, a rodzice kradli. Myśli ksiądz, że oni to z głodu robią,

czy z pragnienia, bo ja myślę, że ich tylko suszy?

Stali na chodniku, nad tym wiadrem odebranych złodziejom. Paweł kiwał głową z niedowierzaniem. Zastanawiał się co ma powiedzieć, że nieuczciwość jest u nas bardziej powszechna, niż cokolwiek innego? Zdawał sobie sprawę z tego, że mężczyzna uważa, że Kościół jest jednym z winnych tego stanu rzeczy i zastanawiał się, czy ten wyrzut w jego oczach nie był głęboko uzasadniony.

- Zna pan ich nazwiska? – zapytał.
- Pewnie, że znam. Znam ich nazwiska, znam nazwiska ludzi, którzy od nich kupują kradziony towar, znam nazwisko człowieka, któremu ja sprzedaję wiśnie po osiemdziesiąt groszy za kilogram i muszę być szczęśliwy jeśli mi w ogóle zapłaci. Proszę księdza, ja nawet znam nazwisko mojego posła, wszystkich znam... tylko nie znam nikogo, kto by tu zrobił wreszcie porządek.

Podniósł wiadro i przechylony pod jego ciężarem odwrócił się i pchnął furtkę prowadzącą do domu, którego przednia ściana tonała w malwach.

Jaka religia takie państwo – pisał internauta – Obciążanie winą ras czy narodów wydaje się być równie absurdalne jak mówienie o różnicach intelektualnych między brunetami i blondynami. Tradycja religijna nie jest tym samym co kultura społeczeństwa, jest jednak jej głównym składnikiem i nośnikiem. Wpływ religii na rodzaj ładu społecznego wydaje się być silniejszy niż wpływ jakiegokolwiek innej zmiennej. Popatrzmy na statystyki, wśród najbardziej rozwiniętych krajów świata nie ma ani jednego kraju z tradycji islamu, z krajów prawosławnych widzimy tu tylko Grecję, z tradycji katolickiej jest tylko Europa Zachodnia, natomiast nie ma na świecie żadnego zacofanego państwa z tradycji protestanckiej. Na czym to polega? Zapewne najważniejsza jest oświata. Protestanci mają za sobą dziesięć do dwudziestu generacji kontaktu

tak zwanych warstw niższych ze słowem pisany. Struktura społeczna zaczęła być u nich bardziej demokratyczna prawie pięćset lat temu, przez stulecia mieli więcej samorządu, więcej wolnego handlu, więcej oświaty.

Najciekawsze pytanie jak do grupy krajów rozwiniętych zaczęły szybko dołączać kraje o tradycji buddyjskiej i konfucjańskiej? Jak zdołały one przełamać hamujące elementy własnej tradycji i lepiej wykorzystywać to wszystko, co było w niej pozytywne? Dlaczego nie potrafi tego islam, ani południowo-amerykański katolicyzm? Dlaczego nie potrafimy my? A wreszcie, czy otwarcie się demokratycznych państw na świat może spowodować regres, zniszczenie wartości, które stały się fundamentem demokracji i zamożności? W Ameryce w roli obrońców tych wartości pojawiają się nagle neonaziści, rasiści i półanalfabeci, czyli ludzie będącym zaprzeczeniem wszystkiego, czym ta demokracja jest.

Paweł przegląda strony internetu w bibliotece. Od tygodnia dwa komputery są dostępne dla wszystkich i mała wieś z Ziemi Dobrzyńskiej stała się z dnia na dzień częścią globalnej wioski. Jak bardzo internet zmieni świat? Chwilowo młodzież ze wsi traktuje komputer jak maszynę do gry. Jak różnie można wykorzystywać cuda techniki? Do nauki i do zabijania wszelkiej myśli, do pracy i do oszustwa... spojrzał na otwartą stronę internetu i zaczął zastanawiać czego sam w nim szuka.

Idąc do biblioteki widział jak dziesięcioletni chłopiec uderzył w twarz młodszego o jakieś dwa lata malca.

- No co, kurwa, nawet nie umiesz zobaczyć kto dzwonił. Dawaj to, kurwa, bo mnie denerwujesz.

Chłopiec zobaczył księdza w sutannie i zeszytywniał. Pochylił się w nabożnym ukłonie – niech będzie pochwalony...

Paweł przypomniał sobie tę scenę i ponownie spojrzał na ekran komputera. „Jaka religia, takie państwo”. Jaka jest ta nasza religia? Dlaczego nie potrafimy przerwać błędnego koła cwaniactwa, nieufności, nieuczciwości? Czy to są te wartości, które proponujemy światu? Coraz częściej słyhać obawy, że to są wartości, które imigranci z Ameryki Łacińskiej przywożą ze sobą do Stanów. Ameryka proponuje im protestancką etykę pracy i poszanowanie prawa, ale tradycja niezliczonych pokoleń kultury pogardy i dyskryminacji nie skłania do zainteresowania taką propozycją. Dlaczego protestancka etyka pracy budzi większe zainteresowanie Azjatów? Dlaczego wietnamska dzielnica w Los Angeles jest zamożniejsza od dzielnicy meksykańskiej? Są pytania, na które nie ma odpowiedzi, budzą jednak niepokój.

Paweł patrzy w ekran komputera, za plecami słyszy chichoty dziewcząt przeglądających książki na półkach. Rozpoznaje ich głosy, to te, które są zawsze najaktywniejsze i które najszybciej stąd uciekną. Jeszcze nie marzą o mężach z innych krajów, już wiedzą, że tu nie chcą zostać za żadne skarby świata. Uciec od swoich, wyrwać się, trzy czwarte świata chce uciec od swoich, mieszkać i pracować w krajach urządzonych przez innych. Palestyńczycy chcą pracować w Izraelu, albo w Ameryce. To nie przeszkadza im w nienawiści, przeciwnie, zabierają ze sobą słowa kapłanów, pilnują, żeby ich dzieci nie wymknęły się z cienia nienawiści. W globalnej wiosce sąsiadami są wszyscy. Łatwiej również podpalić stodołę sąsiada.

Zamknął czytaną stronę i otworzył kilka artykułów z gazety. Pomyślał, że publiczny dostęp do internetu otwiera nowe możliwości podglądania sąsiadów. Kto gdzie zagląda, kto czego szuka w sieci? Ślady naszych duchowych rozterek zostają utrwalone na dysku i mogą być analizowane przez innych.

- Dzień dobry, przyjedzie ksiądz na biwak? – usłyszał za plecami głos Wiki. Odwrócił się. Trzy uśmiechnięte dziewczyny stały za jego krzesłem z książkami w rękach. Spojrzał na nie pytająco, więc powiedziały mu o trzydniowym biwaku na polanie nad jeziorem. Obiecał, że przyjedzie i

zapytał, czy korzystały już z komputerów z biblioteki – Tylko raz – powiedziała Wika – ciągle są oblegane przez chłopaków. Dwa komputery na całą bibliotekę to za mało.

- Kiedy jedziecie na ten biwak? – zapytał, tłumiąc odruch złości na nadmiar żądań.
- W piątek i zostajemy na sobotę i niedzielę. Mam nadzieję, że będzie pogoda – odpowiedziała Wika sprawdzając ekran swojego telefonu – Ma ksiądz komórkę, to bym księdzu wysłała SMSa jak już będziemy nad jeziorem.
- Nie mam komórki, a jak bym miał, to też nie umiałbym przyjmować SMS-ów. To zdaje się ogromnie skomplikowane.
- E tam, skomplikowane – prychnęła stojąca obok córka pielęgniarki. – Najwięksi debile już się nauczyli i teraz nam wysyłają różne głupoty.
- To nie dawajcie im waszych numerów telefonów...
- Zawsze się jakoś dowiedzą, albo od jakiejś dobrej koleżanki, albo inaczej. Ksiądz wie jak to jest, nic się nie uda zachować w tajemnicy.

Nowy świat komórkowych telefonów wydał mu się obcy i intrygujący. Kiedyś we Włoszech widział plakat z fotografią półnagiego afrykańskiego rolnika orzącego poletko bawołem, na którego rogach wisiało tranzystorowe radio. Nie zrozumiał podpisu pod tym plakatem, ale zapamiętał jego krzyczącą symbolikę.

Tranzystorowe radia nie jeden raz wyzwały w nim chęć mordy bliźniego. Nieodmiennie wydobywała się z nich hałaśliwa muzyka lub informacje o najnowszych horoskopach, albo o kosmitach, albo o aferach. Radio miało zmienić świat, dać każdemu dostęp do wiedzy, do informacji, do kultury. Ułatwiało kontakt z szamanem, dostarczało nowego opium dla ludu.

Dziewczyny odwróciły się i poszły wypożyczyć wybrane książki. Paweł zwrócił uwagę, że stojący obok chłopiec obserwuje go, czekając aż zwolni miejsce przy komputerze. Uśmiechnął się do niego i wskazał głową na krzesło. Chłopiec wskoczył przed ekran i złapał mysz. Nowy,

wspaniały świat był zapewne grą na osiemnaście trupów.

Wychodząc z biblioteki zobaczył na drzwiach afisz informujący o *castingu*. Kilka razy słyszał już o tym, że po wsiach i miasteczkach krążą oszuści żerujący na dziewczęcych marzeniach o karierach modelek i aktorek. Przyjeżdżają i wynajmują salę, dziewczęta przechodzą się w kostiumach przed „reżyserem”, mówią kilka zdań do kamery, robi im się po kilka zdjęć, pobiera opłaty i dziękuje za zainteresowanie. Jedna z matek prosiła, żeby ostrzegł ludzi przed tymi *castingami* z ambony, mówiła, że czasem nie kończy się na stracie dwustu złotych, że te firmy powiązane są z handlarzami żywym towarem, że były już przypadki udziału w takich *castingach*, które kończyły się zniknięciem z domu. Nowy, wspaniały świat kusił blichтром, możliwością dostania się na okładkę tygodnika, chwilą sławy, szansą ucieczki od matematyki.

Doktor Paluch w białym fartuchu, jak zawsze z papierosem w ręku, kupuje w kiosku gazety. Doktor Paluch jest namiętym czytelnikiem gazet. Prawdę mówiąc, jest jedynym czytelnikiem gazet we wsi, bo inni nie czytają ich wcale, albo kupują jedną na tydzień, w piątek, żeby mieć program telewizji. Doktor Paluch wydaje na gazety majątek. Czyta je i zostawia w poczekalni, skąd ludzie zabierają je na podpałkę.

- Czytuje książkę polskiego Newsweeka? – Doktor Paluch pokazuje kolorową okładkę tygodnika z fotografią płatnego mordercy. – Ciekawe pismo, dobrze wiedzą co ludzi podnieca.

Paweł uświadamia sobie, że stary lekarz w białym fartuchu i książka w sutannie, muszą tworzyć zabawny czarno-biały obraz pod zielonym, wiejskim kioskiem z gazetami. Zastanawia się nad uprzejmą odpowiedzią, która pozwoliłaby na zakończenie tego spotkania. Nie, nigdy nie czytał polskiego Newsweeka. Intryguje go obcość świata, którego jest częścią. Patrzy pod nogi. Pod kioskiem ktoś zgubił dwadzieścia groszy. Moneta leży na ziemi koło jego buta. Jeśli ukucnie,

sutanna znajdzie się na ziemi. Paweł pochyla się w głębokim skłonie, lekko tylko zginając kolana. Teraz moneta błyszczy na jego dłoni.

- „Gdyby jeden grosz poruszał się z szybkością światła mógłby obsłużyć naszą całą gospodarkę.” – Paweł powtarza głośno przeczytane gdzieś zdanie. – Nie sądzi pan, panie doktorze, że nasz pieniądz nigdy nie nabrał szybkości, bo za bardzo jesteśmy przywiązani do pańszczyzny?

Doktor Paluch ma kłopot, najwyraźniej nie chce przy księdzu rzucić niedopałka na ziemię, a w pobliżu nie ma żadnego kosza na śmieci. Białe i czarne. Lekarz z Newsweekiem w ręku i ksiądz w monetą w dłoni. Czy schować monetę do kieszeni, czy oddać ją dziewczynie w kiosku? Paweł zamyka dłoń i patrzy na zegarek.

- Przepraszam, panie doktorze, ale spieszę się na zebranie. – Chowa dwadzieścia groszy do kieszeni. Zastanawia się dlaczego je podniósł. Na pewno znalazłoby je jakieś dziecko, miałyby na lodą, albo na gumę do żucia, albo na bułkę, chociaż miał wrażenie, że w tej wsi dzieci nie chodzą głodne.

Czerwone, wilgotne wargi sromowe i mały wzgórek łechtaczki. Paweł z ciekawością dotyka go opuszką palca. Jest śliski, ma wrażenie, że pod dotykiem jego palca staje się bardziej nabrzmiąły. Delikatnie masuje go i czuje jakieś dreszcze w mózgu. Wanda pręży brzuch, jej wzgórze łonowe unosi się i opada. Słyszy jej przyspieszony oddech. Jego mózg odbiera tylko sensację dotyku, jest pragnieniem penetracji. Leżą na brzegu Wisły. Jest upał. Fala muska jego rękę. Słyszą trzask łamanej gałązki. Wanda zrywa się i znika w wodzie, Paweł przykrywa się ręcznikiem. Odwraca się. Po ścieżce schodzi Piotr. Jest młody, opalony, wysportowany. Zrzuca ubranie i nagi skacze do wody. Nie ma Piotra i nie ma Wandy. Jest gładka tafla wody i wielki

ekran nieba. Na ekranie czerwone, wilgotne wargi sromowe i mały wzgórek łechtaczki. Paweł budzi się z uczuciem bólu w jądrach i zawodu, słyszy w ciemnościach bicie własnego serca. Opuszek palca pamięta dotyk gładkiej, śliskiej skóry. Próbuje sobie przypomnieć twarz Wandy. Widzi szczelinę między sromowymi wargami i wypływająca z wnętrza kroplę przezroczystego płynu. Wstaje, po omacku podchodzi do okna. Chmury na wschodzie są jaśniejsze, za chwilę Ziemia Dobrzyńska wtoczy się pod słońce i światło będzie zwiastować Dzień Pański.

Miasta zakładano w Polsce na prawie magdeburskim, czyli na chełmińskim, gdyby nie zdecydowana akcja Konrada, mówilibyśmy pewnie, że na dobrzyńskim. Urbanizacja szła nam opornie, bo na miejską autonomię zezwalaliśmy co najwyżej obcym. Dla swoich mieliśmy knut. Chełmno, drugie obok Dobrzynia miasto urządzone przez Krzyżaków. Tu zobaczyliśmy pierwszy wzór miejskiego samorządu. Patrzyliśmy na to niechętnie, bo samorząd zagrażał naszym wartościom. Skupienie rzemieślników na podgrodziu miało swoje zalety, ale dawanie im praw mijало się z celem, z jednej strony mogło prowadzić do nieposłuszeństwa, z drugiej do wzmocnienia władzy króla, który mógł bezkarnie nakładać na miasta podatki.

Wanda nie chciała Niemca. Przeniesiona na obcy grunt byłaby ubogą i zahukaną krewną. Kusił ją blichtr zachodniej techniki, piękno zachodnich tkanin oraz radość wschodniego samodzierżawia. Bez tych wartości życie traciło cały sens. Dziś, budując przydrożne kapliczki niewidzialnej ręki rynku nie chcemy pamiętać, że jej jedyną świątynią były prawa, wśród których prawa magdeburskie, nazywane u nas chełmińskimi, były szczególnie ważne, one bowiem prowadziły z czasem do tego, aby uczciwy handel był wartością ważniejszą niż oszustwo, naga siła, czy przywileje z racji urodzenia. Przydrożne kapliczki niewidzialnej ręki to wzbogacanie naszego pogaństwa o jeszcze jedno cudzoziemskie bóstwo.

Notatki ojca wydają się nie mieć żadnego ładu, nie mają również dat. Paweł wie, że

kiedys przepisze je na komputerze. Moze w ośrodku u Marka, a moze bedzie mial własny komputer. Wiele parafii ma komputery, niektóre mają nawet własne strony w internecie. Zastanawiał się, czy umiałby prowadzić parafialną gazetę. Problemy parafii, opowieści o ciekawych ludziach, dyskusje rady parafialnej, rozliczenia finansowe. Czy dałoby się namówić ludzi do pisania o problemach wspólnoty, nie na kolanach, nie tylko o duchowości, ale właśnie o codziennym życiu, o problemach ludzi. Internet pozwala na prowadzenie gazety bez pieniędzy na papier i na druk. Proboszcz chciałby pewnie publikować co tydzień swoje kazania, katechetki pchałyby się z artykułami, a każdy prawdziwy problem wywoływałby pełne oburzenia dyskusje. Paweł widzi swoje skrzywione obrzydzeniem odbicie w szybie. Nie ma sensu próbować.

Opite słońcem olbrzymie morele spadają z drzewa, słoneczniki wyglądają zza żywopłotu zerkając na pola sąsiadów, trawa rośnie aż świerszcze zacierają łapki. Paweł siedzi pod jabłonią i przygląda się rudej wiewiórce. Ile pokoleń wiewiórek przewinęło się przez Dobrzyń od czasów Konrada? Kawki z kościelnej wieży nie prowadziły księgowości, w parafialnych księgach są tylko zapisy ślubów, urodzin i zgonów, więc jest to jakiś ślad historii, ale bardzo słaby. Cmentarz sięga pamięcią w nieodległą przeszłość. Najwięcej ukrywa ziemia, ale marna historia nie kusi badaczy, więc ukryte skarby służą za gniazda nornicom. Czego szuka wiewiórka w ogrodzie? Czy lubi morele? Nie znajdzie tu jeszcze zapasów na zimę, leszczyna rosnąca w kącie ogrodu będzie miała dobre orzechy dopiero jesienią. Moze przyszła tylko z sąsiedzką wizytą do pana Bogdana, który jak rok okrągły ma dla niej prezenty? Pan Bogdan był nauczycielem, uczył rysunku i historii, w obydwu przypadkach uczył perspektywy. Wydobywał z cienia malutkie postaci z przeszłości i rzucał na nie światło. Ożywały na moment, unosiły głowy, zaczynały się spierać, rzucać gniewne słowa, zabiegały o zwykłe przetrwanie do jutra, marzyły o miłości, o cieple drugiego człowieka. Czasami kradły pod osłoną nocy, czasami (rzadziej) rozbijały czaszki

sąsiadów dla kilku talarów, złotych albo rubli. Bywało, że stójkowy był wtedy gdzie indziej i żądał tylko działki za to, że nie widział.

Pan Bogdan kazał uczniom rysować czaszki znalezione na skarpie, gdzie był kiedyś cmentarz, zgadywać twarze dawno zmarłych ludzi, zaglądać w okna przycupniętych domów i dostrzegać w nich dłoń, która gładzi kota.

Pan Bogdan czasem spotykał się z ojcem, jeździli razem do Bachorzewa, szukać mogił zmarłych na cholere. Morowa zaraza przeszła tu stosunkowo niedawno, ale w świecie bez pamięci sto siedemdziesiąt lat to niemal czasy Herodota. Siedzą z Pawłem pod jabłonią i piją herbatę. Dawni uczniowie przestali przychodzić, żona zmarła cztery lata temu, w ogrodzie pełno pokrzyw i komosy.

- Pański ojciec – mówi pan Bogdan – przychodził w niedziele. Czasem szliśmy na spacer pod Górę Zamkową, albo do parku, czasem chciał się podzielić przeczytanym zdaniem, albo przedmiotem, który zatrzymał jego uwagę. Znałem go, kiedy pana nie było na świecie. Niewiele więcej daje się wydobyć, nic tylko wspomnienie długiej przyjaźni i wspólnych spacerów.

Kościół kocha ubogich, nie zaniedbuje niczego, by powiększyć ich szeregi. Pilnie dba by przypadkiem nie wyszli z ubóstwa.

To prawda – pisze Paweł w odpowiedzi na słowa internauty – kościoły dbają o zachowanie status quo, często jesteśmy świadkami chciwości kapłanów, nieprzyzwoitych związków tronu i ołtarza, nie jest to wszystko jednak takie proste, i wypisane przez pana stwierdzenie (nie nowe przecież) nie jest tak do końca prawdziwe. Religie

starzeją się jak cywilizacje, których są często kamieniem węgielnym. Czy chrześcijaństwo jest fundamentem cywilizacji europejskiej? Niezupełnie, tym fundamentem była cywilizacja grecka i rzymska, chrześcijaństwo pomagało scalić Europę wspartą na tamtym fundamencie. Czasem, jak wiadomo, czyniło to mieczem, ale chyba ważniejsze było roznoszenie kultury rolniczej, sztuki budowlanej, nauki pisanie. Pomoc ubogim nie zawsze była instrumentalna; czasem może się tak zdawać, kiedy patrzymy na nieskuteczność jałmużny w świecie hinduskim, w islamie, czy w naszym katolickim świecie. Protestanci wydobywali z biedy rezygnując z nadmiernej opiekuńczości i zmuszając do odpowiedzialności za własny los. Proszę się przyjrzeć historii kwaków, którzy pokazali, że można bogacić się na uczciwości, dawać nie tracąc i dawać nie tylko dla pustego gestu. Twierdzi się, że fundamentem kapitalizmu była protestancka etyka pracy. Dziś szuka się wspólnych cech etyki protestanckiej i etyki buddyjskiej, w obydwu satysfakcja z dobrej i uczciwej pracy jest ważniejsza od samego zysku.

W naszej kulturze katolickiej nazbyt często spoczywamy na modlitwach, udzielamy pomocy ubogim, często nie starając się nawet, aby była pomostem do samopomocy. W historii spółdzielczości znaczna część działaczy tego ruchu to byli księża. Również dziś znajdzie Pan księży pokazujących, że można bogacić się razem, a nie jeden kosztem drugiego. Powie Pan, że są

rzadkością. Jestem wiejskim księdzem i z takim stwierdzeniem pewnie bym się zgodził. Jednak stwierdzenie, że Kościół świadomie i z premedytacją zwiększa szeregi ubogich nie jest prawdziwe i z całą pewnością niczemu nie służy.

Paweł pisze na plebanii, na komputerze, który przywiózł Wojtek. Zaledwie kilka godzin wcześniej zadzwonił, a później przyjechał skodą Marka. Przywiózł komputer, który dostał od ojca i nie chciał nawet słuchać o żadnej zapłacie, ani tym bardziej o odmowie przyjęcia.

- Co ty, stary wymienił komputer na taki z DVD, nagrywarką i pamięcią mogącą pomieścić wszystkie myśli socjologa. Ten oddał mnie, a ja nie czuję się godny, aby trzymać w pokoju przedmiot muzealny, który służył nauce. Przekazuję go w dobre ręce. Tylko uważaj, bo jego wewnątrz paruje dobrą energią nauk hemoroidalnych. Zamykaj go na noc, bo może ci zatruwać umysł przez sen.

Na wszystkie zastrzeżenia Wojtek wzruszał ramionami. Mówił, że ma dobry komputer w ośrodku i że nie znosi prezentów od ojca. W pokoju postawił sprzęt na ziemi i zaczął się rozglądać. Bez pytania odstawił krzyż i poplamiony stearyną świecznik na parapecie okna, a stół przesunął pod ścianę, gdzie było gniazdko i gdzie wisiał na ścianie telefon.

- Będziesz chciał to zmienić, to kupisz sobie specjalny stolik pod komputer.

Paweł wziął do ręki świecznik, próbując po raz któryś odnaleźć w zastygłych kroplach stearyny twarz mnicha. Wiedział gdzie jej szukać, ale widać była to kwestia oświetlenia, bo nie mógł dostrzec w wypukłościach żadnego podobieństwa. Odstawił świecznik i patrzył jak Wojtek montuje kable.

- Podłączę cię normalnie do internetu, a potem, jak będziesz wiedział jak dużo z niego korzystasz to wykupisz sobie pakiet.

Nie bardzo rozumiał o czym Wojtek mówi, ale postanowił nie pytać. Był zażenowany,

zastanawiał się co powiedzieć. Podał swoje nazwisko oraz numer telefonu i patrzył jak Wojtek wbija dane właściciela konta do komputera. Chciał zapytać jak to jest, że Wojtek może prowadzić samochód. Czy był wolny od narkotyków? Siedzący przy komputerze młody mężczyzna był szczupły, może nawet wychudzony, ale trudno było jeszcze podejrzewać u niego śmiertelną chorobę. Czy chciał o niej rozmawiać?

- Działą – powiedział Wojtek – otwierasz internet na stronie onetu, chyba, że chcesz inną. Chcesz sprawdzić jakieś hasło w wyszukiwarce? – Paweł nie był pewien, nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. – Mężczyźni – mówił Wojtek - najczęściej zaczynają swoje podróże po internecie od wbicia słowa „panienki”. Ja zaczynałem od słowa żółć, bo ma same polskie litery, a dawniej wyszukiwarki nie akceptowały polskich liter... Założyć ci pocztę? Wymyśl sobie jakąś nazwę.
- Paw1310 – powiedział Paweł nie bardzo się zastanawiając i odpowiedział na pytające spojrzenie Wojtka: Paw od Pawła, a cyfry to rok urodzin Kazimierza Wielkiego, hasłem niech będzie „papuga”, będę pawiem i papugą.

Wojtek szybko przechodzi od jednego okna dialogowego do drugiego. Jeszcze kilka uderzeń w klawiaturę i gotów jest do ustąpienia miejsca przed ekranem.

Paweł był zadowolony z nowej zabawki, nie był jednak pewien, czy chce się nią bawić przy gościu. Poczęstował herbata, zapytał dlaczego Wojtek postanowił umieścić ten komputer właśnie u niego. Wojtek odłożył klawiaturę, którą nie wiadomo dlaczego trzymał na kolanach.

– Powiedziałeś kiedyś coś, co mnie zaintrygowało, że komputery mogą zmienić polską wieś. Na pewno ten komputer bardziej się przyda tobie, niż mnie. Żyjesz bliżej ludzi, może nauczysz ich czegoś konkretnego? Wiesz – dodał po chwili milczenia - Kiedyś pomyślałem sobie, że jeśli na wsi, w której mieszkamy jest tylu ludzi bezrobotnych, to może znajdę w internecie jakieś fajne oferty prac chałupniczych. Zacząłem to oglądać. Połowa tych ofert

śmierdzi małym oszustwem, a druga połowa wielkim kryminałem. Mam wrażenie, że tabuny oszustów żyją z naciągania najbiedniejszych i najbardziej zrozpaczonych. Chciałem tym zainteresować gazety, ale tam nikogo oszukiwanie małego człowieka nie obchodzi, potrzebują wielkich skandali, drani, najchętniej z wrogich partii politycznych. Masz jednak rację, że internet będzie z czasem zmieniał rynek pracy. Tobie ten komputer przyda się bardziej.

Kiedy Wojtek odjechał, Paweł usiadł przed ekranem. Otworzył internet i w wyszukiwarce wpisał słowa „panienki”. Po chwili na ekranie pojawiła się lista tytułów stron. Niezliczone propozycje uciech. „Filmiki, fotki, darmo”, „nastolatki”, „ostre porno”, „zdjęcia erotyczne”, „kurwy dziwki blondynki”, tysiące witryn poświęconych genitaliom. Otworzył jedną z nich. Na ekranie pojawiło się ostrzeżenie i zakaz otwierania dla osób poniżej osiemnastu lat. Oczywiście hipokryzja, oczywiste instrumentalne traktowanie prawa. Kiedy wszedł dalej pojawiły się zdjęcia wulgarnych twarzy, wystawionych kroczy i biustów. Poczul suchość w ustach i obrzydzenie, złość, że go to jakoś podnieca i zdumienie z powodu brzydoty. Pomyślał, że malarz potrafi oddać więcej erotyzmu w jednym geście, czy spojrzeniu, niż można znaleźć w setkach pornograficznych zdjęć. Widział wcześniej dziesiątki wspaniałych aktów, w których nie było zmysłowości i setki obrazów pokazujących zmysłowość, która nie potrzebuje nagości.

Genitalia nie są ani piękne, ani szczególnie podniecające. Podniecające jest spojrzenie, gest, wypukłość biustu pod bluzką, wstrzymany oddech, czasem dotknięcie ręki przenika dreszczem i pragnieniem zbliżenia. Teraz, kiedy patrzył na zdjęcia członka wpychanego w pochwę, nie miał uczucia grzechu, tylko wstrętu i tęsknoty do innych mostów między człowiekiem i człowiekiem. Przyglądał się twarzom udającym pożądanie i zastanawiał się kim są te dziewczyny, kiedy i dlaczego płaczą, czy marzą o innym życiu i czego chcą? Marek mówił, że Paulina była za działkę amfy gotowa na wszystko. Tu działała koszmarna chemia narkotyków, ale przecież czasami młodzi są gotowi na wszystko albo dla samej zabawy, albo za świecidełko. Patrzył jeszcze na

zdjęcia i krążył myślami wokół rozmowy z Wojtkiem. Zaczęła się od pytania, kiedy Wojtek wsiadał już do samochodu. Paweł zapytał go skąd ta jego obsesyjna niechęć do socjologów? Na twarzy Wojtka pojawił się drwiący, niemal cyniczny uśmiech.

- Przez całe dzieciństwo słyszałem o ludziach, którym się nie chce, którzy są głupi, chciwi, amoralni. Humanizm z tatusia tryskał jak z fontanny. Po znajomości załatwiał mi szkołę, po znajomości wyjechałem do Stanów, po znajomości miałem wyjechać na studia do Anglii. – Zamknął drzwi samochodu i cofnął się pod drzwi plebani - Wiesz, opowiem ci o pewnej znajomej tatusia, też pani socjolog – też lubi pisać o ludziach, którym się nie chce. Jej pokazowy numer, to opowieść o znajomym ze wsi, który idzie pod sklep i szuka tam ludzi do pracy, w ostatnim artykule nie znalazł hydraulika. Zapytałem paniusię, czy jak jej rura pęknie to biegnie pod sklep monopolowy? Oczywiście nic nie zrozumiała i nie mogła zrozumieć. Ona nawet nie wie, że domaga się dobrze wykonanej pracy na czarno, po trzy złote za godzinę. Pani moralistka-humanistka uważa, że to właśnie pod sklepem powinni czekać chętni, a jeśli tam nie stoją, to znaczy, że im się nie chce. Pytasz czemu nie znoszę tłumów świętoszków, żądających prawa do jawnego oszustwa, żyjących z kazań o tym co moralne i jak być powinno... Wziąłem ten komputer, żeby nie robić przykrości matce i nie mówić głośno, co o nim myślę. – Roześmiał się i podrzucił głowę z chłopięcą przekorą. Paweł wrócił wzrokiem do ekranu, na którym proponowano mu igraszki lesbijek. Zamknął witrynę i powrócił do forum, które otwierał czasem w szkole.

Po dwóch dniach deszczy znów wróciło upalne słońce. W samo południe zatrzymał Pawła na ulicy Piekarski.

- Dobrze, że księdza widzę, bo mam do księdza takie pytanie – wyciągnął rękę na powitanie – czy można zamówić u księdza mszę w intencji zdrowia pewnego człowieka?

Zarówno wyraz twarzy mężczyzny jak i sposób zadania tego pytania wzbudzał jakiś niepokój.

Paweł przyglądał mu się, oczekując na dalsze wyjaśnienia.

- Bo widzi ksiądz, chciałem zamówić mszę w intencji zdrowia Dulskiego Leszka, z Uniechowa. Od roku jest mi winien dziewięć tysięcy złotych, za wiśnie, które mu sprzedałem. Obiecywał, że odda za miesiąc, potem, że jak dostanie za truskawki, a teraz to już nawet telefonów nie odbiera. Więc ja chciałem zamówić u księdza mszę w intencji jego zdrowia, a dopiero potem mu załatwię dłuższe rekolekcje, żeby mógł sprawę przemyśleć.
- Chce pan go pobić? – zapytał Paweł.

Piekarski patrzył na niego z mieszaniną gniewu i ironii. – Pamięta ksiądz, jak ksiądz mówił wiosną, pomódlmy się za dobre zbiory? To ja księdzu powiem, rolnik o dobre zbiory sam potrafi zadbać, modlić się musi, żeby mu raczyli zapłacić. Ksiądz się o mnie nie upomni, ani u Pana Boga, ani u pana Dulskiego. Pewnie ksiądz myśli, że mogę do sądu pójść? Ano mogę, tylko po co? Mówią mi ludzie, że jest sposób, mamy tu firmę rewindykacyjną, która za drobną opłatą wysyła gościa na miesięczne zwolnienie. Ale to mi się nie zgadza, nie będę płacił jednym łobuzom, żeby obili drugiego łobuza, to już mu raczej sam ręcznie wszystko wytłumaczę.

Paweł wiedział, że skupujący owoce i inne płody rolne oszukują rolników, że wykorzystują przymusową sytuację, narzucają absurdalnie niskie ceny, zwlekają z zapłatą, czasem nie płacą wcale, wszyscy o tym wiedzą, ale spółdzielczość rozbili komuniści a dobili literaci z „Solidarności”, chłopscy działacze poszli śladem swoich miejskich kolegów, kantując swój elektorat na prawo i lewo, a rolnicy raz jeszcze utwierdzili się w przekonaniu, że nie można ufać nikomu, bo i nikt na zaufanie nie zasłużył. Państwo nie ma najmniejszej ochoty na pilnowanie rzetelności wolnego handlu, a cioty rewolucji zacierają ręce ilekroć rolnik dostaje po skórze. Wiele razy słyszał gorzkie, rzucane pół żartem żale rolników, że „co się im w polu urodzi

to i tak weźmie kurwa i złodziej”. Piekarski poplamiony sokiem wiśni, najwyraźniej w samym środku zbiorów, stał na chodniku i patrzył na Pawła ze skupionym wzrokiem.

- No to jak, proszę księdza, można zamówić u księdza mszę za zdrowie Dulskiego Leszka, czy raczej doradza ksiądz pośrednictwo firmy, która potrząśnie jego sumieniem?
- Stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji – powiedział Paweł, zdając sobie sprawę z tego, że Piekarski ma rację, że jego obowiązkiem jest zajęcie wyraźnego stanowiska. A jednak, taka msza byłaby formą szantażu, groźbą pobicia rzuconą od ołtarza. Wiedział, że coś w tej prośbie nie jest w porządku. Zastanawiając się jak mu to wytłumaczyć, zapytał, czy sądzi, że taka msza by pomogła? Hodowca wiśni sam zapewne nie był pewny, bo przechylił głowę, szukając właściwej odpowiedzi.
- Widzi ksiądz, cuda się zdarzają, czasem nawet w drewnianym kościele człowiekowi cegła na łeb spadnie. Taki Dulski mógłby zrozumieć, że dłużnicy mogą się dogadać, szczególnie jakby im ksiądz pomógł i z ambony coś powiedział.
- No tak, ale msza w intencji zdrowia to tak, jakby groźba...
- A może czasem trzeba przygrozić? Może lepiej jakbyśmy sami pogrozili, niż żebyśmy wynajmowali gangsterów? No nic, zadzwonię na parafię, żeby mi ksiądz powiedział. W zeszłym roku straciłem, bo mi drań nie zapłacił, w tym roku, bo z nieba spadło za dużo wody i było za mało słońca...
- Słyszałem, że strasznie mało płacą za wiśnie – powiedział Paweł, ciesząc się, że nie musi od razu podejmować decyzji.

Piekarski rozłożył ręce – Wiśnia jest kwaśna, wodnista, potłuczona gradem... jeśli mam być uczciwy, to rzeczywiście jest mało warta. Tylko z czego mam przeżyć do przyszłego roku?

Zamknąć sklepik i iść na kuroniówkę? Czytałem takie dobre rady, ale nie powiem księdzu co o tym myślę, bo musiałbym używać brzydkich słów. Jak mi Dulski zapłaci przetrwam zły rok, nie,

to pewnie pójdę pod wodę. Idę już, bo ludzie zbierają, a jak ksiądz wie, pańskie oko konia tuczy, ale lepiej mu dać owsa.

Jak zwykle przed pielgrzymką długo oglądał listę uczestników. Trzydzieści osiem osób z parafii, z tego trójka piętnastolatków, idących po raz pierwszy. Znał wszystkich i nie spodziewał się większych kłopotów. Z mężczyzn tylko jeden mógł namawiać na coś mocniejszego, dwóch miało za sobą odsiadki za kradzieże, co oznaczało, że potrzebują szczególnego wsparcia, widomych oznak zaufania, ale trzeba pamiętać, że może ich również skusić widok cudzego portfela. Młodzi, jak to młodzi, pewnie będzie kilka ostrożnych flirtów, siadania obok siebie w rowie i picia ze wspólnej butelki. Już kilka razy dawał ślub ludziom, którzy widział wcześniej siedzących obok siebie w rowie. Przy dwóch nazwiskach zatrzymał ołówek. Domyślał się, że tu pojawią się pierwsze narzekania na niesmaczne jedzenie, twarde łóżka, niezyczliwość gospodarzy, te same głosy śpiewać będą głośniejsze niż inne, w tonie lamentu katarynki wydobywającej straszliwe dźwięki z Puszki Pandory. Dalej Aniela, kiedyś miał nadzieję, że pomoże mu zorganizować żeńską drużynę harcerską, ale znikła na dwa lata i teraz tylko czasem widywał ją w niedzielным tłumie. Zastanawiał się jak to możliwe, że w niewielkiej wiosce można człowieka nie spotkać miesiącami? Dawniej Aniela chodziła na pielgrzymki z gitarą i Paweł miał wrażenie, że to ona pomaga ludziom podnosić głowy po nazbyt długim wdeptywaniu w pokorę. Ucieszył się, widząc jej nazwisko, bo dzięki ludziom takim jak ona pielgrzymki były również spotkaniami. Ciekaw był co się stało, czemu znikła i czemu wróciła?

Zbierając do torby rzeczy na drogę, zastanawiał się przez chwilę, czy zabrać zeszyt ojca. Uśmiechnął się do własnych myśli, byłaby to podwójna profanacja, pamięci ojca i samej pielgrzymki. Wyciągnął zeszyt z kuferka i odnalazł zapis o puszcze Pandory. Czytał go ponownie, rozważając ciężar potworkowatego dziedzictwa i garbatej tożsamości. Domyślał się, że idzie na

pielgrzymkę po raz ostatni i że się żegna z chłopcem, który w białej komży zerkał od ołtarza na figurę mając nadzieję, że ta podrzuci głowę i strzeli palcami. Czytał słowa napisane przez ojca, chociaż znał je na pamięć.

Ile ważyła Puszka Pandory, posag panny historii? Wieko Puszek Pandory uchylamy codziennie, wypuszczamy nieszczęścia po trochu, wpuszczamy je do ciasta codzienności.

Rosną w zgniłym zaduchu, puchną, wypełniają całą dostępną przestrzeń.

Podobno na samym dnie Puszek Pandory jest nadzieja. Nie da się tam zajrzeć. Wylatujące z puszek nieszczęścia zasłaniają widok, odurzają, zmieniają nas w pokraczne i bezbronne stwory. Podczas procesji kapłani lokalnych bogów obnoszą Puskę Pandory zamkniętą. Oddają jej cześć w głębokim przekonaniu, że są Dziedzicami nietkniętymi przez obrzydliwości dziedzictwa.

Zamknął zeszyt, schował go do kuferka. Kluczyk od kłódki schował do kieszeni sutanny.